KOCIOŁ W KOALICJI
Prawicowa szkoła lojalności

KOŚCIÓŁ DLA LUDZI
Kto sprowadzi hierarchów na ziemię

LOS UJGURÓW
Jak Chiny niszczą naród

TOM HANKS
Przygody aktora poczciwego

CHŁÓD JEST COOL
Przeciw tyranii ciepłolubów

Kraków 25 kwietnia 2021 nr 17 (3746) cena 9 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

Samo ciało

Raport: Pornografia w czasach lęku

W WYDANIU DODATEK
TADEUSZ RÓŻEWICZ. WROCŁAW ŚWIĘTUJE

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

Premiera! Już w piątek 23 kwietnia

TP Historia: WIŚLNA 12

Opowieść na nowy początek

Pod koniec kwietnia 2021 roku redakcja „Tygodnika Powszechnego" opuszcza historyczną siedzibę, wynajmowaną od krakowskiej kurii od 1946 r. w kamienicy przy Wiślnej 12. Ponad 75 lat pod jednym adresem to 75 lat historii polskiej kultury, polskiego Kościoła, polskiej inteligencji i polskiego dziennikarstwa.

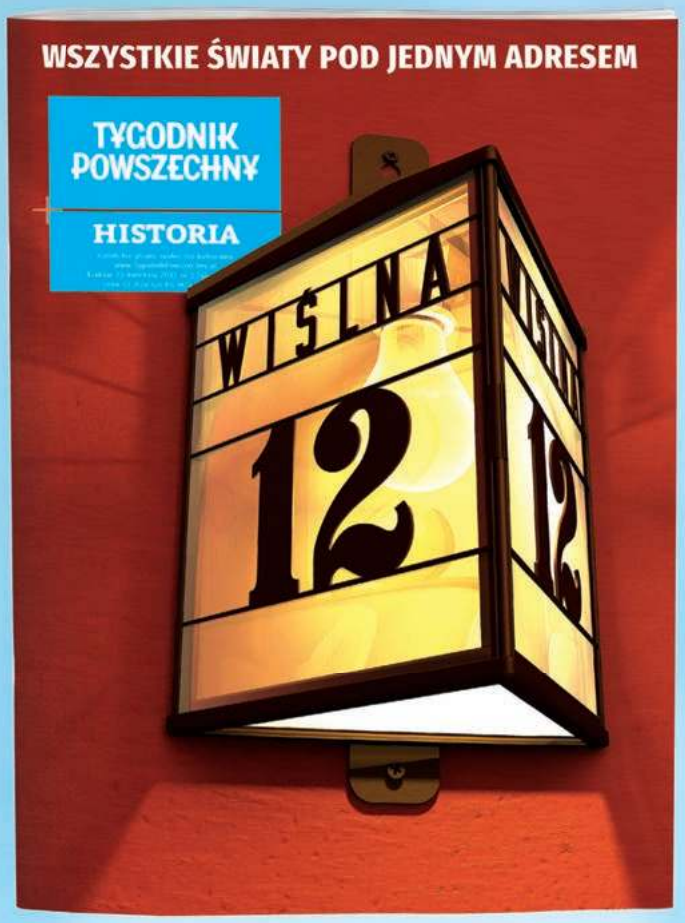

W tym wydaniu:

- prawdziwa historia „Tygodnika" i jego zespołu
- wiele niepublikowanych dotąd zdjęć
- piszą i rysują m.in. ks. Adam Boniecki, Kalina Błażejowska, Olga Drenda, Olga Gitkiewicz, Anna Goc, Stefan Kisielewski, Ryszard Koziołek, Michał Kuźmiński, Stanisław Lem, Bartosz Minkiewicz, Sławomir Mrożek, Michał Okoński, Stanisław Pagaczewski, Paweł Sołtys, Ewa Szumańska, Leopold Tyrmand, Marcin Wicha.

Od piątku 23 kwietnia w punktach z dobrą prasą i na **powszech.net/wislna12**

weź, czytaj!

TYGODNIK POWSZECHNY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

WYDANIE WSPIERA

ZAiKS

PARTNERZY WYDANIA:

Kraków · Konrad Adenauer Stiftung · ECS europejskie centrum solidarności · Przez Krzyż fundacja · znak · Polska Rada Biznesu · Copernicus Center · Fundusz Obywatelski im. Henryka Wujca · Walstead

KS. ADAM

Boniecki: *Czytajcie Zimbarda*

W sprawie pornografii Katechizm Kościoła Katolickiego jest lakoniczny (p. 2523). Definicja: „wyrwanie aktów płciowych z intymności partnerów, by pokazywać je innym". Jest „wynaturzeniem aktu małżeńskiego, narusza godność tych, którzy się pornografii oddają, bo jedni dla drugich stają się przedmiotem prymitywnej przyjemności i niedozwolonego zarobku"; „przenosi ona ich wszystkich w świat iluzoryczny". Ergo: „jest ciężką winą, a władze cywilne powinny zabronić wytwarzania i rozpowszechniania materiałów pornograficznych".

Znany psycholog Philip G. Zimbardo w książce napisanej dla polskiego czytelnika (we współpracy z asystentką Nikitą S. Coulombe) „Gdzie ci mężczyźni?" wielokrotnie wraca do tematu pornografii. Nie mówi o winie, ale o zjawisku: „pornografia w sieci jest bazarem z wirtualnymi przyjemnościami". Pisze: „Pomysł, że gdzieś w sieci istnieje pornos zawierający wszystko, co tylko jesteśmy w stanie sobie wyobrazić, staje się trudny do odrzucenia wraz z coraz większym nasyceniem internetu obrazami i filmami dla dorosłych". Rozwój pornografii od czasu pojawienia się pierwszych takich stron w internecie jest gigantyczny. Pisze Zimbardo: „Miliony firm i wytwórni tworzy filmiki pornograficzne (...) w liczbie trudnej do dokładnego oszacowania. W samym tylko 2013 roku PornHub miał 15 miliardów odsłon, co się przekłada na 1,68 miliona wizyt na godzinę w ciągu całego roku". „Strony pornograficzne (...) trafiają prosto w męski seksualny mózg". Dodajmy, nie tylko męski, bo powstaje także pornografia wycelowana w seksualny mózg kobiet.

Zimbardo nie jest moralizatorem. Jednak ostrzeżenie przed przenoszeniem w świat iluzoryczny jest w książce rozwinięte na wielu stronicach i w różnych kontekstach. Mówiąc najogólniej, pornografia, zwłaszcza w przypadku uzależnienia od niej, niesie wiele realnych niebezpieczeństw. Długotrwałe i intensywne oglądanie pornografii uzależnia i powoduje dysfunkcje, które dotyczyć będą sfery seksualnej (Zimbardo wymienia ich osiem i podsumowuje: „można powiedzieć, że pornografia osłabia dokładnie to, co intensyfikuje"). Jest realistą. Powołując się na dziesiątki badań opisuje skutki uzależnienia: niedowład mechanizmów motywacyjnych, trudności w komunikacji z innymi, w kontaktach męsko-damskich itd. „Jak w przypadku wszystkich uzależnień, dana aktywność staje się wszechogarniająca i przedkładana ponad wszystko inne w życiu".

Pornobiznes do końca lat 90. kwitł. Kręcono filmy, istniały kina porno, kablówki oferowały płatne kanały – biznes ten szacowano nawet na 10-14 miliardów dolarów. Potem nastąpił dość szybki spadek, aż do ok. 2010 r. I wtedy, dzięki internetowi, pornobiznes rozkręcił się na nowo. Dziś się rozwija m.in. dzięki możliwościom technicznym, łatwości dostępu oraz gigantycznemu popytowi – to jest masowemu uzależnieniu, które domaga się coraz silniejszych bodźców.

Pandemia, skazując ludzi na samotność, przysłużyła się branży, zwiększyła – przez opisywane w tym numerze mechanizmy – zapotrzebowanie i być może uświadomi nam rozlewające się od czasu przed pandemią niebezpieczeństwo (mówi Zimbardo). Jak zatamować zło? Wobec powszechnej dziś dostępności internetu zakaz eksponowania pornografii w kioskach stracił znaczenie. Dyrektywa Unii Europejskiej z 2020 r. poleca, by audiowizualne usługi medialne, które mogą zaszkodzić rozwojowi małoletnich, były udostępniane tak, aby małoletni nie mogli ich słuchać ani oglądać. Zasugerowano wybór godzin nadawania i sposoby weryfikacji wieku. W internecie? Przecież tego nie da się zrobić!

Dopóki się nie nauczymy o pornografii poważnie rozmawiać z dziećmi, dopóty żadne zarządzenia nie będą skuteczne. ©℗

Kryzys w Kościele – upadek czy odnowa?

Nazwanie po imieniu swoich grzechów jest już aktem pokuty. Bóg nie ma co przebaczać naszych słabości, jeśli nas stworzył słabymi! Przepraszamy za winy.

Ks. Adam Boniecki

Wydanie specjalne „Kryzys w Kościele" dostępne w sklepach z dobrą prasą i na **powszech.net/kryzyswkosciele**, także jako e-book.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

22 Koalicyjny kocioł
JAROSŁAW FLIS
Opozycja z satysfakcją kibicuje napięciom w Zjednoczonej Prawicy. Dobrze byłoby, gdyby przyglądała się im uważniej, bo sama jest przecież w trakcie ucierania własnych relacji.

32 Lekcje głosu
MARCIN CHODUŃ
Powstały niedawno Kongres Katoliczek i Katolików chce inaczej niż dotąd rozmawiać o polskim Kościele. Czy może to być początek jego odnowy?

44 Ziarno miłości
PIOTR BERNARDYN Z TOKIO
Jak nazwać to, co władze Chin robią z muzułmanami z prowincji Sinciang? Czy to już ludobójstwo?

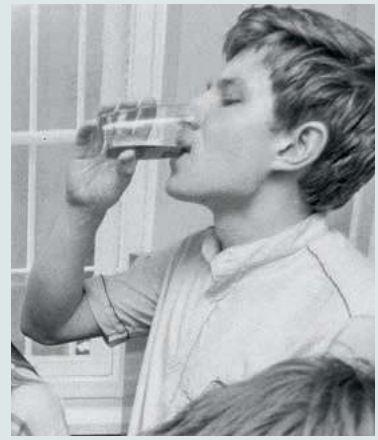

56 Płyn Lugola, ruska cola
KAMIL DWORACZEK
Choć od katastrofy czarnobylskiej minęło 35 lat, w tej historii wciąż są luki. Na przykład: czy działania rządu PRL były adekwatne do zagrożenia?

65 Kapitan Ameryka
SEBASTIAN SMOLIŃSKI
Może to znak czasu, że zabraknie go w tym roku na Oscarach? Ale przecież bardzo by się tam przydał taki dobry człowiek. Czy ktoś może nie lubić Toma Hanksa?

78 Przemysł letniej pogardy
MAREK RABIJ
„Wolę, gdy mi zimno" – współczesna meteorologiczna poprawność nie przewiduje, niestety, takiej odpowiedzi na dobiegające zewsząd deklaracje miłości do wysokich temperatur.

ANDRZEJ HULIMKA / FORUM // PIOTR LAMPKOWSKI / FORUM // KRZYSZTOF SITEK / PAP // COLIN HAWKINS / GETTY IMAGES // DANIEL DORSA / THE NEW YORK TIMES AGENCY / EAST NEWS // THOMAS PETER / REUTERS / FORUM

6 Wakat obywatelski
PAWEŁ BRAVO

7-11 Obraz tygodnia

20-21 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
PIOTR SIKORA

KRAJ

22 Koalicyjny kocioł
JAROSŁAW FLIS

26 Ostatni dzwonek
ROZMOWA Z IGĄ KAZIMIERCZYK: *Władza edukacyjna nie przedstawiła choć zalążka strategii na czas kryzysu. Przespaliśmy rok*

28 Powtórnie urodzone
MARIUSZ SEPIOŁO: *Lalki* reborn *wyglądają jak żywe dzieci. Dla niektórych są tylko figurkami, innym pomagają przeżyć traumę*

WIARA

32 Lekcje głosu
MARCIN CHODUŃ

36 Boski trans i chrześcijaństwo
PIOTR SIKORA: *Doczekaliśmy się polskiej wersji portretu Jezusa szkicowanego poza ortodoksją*

39 Duchy sprzedanych
KAROL KLECZKA: *Amerykańscy jezuici chcą oddać sprawiedliwość potomkom niewolników*

ŚWIAT

44 Ziarno miłości
PIOTR BERNARDYN

49 Bieg z przeszkodami
MARTA ZDZIEBORSKA: *W USA szczepienia nabrały tempa. Mimo to eksperci ostrzegają przed czwartą falą*

TEMAT TYGODNIKA

JOANNA RUSINEK DLA „TP"

12 Ciało w izolacji
MONIKA OCHĘDOWSKA
Narastający niepokój i lęk przed śmiercią, potrzeba ucieczki od rzeczywistości – prowadzą do większej konsumpcji pornografii. To nie jest tylko problem czasu pandemii, choć w niej stał się on szczególnie wyraźny.

DODATEK

Tadeusz Różewicz. Wrocław świętuje

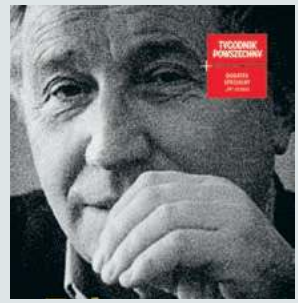

FELIETONY
31 DOROTA MASŁOWSKA **41** ZUZANNA RADZIK
76 JAN KLATA **77** PAWEŁ BRAVO
82 STANISŁAW MANCEWICZ **82** BARTOSZ MINKIEWICZ

ILUSTRACJA NA OKŁADCE:
JOANNA RUSINEK DLA „TP"

Redaktorka prowadząca: EWELINA BURDA

52 Zdążyć na nowe życie
MONIKA ANDRUSZEWSKA ZE ŚRODKOWEJ UKRAINY: *Trafiają tutaj zekowie, więźniowie z długim stażem. Po różnych wyrokach, także za morderstwa*

HISTORIA

56 Płyn Lugola, ruska cola
KAMIL DWORACZEK

NAUKA

60 Jak zbadać badania
WOJCIECH BRZEZIŃSKI: *Nadszedł czas, by usprawnić sam proces uprawiania nauki*

KULTURA

64 Kapitan Ameryka
SEBASTIAN SMOLIŃSKI

68 Ludożerka z ludzką twarzą
ROBERT KASPRZYCKI: *Głos Krzysztofa Krawczyka, niegdyś drapieżny i seksowny, zmienił się w ciepły, lekko schrypnięty, jak miękka poducha z wina i nikotyny*

72 Uciec jak najbliżej
JAKUB MAJMUREK: *Nostalgia za heroizmem ery kosmicznej karmi się naszym lękiem przed katastrofą klimatyczną*

74 Łączenie kropek
ANITA PIOTROWSKA *o miniserialu Raoula Pecka „Wytępić całe to bydło"*

76 Chłodny prysznic
LEKTOR *o książce „Całkiem zwyczajny kraj. Historia Polski bez martyrologii" Briana Porter-Szücsa*

ZMYSŁY

78 Przemysł letniej pogardy
MAREK RABIJ

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Woś się jeży
Kiedyś tolerancja wydawała się czymś naturalnym. Jak powietrze, którym oddychamy. Gdzie się nam ta ważna cnota życia społecznego zagubiła? – pyta **RAFAŁ WOŚ**
tygodnikpowszechny.pl/wossiejezy

Własny pokój [Podkast Powszechny]
Na obozie sportowym w siódmej klasie musiałam skoczyć z wieży do basenu. Byłam przerażona. Gdy stanęłam tam, naprawdę prowadziłam wtedy dialog z Bogiem! – opowiada **JUSTYNA SOBCZYK**, reżyserka i pedagożka **powszech.net/podkast**

/TYGODNIKPOWSZECHNY ▪ /TYGODNIK ▪ /TYGODNIK ▪ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

WAKAT OBYWATELSKI

Obecna władza obawia się najdrobniejszych nieszczelności w systemie, nie swoich ludzi na jakimkolwiek stanowisku. Państwo staje się więc jeszcze mniej przyjazne obywatelowi.

PAWEŁ BRAVO

Protest „Murem za Bodnarem". Gdańsk, 16 kwietnia 2021 r.

Wyrok był z góry rozstrzygnięty. Zgromadzenie, które działa dziś w Polsce pod nazwą Trybunału Konstytucyjnego, ogłosiło – bo przecież nie zdecydowało – że nie przełoży po raz dziesiąty terminu rozprawy w sprawie pełnienia przez Rzecznika Praw Obywatelskich funkcji po zakończeniu kadencji. Wniosek złożony jesienią przez posłów PiS był tylko bezpiecznikiem na wypadek, gdyby Jarosław Kaczyński z jakichś powodów uznał, że jednak nie uda mu się przepchnąć przez obie izby parlamentu swojego człowieka i że w związku z tym lepiej będzie sparaliżować urząd.

Nie ma więc sensu wgłębiać się w samą treść rozstrzygnięcia, zwłaszcza że sędzia Stanisław Piotrowicz wcielający się w rolę prokuratora i przesłuchujący Adama Bodnara to widok, który chciałoby się szybko zapomnieć. Warto raczej zapamiętać lekcję, do jakiego, wręcz irracjonalnego, stopnia obecna władza obawia się najdrobniejszych nieszczelności w systemie.

Trudno sobie wyobrazić, żeby po tym wyroku był sens montowania poparcia dla kolejnej osoby, która byłaby do przyjęcia dla partii rządzącej i choćby części opozycji. W przypadku unijnego Funduszu Odbudowy takie pertraktacje mają sens i dla dobra wszystkich potencjalnych beneficjentów należałoby doprowadzić do jego szybkiej ratyfikacji. Jednak w przypadku urzędu RPO lepiej będzie poczekać, aż PiS skleci ustawę, która pozwoli na powołanie przez Sejm już bez skwitowania Senatu osoby, która będzie urzędem rzecznika kierować. Trzeba się pogodzić na jakiś czas z wielkim wakatem obywatelskim, nie ma rady.

Prawdziwy polityczny sens tego wyroku jest właśnie taki: państwo staje się jeszcze mniej przyjazne obywatelowi, niż było (przy czym proces ten nie zaczął się bynajmniej dopiero w 2015 r.). Adam Bodnar jako RPO nie był trybunem wydumanej przez prawicę rewolucji kulturalnej. Miał się czym zajmować. 72 tysiące zgłoszeń otrzymanych w 2020 r. dotyczyło w przygniatającej większości spraw, które nie mają nic wspólnego z obsesjami samozwańczych obrońców tradycji i wartości. Sprawozdanie roczne RPO liczy, co prawda, kilkaset stron, ale każde z nas powinno przeczytać jego krótkie podsumowanie, żeby zdać sobie sprawę, jak bardzo dziurawe, niesprawiedliwe, lekceważące, a niekiedy okrutne potrafi być nasze państwo.

Traktowanie osób pozbawionych wolności w sposób, który spełnia definicje tortur – w tym zarówno rozwiązania systemowe, jak i np. cichaczem przepchnięte przy okazji ustaw covidowych prawo używania paralizatorów przez strażników. Nieusunięcie z obiegu prawnego instytucji ubezwłasnowolnienia. Nieuregulowanie kwestii skutków powojennych wywłaszczeń (a co za tym idzie, patologia reprywatyzacji). Trudność z dostępem do usług opiekuńczych dla opiekunów dorosłych osób z niepełnosprawnością (czyli konsekwentne lekceważenie wyroku TK sprzed siedmiu lat). Krzywda ludzka i chaos prawny wywołany błędami przy wprowadzaniu nadzwyczajnych restrykcji epidemicznych. To tylko wybrane na chybił trafił zagadnienia, ani lewicowe, ani prawicowe, ani pisowskie, ani opozycyjne, które będą teraz leżeć odłogiem, bo system musi być spójny i basta. ©℗

BARTOSZ BAŃKA / AGENCJA GAZETA

Czy biskup Wróbel zagrozi akcji szczepień

MACIEJ MÜLLER

Otwarcie przedszkoli wielu rodziców powitało z ulgą – praca zdalna z małymi dziećmi w domu to wyjątkowo trudne doświadczenie. Eksperci są jednak zaniepokojeni. Wprawdzie wiosenna fala COVID-19 w Polsce zdaje się opadać, ale w części regionów – m.in. na Śląsku, Mazowszu, Wielkopolsce – poziom zakażeń pozostaje na bardzo wysokim poziomie. Otwierając przedszkola, uruchomimy kolejne kanały dystrybucji wirusa – przestrzega ekspert Naczelnej Rady Lekarskiej dr Paweł Grzesiowski, po raz kolejny zadając pytanie, dlaczego resort zdrowia zarządza walką z epidemią na skalę całego kraju, a nie lokalnie.

Co więcej, zapełnione są obecnie nie tylko oddziały covidowe – miejsc brakuje również na dziecięcych. Wprawdzie dzieci przechodzą zakażenie SARS-CoV-2 na ogół bezobjawowo, wygląda jednak na to, że częściej niż przy poprzednich falach występuje w tej grupie PIMS, choroba autoimmunologiczna pojawiająca się kilka tygodni po infekcji.

Dr Grzesiowski uważa, że po wakacjach SARS-CoV-2 zaatakuje nas po raz kolejny, chyba że do tego czasu uda się zaszczepić przynajmniej jedną dawką 30 mln Polaków. Czy są na to szanse? W najbliższych miesiącach nie będzie już problemu z dostawami, wyzwaniem pozostaje uproszczenie scentralizowanego i niewydolnego systemu dystrybucji dawek do punktów szczepień. 55 proc. Polaków deklaruje chęć poddania się szczepieniu, ale co czwarty badany nie zamierza tego zrobić (sondaż agencji Inquiry). Aż 30 proc. Polaków nie boi się COVID-19, a w najmniejszym stopniu zagrożenie odczuwają młodzi (18-24 lata). Jeśli nie uda się przełamać tych tendencji, czwarta fala nas nie ominie.

Tymczasem szef Zespołu KEP ds. Bioetycznych bp Józef Wróbel wydał stanowisko, według którego katolicy nie powinni godzić się na szczepienie preparatami J&J i AstraZeneca, chyba że zostali do tego zawodowo zobligowani. Zdaniem hierarchy, „poważny sprzeciw moralny" budzi użycie w produkcji tych szczepionek komórek z linii komórkowych pobranych od abortowanych płodów. Jednak już w grudniu Kongregacja Nauki Wiary zaakceptowała używanie tych preparatów, jeśli inne nie są dostępne, i nie stawiała dodatkowych warunków. Trudno oszacować szkody, jakie przyniesie akcji szczepień publikacja stanowiska bp. Wróbla. Stawką jest życie tysięcy Polaków, szczególnie najstarszych. Aż chciałoby się powiedzieć: jeśli nie pomagasz, to przynajmniej nie przeszkadzaj. ©℗

Co ma Beata Szydło do Muzeum Auschwitz

BYŁO: międzynarodowe ciało złożone z byłych więźniów i ocalałych, uznawanych w świecie historyków Zagłady, wiarygodnych uczestników dialogu polsko- i chrześcijańsko-żydowskiego, działające do 2018 r. przy premierze, oraz powoływana przez ministra kultury rada nadzorująca wypełnianie „przez muzeum jego powinności wobec zbiorów i społeczeństwa", oceniająca przedłożone przez dyrektora sprawozdanie roczne itd. Jest: skandal po tym, jak w skład tego drugiego ciała powołano Beatę Szydło (pierwszego od trzech lat Mateusz Morawiecki nie powołuje...).

Skandal na pierwszy rzut oka zaskakujący, bo i w poprzedniej kadencji w Radzie Muzeum Auschwitz zasiadał związany z regionem przedstawiciel PiS, będący m.in. starostą oświęcimskim Zbigniew Starzec. Powołanie na jego miejsce byłej premier – oświęcimianki, w dodatku z racji wykształcenia etnograficznego i niegdysiejszej pracy w Muzeum Historycznym Miasta Krakowa z pewnością lepiej przygotowanej do pełnienia obowiązków w Radzie niż trener pływania – to jedyna zmiana poza niepowołaniem reprezentującego Marsz Żywych Aharona Tamira. A jednak zaowocowała dymisjami trojga dotychczasowych członków: b. wicedyrektorki muzeum Krystyny Oleksy, Stanisława Krajewskiego i Marka Lasoty.

Skąd to zamieszanie? Zorientowani przypominają, że przed laty Szydło nie kryła ambicji objęcia posady dyrektorki muzeum, z pewnością też bez parasola Międzynarodowej Rady Oświęcimskiej wokół Auschwitz łatwiej o nieporozumienia. Rząd zbiera żniwo wcześniejszych decyzji – w jego dobre intencje nikt w tym świecie nie wierzy.

©℗ MICHAŁ OKOŃSKI

Egzaminy: świętość polskiej edukacji

JESZCZE W KWIETNIU może się zacząć – w ślad za otwarciem w tym tygodniu przedszkoli – stopniowy powrót uczniów do szkół. Pewnik w roku szkolnym 2020/21 jest na razie jeden: zgodnie z planem odbędą się egzaminy – maturalny i ósmoklasisty (początek 4 i 25 maja).

Tocząca się w trakcie epidemii historia ogłaszania (oraz wstrzymywania się od ogłaszania) decyzji dotyczących egzaminów to spójna opowieść o systemie, w którym testy mają status świętości. Rok temu ówczesne kierownictwo MEN nie chciało słyszeć o ich odwołaniu. W tym roku jest podobnie. Na argument, że nienormalne czasy – z kryzysami psychicznymi uczniów, nierównym dostępem do zdalnej nauki – wymagają radykalnych decyzji, władza zareagowała tylko retuszami w egzaminacyjnych wymaganiach.

Najbardziej znamienna jest wielomiesięczna batalia o zaniechanie przez rząd planów zwiększenia wymagań od roku przyszłego. Chodzi głównie o dzisiejsze 6 i 7 klasy: już od 2022 r. na egzaminie ósmoklasisty miał zacząć obowiązywać dodatkowy, czwarty test (do wyboru: historia, biologia, chemia, fizyka), a na tym z polskiego uczniowie mieli się wykazać znajomością większej liczby lektur. Protestujący pedagodzy i rodzice od miesięcy alarmowali, że to szaleństwo – mowa o rocznikach, które poszły w wieku 6 lat do szkoły, i które pandemia zastała w newralgicznym wieku dojrzewania. Długo bez skutku, aż do zeszłego tygodnia, kiedy minister Przemysław Czarnek zaczął przebąkiwać o możliwym – do południa w poniedziałek, gdy zamykaliśmy ten numer „TP", bliżej nieokreślonym – złagodzeniu wymagań.

Ta sprawa – jak i kilka innych, np. brak reakcji na zniknięcie wiosną ubiegłego roku dzieci z systemu zdalnej nauki czy niechęć do radykalnego okrojenia podstaw programowych w epidemii – wiele mówi o obranej przez władzę oświatową strategii kryzysowej: udawania, że kryzysu nie ma.

©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

LICZBA TYGODNIA

161,5

mld zł – tyle wyniósł deficyt budżetowy w 2020 r. Dane GUS potwierdzają prognozy ekonomistów, którzy spodziewali się, że programy osłonowe dla gospodarki oraz koszty walki z epidemią radykalnie go zmienią. W 2019 r. deficyt wyniósł tylko 15,8 mld. Rok 2020 miał być z kolei pierwszym ze zrównoważonym budżetem – kolejny dowód na to, że planowanie makroekonomiczne bywa czysto intelektualnym ćwiczeniem.

KRAJ W SKRÓCIE

REŻYSERKA
TVP wyemitowała film Ewy Stankiewicz „Stan zagrożenia" prezentujący zbiór teorii zamachowych na temat katastrofy smoleńskiej. W bieżącej polityce największy ciężar mają fotografie ówczesnej minister zdrowia Ewy Kopacz, pozującej (jeśli wierzyć Stankiewicz) z pracującym przy sekcjach zwłok personelem rosyjskiego prosektorium.

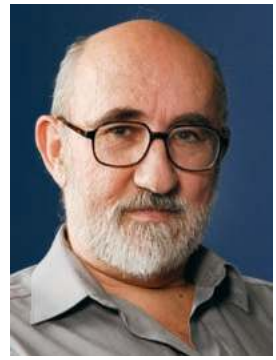

MIROSŁAW STELMACH / EAST NEWS

DZIENNIKARZ
W wieku 86 lat zmarł Stefan Bratkowski, były prezes Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, publicysta ekonomiczny, w latach 80. XX w. współpracujący m.in. z „Tygodnikiem Powszechnym".

PATOSTREAMER
Prokuratura zatrzymała trzy osoby sfilmowane w trakcie znęcania się nad niepełnosprawnym intelektualnie nastolatkiem (nagranie dostępne na kanale YouTube mającym ponad milion subskrypcji) – grozi im do 8 lat więzienia.

GENIUSZ
„Chciałem panu powiedzieć tylko: w górę serca, piorun nie uderza w to, co małe" – mówił o. Tadeusz Rydzyk w trakcie wywiadu z Danielem Obajtkiem, dodając: „Gratulujemy tego, co pan robi dla Polski. Jest pan naprawdę genialny", na co dociskany tak bezwzględnie prezes Orlenu skromnie zastrzegł: „Nie tylko ja, ojcze dyrektorze, a cały zespół. Walczymy, działamy".

USA opuszczają Kabul

WOJCIECH JAGIELSKI

Przed 11 września 2021 r. wszystkie wojska USA zostaną wycofane z Afganistanu – zdecydował prezydent Joe Biden. W ślad za Amerykanami wycofają się ich sojusznicy. Tak skończy się udział USA w tej 20-letniej wojnie – najdłuższej, jaką kiedykolwiek toczyły Stany Zjednoczone.

Biden zapowiedział, że stanie się tak bez względu na sytuację na froncie i bez względu na to, czy ustanowiony wcześniej przez Amerykanów rząd w Kabulu i walczący z nim talibowie porozumieją się w sprawie politycznej przyszłości kraju lub choćby rozejmu.

Talibowie nie zamierzają zresztą prowadzić żadnych rozmów, dopóki ostatni obcy żołnierze nie wyjadą z Afganistanu. Uważają, że Amerykanie złamali umowę, którą w lutym 2020 r. zawarł z nimi ówczesny prezydent Trump: obiecał talibom, że wycofa wojska do końca maja 2021 r. Talibowie zobowiązali się do zerwania sojuszu z Al-Kaidą, rokowań z rządem w Kabulu oraz do nieatakowania wycofujących się sił. Dotrzymali tylko tej ostatniej obietnicy. Teraz grożą, że wiarołomni Jankesi pożałują złamanego słowa.

Po 20 latach partyzanckiej wojny pokonani na jej początku talibowie kontrolują połowę terytorium kraju i z każdym rokiem powiększają swoje zdobycze. Są przekonani, że wykrwawili i zmusili do odwrotu Amerykanów, tak jak pod koniec XX w. mudżahedini pokonali Sowietów, a w XIX stuleciu – pasztuńscy plemieńcy Brytyjczyków. Natomiast Afgańczycy – zwłaszcza z wielkich miast, Kabulu, Heratu czy Mazar-i Szarif – obawiają się, że po wyjeździe Amerykanów talibowie wezmą górę w wojnie domowej i unieważnią porządki, jakie zaprowadziły wojska zachodniej koalicji.

11 września minie 20 lat od dnia, gdy zamachowcy z Terrorystycznej Międzynarodówki, Al-Kaidy, uprowadzonymi samolotami pasażerskimi zaatakowali Nowy Jork i Waszyngton. W odwecie za to, że rządzący wówczas w Kabulu talibowie udzielili gościny Al-Kaidzie, USA dokonały inwazji na Afganistan. 11 września, symboliczny początek pierwszej z wielkich wojen XXI w., ma być także symbolicznym jej końcem. Przynajmniej dla Amerykanów. ©

Więcej na stronie internetowej w rubryce autora
Strona Świata: **powszech.net/stronaswiata**

MADS NISSEN, DANIA, POLITIKEN / PANOS PICTURES / WORLD PRESS PHOTO

W KONKURSIE WORLD PRESS PHOTO tytuł Zdjęcia Roku 2021 otrzymała fotografia Madsa Nissena. Wbrew obiegowym opiniom nagradzane zdjęcia ukazują nie tylko przemoc i tragedie. Zwycięska praca przedstawia pielęgniarkę z domu opieki w São Paulo, która przytula Rosę Luizę Lunardi po raz pierwszy od pięciu miesięcy. W prostym kadrze zawarto całą gamę emocji: tęsknotę, strach, radość z życia. Zdjęcie zwraca też uwagę na problem SARS-CoV-2 w bardzo dotkniętej przez pandemię Brazylii. O polskich laureatach World Press Photo piszemy na stronie 29. ©℗ JT

Czesi wyrzucają Rosjan

OSIEMNASTU DYPLOMATÓW z ambasady Rosji w Pradze, których czeskie służby zidentyfikowały jako funkcjonariuszy wywiadu cywilnego SWR i wojskowego GRU, dostało 48 godzin na opuszczenie kraju. To reakcja na zamachy, których sprawcami mieli być, jak twierdzą Czesi, agenci GRU. Stało się to jesienią 2014 r.: dwukrotnie, w październiku i grudniu, doszło do eksplozji w magazynach z bronią w miejscowości Vrbětice; w pierwszym wybuchu zginęło dwóch ludzi. Magazyny należały do czeskiej firmy zbrojeniowej Imex, która miała eksportować wtedy broń na Ukrainę, wiosną 2014 r. zaatakowaną przez Rosję.

Początkowo czeskie władze sądziły, że były to wypadki. Teraz podano, że sprawcami byli agenci GRU Aleksander Miszkin i Anatolij Czepiga: ci sami, którzy cztery lata później usiłowali otruć w Wielkiej Brytanii Siergieja Skripala i jego córkę.

Ciąg dalszy zapewne nastąpi.

©℗ WP / FAZ, CENSOR.NET, LIDOVKY

Wielka Brytania wraca do normalności

WRACA, ALE STOPNIOWO: od 12 kwietnia w Anglii (jednej z czterech krain Zjednoczonego Królestwa) można wybrać się do pubu, fryzjera czy na zakupy odzieżowe. A ściślej, do ogródka przed pubem, bo na razie jeść i pić można tylko na zewnątrz. Tego samego dnia, według prognoz naukowców z University College London, Brytyjczycy mieli osiągnąć odporność zbiorową – już ponad 73 proc. ma posiadać przeciwciała, za sprawą szczepienia lub przechorowania COVID-19. Do tej oceny sceptycznie odnoszą się jednak minister zdrowia i liczni eksperci, wskazując, że nie wiadomo, jak długo odporność się utrzymuje.

Faktem jest, że szybkie i masowe szczepienia oraz ścisłe restrykcje wyhamowały ostatnią falę epidemii (dzienny bilans zakażeń to już tylko 2-3 tys.). Radość z wyjścia na piwo czy z wiosennego pikniku ze znajomymi mącą jednak obawy związane z nowymi mutacjami wirusa, w tym tą wykrytą w Indiach – na Wyspach zidentyfikowano dotąd ok. 80 przypadków zakażenia tą mutacją. Nie wiadomo, na ile szczepionka jest na nią skuteczna. ©℗ PATRYCJA BUKALSKA Z ANGLII

Covid znów zbił Indie z nóg

„LAAPARAVAAHEE”, czyli zaniedbywanie – tym słowem władze Indii tłumaczą gigantyczny przyrost liczby nowych zakażeń SARS-CoV-2, która w dwa tygodnie skoczyła ze 103 tys. do 204 tys. przypadków dziennie. Pod względem tempa rozprzestrzeniania się koronawirusa Indie wyprzedziły USA: aktualnie choruje tam ponad milion osób, gdy w USA liczba aktywnych przypadków spadła do 859 tysięcy.

W wielu indyjskich miastach, włącznie z finansową stolicą kraju, Mumbajem, przywrócono lockdown, gdzieniegdzie wprowadzono też godzinę policyjną. Przyczyną ponownej eksplozji epidemii jest – jak głosi oficjalna rządowa wersja – powszechne lekceważenie reguł reżimu sanitarnego, zwłaszcza przez mieszkańców licznych slumsów okalających metropolie.

Fatalne warunki higieniczne wraz z potwornym zagęszczeniem (slums Dharavi w Mumbaju, największe takie osiedle w Indiach, liczy ok. 3 km kwadratowych i zamieszkiwany jest przez co najmniej 600 tys. osób) z pewnością sprzyjają transmisji koronawirusa wśród najuboższych Indusów, z których wielu wędruje w dodatku w poszukiwaniu dorywczych zajęć dziesiątki kilometrów od domu.

Na początku roku liczba nowych przypadków spadła do ok. 10 tys. dziennie i władze większości stanów poluzowały obostrzenia, także w poruszaniu się po kraju. W marcu rząd w Delhi mówił wręcz o końcu epidemii. Dziś wiadomo, że najgorsze Indie mają dopiero przed sobą. Szczepienia idą jak po grudzie: dotąd co najmniej jedną dawkę dostało raptem 100 mln osób, a dwie – mniej niż 1 proc. populacji (Indie mają ponad 1,3 mld ludności). W zachodnich i centralnych stanach już ponad 80 proc. nowych przypadków wywołuje tzw. wariant brytyjski.

W prowincji Maharasztra, gdzie notuje się aż 62 proc. wszystkich nowych zachorowań, błyskawicznie rośnie też liczba przypadków wywołanych przez nową indyjską mutację, która może być jeszcze bardziej zaraźliwa od brytyjskiej. Nadal brak też pewności, czy będą przed nią chronić opracowane dotąd szczepionki. ©℗ MAREK RABIJ

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

NAUKA I WIARA
Ponieważ stara strona internetowa prawie nie była odwiedzana, zespół Obserwatorium Watykańskiego uruchomił jej nową wersję. Pod adresem **vaticanobservatory.org** można odnaleźć m.in. podkast, w którym naukowcy rozmawiają na temat „cudu stworzenia wszechświata przez Boga". Jak mówi dyrektor placówki, jezuita, brat Guy Consolmagno (na zdjęciu), „błądzić jest rzeczą ludzką, przyznać się do tego jest nauką".

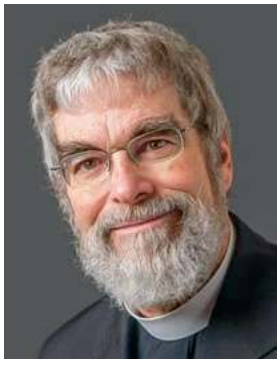

VATICANOBSERVATORY.ORG

PRZECIW POPULIZMOWI
Prawdziwą odpowiedzią na wzrost populizmu nie jest zwiększony indywidualizm, ale „polityka braterstwa" – przekonuje Franciszek w przesłaniu do uczestników londyńskiej konferencji pt. „Polityka zakorzeniona w ludzie". Zdaniem papieża ludzie w wizji populistycznej nie są twórcami swojego losu, ale stają się dłużnikami ideologii.

KOŚCIÓŁ A CYRK
Aby zachować w Europie sztukę cyrkową, która od ponad 250 lat przynosi radość dorosłym i dzieciom, ważne jest wsparcie UE i poszczególnych rządów – napisał kard. Peter Turkson w liście do Światowej Federacji Cyrkowej. Watykańska Dykasteria ds. Integralnego Rozwoju Człowieka wsparła firmy cyrkowe, często rodzinne, w ich apelu do Komisji Europejskiej o pomoc w związku z pandemią.

Dlaczego warto wyjść poza średniowiecze

MACIEJ MÜLLER

W DZIEJACH POLSKIEGO NARODU TRUDNO znaleźć ważniejszą datę od roku 966" – mówił abp Stanisław Gądecki w Święto Chrztu Polski. Główną tezą jego kazania, gęsto przetykanego cytatami z dzieł historyków powiązanych z tzw. polityką historyczną, było związanie kultury polskiej z chrystianizmem, i to w ujęciu rzymskokatolickim.

Abp Gądecki cieszy się, że chrześcijaństwo Polska przyjęła z Rzymu. Cytuje prof. Andrzeja Nowaka: „duchowa stolica Polski, jej kulturowy biegun jest w Rzymie". I dopełnia Janem Pawłem II: „Stąd też kultura polska posiada znamiona nade wszystko zachodnioeuropejskie". Fakt, że w X w. alternatywą – i to tylko teoretyczną – było przyjęcie chrześcijaństwa z Bizancjum. Można też było trzymać się własnych wierzeń, idąc drogą Prusów – i skończyć jak oni, mordowani przez zakon krzyżowy.

Szkoda tylko, że wskazując na rzymski katolicyzm jako źródło kultury, arcybiskup pomija dziedzictwo luteranów, kalwinów, prawosławnych, unitów, braci czeskich, braci polskich, Tatarów, Litwinów i Kozaków; słowem: wielonarodowej i wielowyznaniowej Rzeczypospolitej Jagiellonów. Można się zastanawiać, na ile mitem są staropolskie tradycje tolerancji i współistnienia, ale to przecież one stanowiły punkt odniesienia dla refleksji Jana Pawła II. W „Pamięci i tożsamości" można znaleźć spore passusy na ten temat. Są to tradycje – dodajmy – w dużej mierze zniszczone przez zwycięstwo kontrreformacji w XVII w. Triumf katolicyzmu sprawił, że Polskę ledwo tknęło oświecenie – w rezultacie czego do dziś mamy problem i z akceptacją inności, i ze zwykłym dialogiem.

„Gdy przestajemy się liczyć z Bogiem, nie tylko sami mało wiemy, kim jesteśmy i po co żyjemy, ale również wszystko, co tworzy ten świat, staje się w jakiś sposób wypaczone" – powiedział szef episkopatu. Tylko czy jedynym sposobem „liczenia się z Bogiem" jest wyznawanie rzymskiego katolicyzmu? ©℗

Pekin upaństwowi religię

KAŻDY RELIGIJNY FUNKCJONARIUSZ musi „kochać ojczyznę, popierać kierowniczą rolę Chińskiej Partii Komunistycznej, ustrój socjalistyczny, przestrzegać konstytucji, praw, regulacji i zasad, stosować w praktyce podstawowe wartości socjalizmu, trzymać się zasady niezależności i samorządności religii oraz szanować politykę religijną Chin, utrzymując jedność narodową, etniczną, zgodę religijną i stabilność społeczną" – to jeden z artykułów prawa, które od 1 maja będzie obowiązywało m.in. księży i biskupów katolickich w Chinach. Dokument traktuje wspólnoty religijne jako instytucje państwowe, a osoby w nie zaangażowane – jako funkcjonariuszy cywilnych, toteż ich praca ma być uregulowana, kontrolowana i zarejestrowana jak zawód świecki.

Według Międzynarodowego Towarzystwa Praw Człowieka (ISHR) nowy dekret jest „kolejnym totalitarnym środkiem ograniczającym wolność wyznania". Przepis dotyczy wszystkich religii, np. lamów buddyjskich, duchownych chrześcijańskich i imamów muzułmańskich. Jest elementem polityki sinizacji, dążącej m.in. do pełnego podporządkowania życia religijnego w Chinach partii komunistycznej. ©℗ ASK

O sytuacji w chińskim regionie Sinciang piszemy w dziale Świat.

Jak doktrynę przedstawiać światu

PAPIEŻ MIANOWAŁ drugiego podsekretarza Kongregacji Nauki Wiary. Został nim ks. Armando Matteo – znany we Włoszech autor książek z pogranicza teologii i socjologii religii o problemach z międzypokoleniowym przekazem wiary oraz rozejściu się dróg Kościoła i społeczeństwa. Opisywał w nich m.in. dwie najmłodsze „generacje niewierzących", które przestały utożsamiać się z chrześcijaństwem. Pokolenie ich rodziców, a nawet dziadków, beneficjenci powojennego dobrobytu i sukcesów medycyny, odłożyło do lamusa pojęcia, na których tradycyjnie budowana była religijna narracja (wierność, dojrzałość, cierpienie, śmierć). Więź z Kościołem tracą tak mężczyźni, jak i kobiety – dotąd najważniejsze ogniwo przekazu wiary. A w nauczaniu wciąż dominują przestarzałe i nieskuteczne kategorie „religii pociechy".

Nominacja ks. Mattea zdaje się zapowiadać, że Kongregacja Nauki Wiary, dotąd kojarzona z obroną doktryny, zaczyna szukać nowych dróg dotarcia z nią do współczesnego świata.

©℗ EDWARD AUGUSTYN

KULTURA W SKRÓCIE

DLA REŻYSERÓW
Filmy „Zabij to i wyjedź z tego miasta" Mariusza Wilczyńskiego oraz „Nędznicy" Ladja Ly'ego otrzymały Złote Taśmy SFP. To nagroda, którą krytycy filmowi Stowarzyszenia Filmowców Polskich zrzeszeni w Międzynarodowej Federacji Prasy Filmowej FIPRESCI przyznają od 1985 r. w kategoriach filmu polskiego i zagranicznego.

DLA SŁUCHACZY
Podczas ruszającego w najbliższy weekend festiwalu JAZZtrzębie w Jastrzębiu-Zdroju pojawią się artyści z Polski, Senegalu, Tajwanu, Kolumbii, Brazylii i Austrii. W zabytkowym Parku Zdrojowym rozbrzmiewać będą dźwięki wibrafonu, w pałacu w Boryni – gitar i saksofonu, a w kinie Centrum zaśpiewa Anna Maria Jopek. Część koncertów będzie dostępna online.

DLA WARSZAWIAKÓW
Zakończono prace projektowe nowego gmachu Sinfonii Varsovii. W planach są spektakularne, zawieszone ponad 3 metry nad ziemią miejsca dla słuchaczy – ich konstrukcja będzie wić się dookoła sali jak wstęga, czyniąc orkiestrę widoczną ze wszystkich miejsc. Budowa jest częścią działań rewitalizacyjnych prowadzonych na Grochowie – części dzielnicy Praga Południe.

DLA WSZYSTKICH
Przesunięte o rok Biennale Architektury w Wenecji rusza za miesiąc. W Pawilonie Polskim zobaczymy wystawę „Problemy w raju" kuratorów z kolektywu PROLOG +1, którzy pokażą, że w czasach narastających kryzysów obszary wiejskie są istotnym elementem budowania wspólnoty. Cyfrowa wersja projektu dostępna będzie pod adresem **labiennale.art.pl.**

SECONDARYARCHIVE.ORG / CECYLIAMALIK.PL

SECONDARY ARCHIVE to historia sztuki Europy Środkowej widziana z kobiecej perspektywy. Portal stworzony przez Fundację Katarzyny Kozyry umożliwia bezpłatny dostęp do ponad 250 profili reprezentujących trzy pokolenia artystek z Polski, Czech, Słowacji i Węgier. Oprócz biogramów i prac znajdziemy materiały stworzone we współpracy z kuratorkami. Nazwa projektu jest grą słowną, nawiązującą do drugorzędnej roli, jaka historycznie była przypisywana krajom położonym w tej części Europy, oraz pozycji kobiet jako reprezentantek „drugiej płci". Na zdjęciu: „Troć na Ołbinie", performens Cecylii Malik, 2019 r. ©℗ MOCH

Dziewiętnaście dni z życia chimery

TRANSPLANTOLOGIA WCIĄŻ MIERZY SIĘ z przeszkodami, takimi jak brak zgodności między dawcą i biorcą czy ograniczona liczba dostępnych narządów. W Polsce w grudniu 2020 r. ponad 1800 osób oczekiwało na przeszczep. Rozwiązaniem byłaby hodowla ludzkich narządów z komórek macierzystych, najlepiej własnych komórek biorcy.

Jedną z metod może okazać się tworzenie ludzko-zwierzęcych chimer. W ubiegłym tygodniu czasopismo „Cell" opublikowało pracę opisującą chimerę ludzko-małpią. Wcześniej podejmowano próby z zarodkami myszy i świni, ale ich słabością była ewolucyjna odległość gatunków. W tym przypadku pobrane komórki macierzyste człowieka połączono z zarodkiem makaka krabożernego i obserwowano w warunkach laboratoryjnych przez 19 dni. Ludzkie komórki prawidłowo się dzieliły i rozwijały, ale ze 132 zarodków przeżyły tylko 3.

Docelowo ludzkie komórki budowałyby wskazany narząd, a organizm (np. małpa) po urodzeniu i dorośnięciu stawałby się dawcą. Tu pojawia się jednak szereg problemów etycznych. Komórki macierzyste mogą migrować po chimerycznym ciele i nie ma pewności, że nie staną się elementem kory mózgu małpy, co mogłoby nadać jej myślom ludzkiego charakteru. © BARTOSZ KABAŁA

Co zabija bieliki

OD 25 LAT biolodzy szukali przyczyny wymierania bielików amerykańskich. Sekcje zwłok wykazały zmiany w mózgach ptaków. Niedawno podejrzenia padły na inwazyjną roślinę zwaną przesiąkrą okółkową, porastającą jeziora, w pobliżu których znajdowano martwe bieliki. Sądzono, że żyjące na niej sinice wydzielają silną neurotoksynę. By potwierdzić te przypuszczenia, zespół Susan Wilde karmił w laboratorium liśćmi przesiąkry kaczki. Osobniki, które zjadały razem z liśćmi sinice, rozwinęły spodziewane objawy. Następnie badacze wyhodowali ten sam szczep sinic i testowali ich wpływ na kolejne zwierzęta. Tym razem zmian w mózgach nie obserwowano – aż do czasu, gdy sinicom podano sole bromu. Okazało się, że to z nich sinice syntetyzują swoją toksynę, która szkodzi zresztą nie tylko ptakom, ale i innym zwierzętom – również tym, na które polują bieliki.

Związki bromu nie występują często w słodkiej wodzie. Ale mogą się dostać do niej np. z zanieczyszczeń pochodzących z elektrowni węglowych, z soli, którą posypujemy drogi, oraz z pestycydów – także tych używanych w walce z przesiąkrą.

© MICHAŁ ŚWIĄTEK

TEMAT TYGODNIKA

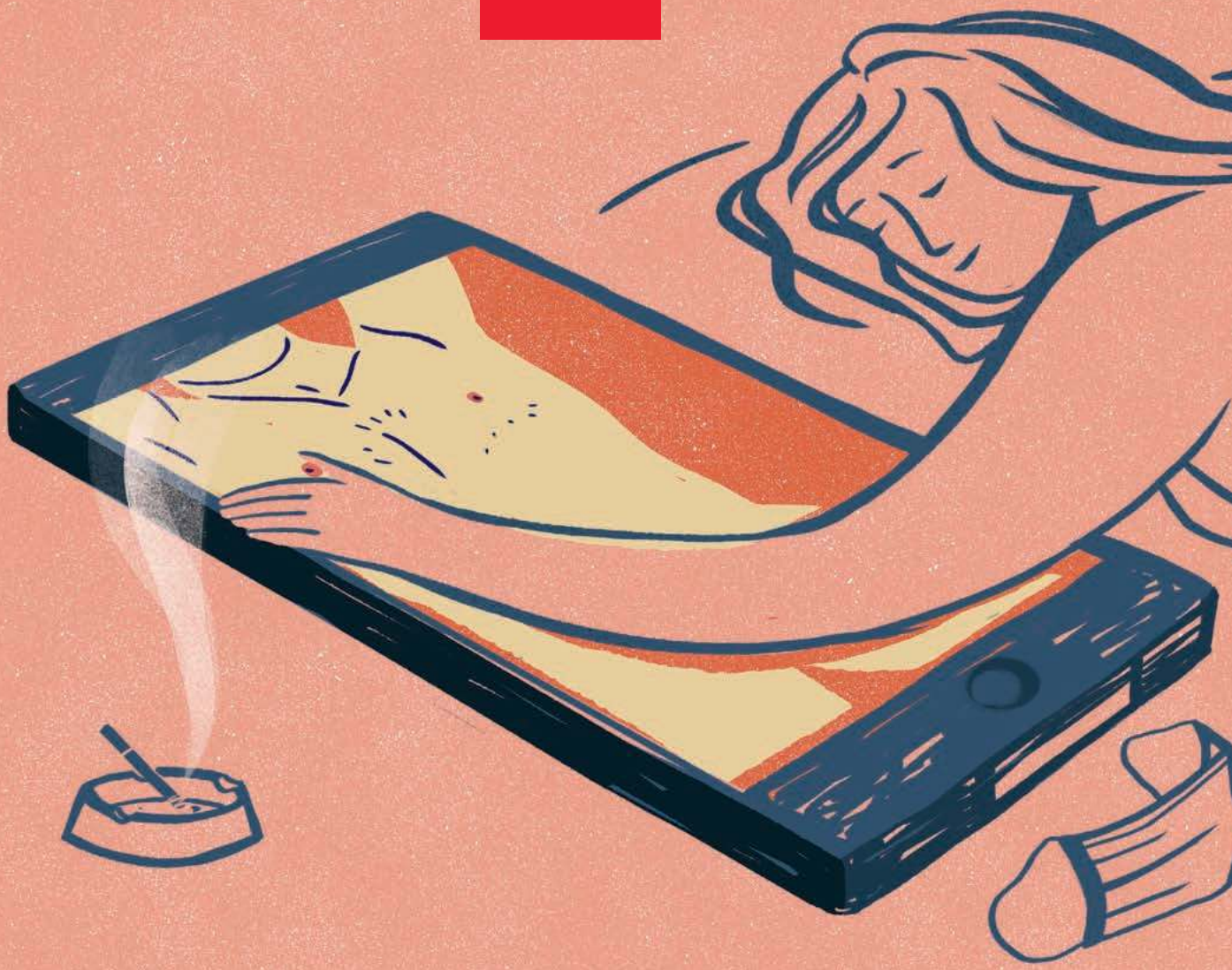

CIAŁO W IZOLACJI

Narastający niepokój i lęk przed śmiercią, potrzeba ucieczki od rzeczywistości – prowadzą do większej konsumpcji pornografii. To nie jest tylko problem czasu pandemii, choć w niej stał się on szczególnie wyraźny.

TEKST MONIKA OCHĘDOWSKA ▪ ILUSTRACJE JOANNA RUSINEK

Sam jesteś dla siebie najbezpieczniejszym partnerem. Masturbacja nie niesie ryzyka infekcji SARS-CoV-2, zwłaszcza jeśli myjesz ręce (oraz zabawki) wodą i mydłem przez co najmniej 20 sekund przed i po" – czytamy w informatorze wydanym na początku zeszłego lata przez nowojorski departament zdrowia. Urzędnicy pocieszają: „Nawet na dystans może być nieco perwersyjnie, masturbujcie się wspólnie – kamerki internetowe są sexy. Jeśli już koniecznie musicie się spotkać, bądźcie kreatywni: wymyślajcie pozycje i wybierajcie miejsca, dzięki którym wasze twarze będą jak najdalej od siebie". Z krótkiego, skromnego dokumentu, w którym jedyną ilustracją jest szarawy logotyp instytucji, dowiadujemy się również, jakie kontakty seksualne szczególnie sprzyjają zakażeniu koronawirusem, jakby mocodawcy zdawali sobie sprawę z wątpliwej skuteczności zalecenia „zostań w domu" – choć trudno nie polubić mydła i maseczki (a przy okazji także kamerki) po pilnym przestudiowaniu takiej broszury.

Nie tylko nowojorczycy ochoczo skorzystali z zaleceń troszczącej się o ich dobrostan instytucji. Z oficjalnych statystyk serwisu Pornhub, najpopularniejszego źródła pornografii na świecie, wynika, że w czasie pandemii wszyscy chętniej uprawialiśmy cyberseks. Także nad Wisłą.

Sekscesy

Gdy pod koniec lat 80. władze PRL mierzyły się ze wzrostem niepokojów społecznych, pogarszającą się sytuacją gospodarczą i falą strajków, za wentyl bezpieczeństwa posłużyła m.in. liberalizacja cenzury wobec seksu i erotyki. „Sekscesy" w telewizji, „Sexbutik" w „Sztandarze Młodych", „Na spocznij" w „Żołnierzu Polskim" i wreszcie – zgoda na publikację (w nakładzie 250 tys. egzemplarzy) rodzimego „Playboya", czyli „Pana. Magazynu Poradniczo-Hobbystycznego dla Mężczyzn", w którym obok zdjęć dokazujących na plaży młodych kobiet mimochodem leciały teksty o kluczowej roli Polski w ONZ. ↦

– Tak jak PRL luzował szlufki obyczajowego gorsetu, by przekierować energię Polaków na kabarety, koncerty rockowe czy pornografię, tak Pornhub, wprowadzając od marca 2020 r. darmowy pakiet premium, miał w tym swój ukryty interes – mówi „Tygodnikowi" Ewa Stusińska, badaczka dyskursu pornograficznego w polskiej prozie współczesnej oraz autorka mającej premierę w tegoroczne Walentynki książki reporterskiej o „świerszczykach", w której pojawia się także historia „Pana". – Nie sądzę, by po pandemii konsumenci tej oferty łatwo z niej zrezygnowali – przewiduje Stusińska.

Rzeczywiście, entuzjazm, z jakim specjaliści od zdrowia publicznego od kilkunastu miesięcy celebrują masturbację, może być krokiem nie tylko w kierunku „wypłaszczania krzywej", ale także destygmatyzacji seksu solo. Z drugiej strony – pandemicznej alternatywie dla seksu partnerskiego często towarzyszą zdjęcia i filmiki obudowane algorytmami, które błyskawicznie uczą się, co sprawia nam przyjemność, nie oczekując (poza opłatą abonamentową) zobowiązań ani wzajemności. Warszawa, która zaraz za Londynem, Paryżem i Rzymem jest największą europejską konsumentką pornografii, coraz częściej narzeka na nudę w sypialni. W ciągu ostatniego roku zmieniła jeszcze preferencje – zamiast swojskiego „polskiego porno" w pole wyszukiwania w serwisach pornograficznych wpisuje „koronawirus + sex".

Zamiast gry wstępnej

Po wielkim boomie początku lat 90., gdy całe nakłady „świerszczyków" znikały z kiosków i bazarowych szczęk w ciągu zaledwie kilku dni (jak wylicza medioznawca Tomasz Kowalski, dostępnych było wówczas ponad 80 tytułów prasowych), erotyka na analogowych nośnikach szybko przestała być chodliwym towarem. Nawet kopiowane w nieprzeliczalnych ilościach pirackie VHS-y powędrowały w końcu do piwnic i pawlaczy.

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne
MONIKA OCHĘDOWSKA
będzie gościem Agnieszki Lichnerowicz w „Światopodglądzie" Radia TOK FM, w środę 21 kwietnia o godz. 16.00
95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
– www.tokfm.pl

Nie tylko bohaterowie popkultury mają swój odpowiednik na stronach pornograficznych. W fantazjach seksualnych odbijają się bieżące wydarzenia, a pornografia jest sposobem na ich oswajanie. **Porno stało się formą interpretacji rzeczywistości.**

Uchwalenie w 1997 r. nowego kodeksu karnego depenalizującego tzw. miękką pornografię nie tylko umożliwiało pojawienie się nad Wisłą zachodnich wydawców, którzy swoimi produktami przyćmić mieli naszą półprofesjonalną wytwórczość. Było także objawem pękania państwa pod naporem treści erotycznych docierających coraz szerszym strumieniem – przez telewizję satelitarną, komórki czy dostępny już wtedy dla posiadaczy kabla telefonicznego internet. W tym samym roku pierwsze badania życia seksualnego Polek i Polaków przeprowadził prof. Zbigniew Izdebski.

Porównując kolejne, realizowane co cztery lata rundy jego badań, zauważyć można kilka interesujących prawidłowości. Przede wszystkim – fizycznej stronie naszych relacji przypisujemy coraz mniejsze znaczenie. W statystykach widać wyraźny wzrost odsetka osób uznających seks za nieistotny w ich życiu: 10 proc. w 2001 r. wobec 20 proc. w 2017 r. Coraz częściej przyznajemy się także do braku satysfakcji – w pierwszych miesiącach pandemii aż 19 proc. Polek i Polaków oceniało swoje życie seksualne jako nieudane (w roku 2017 było to 13 proc.), przy czym największe różnice zanotowano wśród najmłodszej grupy respondentów (wzrost niezadowolenia o 12 punktów procentowych u osób w wieku 18-29 lat).

– Największą przeszkodą na drodze do udanych relacji, na którą niezmiennie wskazują Polacy, jest zmęczenie i przewlekły, narastający latami stres wynikający z naszych aspiracji konsumpcyjnych – tłumaczy statystyki prof. Izdebski. – Nawet na podstawie rozmów z moimi pacjentami mogę powiedzieć, że młodzi ludzie pracują zdecydowanie za dużo: od rana do wieczora, często na dwóch etatach. Konsekwencją takiego trybu życia jest spadek częstotliwości współżycia seksualnego.

Coraz mniej czasu w łóżku poświęcamy na grę wstępną, coraz krócej trwa także, jak deklarujemy, sam stosunek. Powszechniejszy staje się natomiast autoerotyzm – regularnie masturbuje się co drugi mężczyzna i co czwarta kobieta w wieku od 18 do 49 lat (wzrost o 15 punktów procentowych w stosunku do 2011 r.) – i towarzysząca mu, jako element pobudzający, pornografia.

Pięć lat temu zetknięcie z nią deklarowało 75 proc. mężczyzn i 45 proc. kobiet; dziś (dane z badań prof. Izdebskiego za rok 2020) dokładnie tyle respondentek i respondentów mówi o regularnym z niej korzystaniu. Pandemia wzmocniła ten nawyk. W odpowiedzi na przeprowadzoną w pierwszych tygodniach lockdownu ankietę 31 proc. młodych mężczyzn i 16 proc. młodych dorosłych kobiet przyznało, że ogląda więcej pornografii niż zwykle. Przez internet nawiązywaliśmy także nowe relacje: 43 proc. młodych mężczyzn oraz 40 proc. kobiet częściej korzystało z aplikacji randkowych i decydowało się na cyberseks.

Trend zauważyły także badaczki z krakowskiego Muzeum Etnograficznego, które gromadziły dzienniki pierwszych tygodni pandemii. Czytamy w nich m.in.: „założyłem aplikacje Tinder i Badoo i tam poznaję dużo nowych kobiet", „nowe relacje nawiązuję przez portale randkowe dla zabicia czasu", „Tinder pozwala zmieniać lokalizację na całym świecie, więc można porozmawiać z innymi ludźmi, którzy też zmagają się z zamknięciem".

Eros i Tanatos

Izolacja i wynikająca z niej monotonia, a nawet deprywacja sensoryczna, której doświadczaliśmy odcięci nie tylko od innych ludzi, rozrywek i sposobności swobodnego randkowania, ale wszelkiej aktywności fizycznej, to jednak tylko jedna z przyczyn nagłego wzrostu zainteresowania stronami porno.

– Rzeczywiście, słyszę od pacjentów, że sięgają po pornografię z powodu nudy, w odpowiedzi na potrzebę nowego, silnego bodźca – przyznaje dr Robert Kowalczyk, psycholog, seksuolog kliniczny i psychoterapeuta, wykładowca Uniwersytetu SWPS. – Ale idąca w parze z masturbacją pornografia jest także istotnym

elementem regulacji napięcia seksualnego oraz emocji. Jeśli cierpimy wskutek niezaspokojenia podstawowych potrzeb, a z powodu pandemii dzieje się to z tysiąca różnych powodów, częściej będziemy też sięgać po pornografię. Masturbacja szybko redukuje napięcie, przynosząc ulgę i chwilowe oderwanie od rzeczywistości.

Badania, które zebrał, podsumował i opublikował kilka miesięcy temu na łamach „IJIR: Your Sexual Medicine Journal" zespół naukowców pod kierunkiem Fabia Zattoniego, jednoznacznie wskazują, że w przypadku pandemii to narastający niepokój prowadzi do większej konsumpcji pornografii. Ułatwiająca masturbację wizualna podnieta to powszechnie dostępna, niskokosztowa metoda sprawiania sobie przyjemności, radzenia z samotnością, objawami depresji, a nawet lękiem przed śmiercią.

Jak pisze związany z Instytutem Kinseya psycholog Justin J. Lehmiller, kiedy nieustannie pokazuje się nam drastyczne zdjęcia – jak robiły to, szczególnie na początku pandemii, media – a ludzi wokół oglądamy w kojarzących się z procedurami medycznymi maseczkach chirurgicznych i lateksowych rękawiczkach, wciąż przypominamy sobie o własnej śmiertelności. Podświadomie zmieniamy wówczas swoje postawy i zachowania tak, by móc poradzić sobie z tą „przerażającą, zwracającą ku ostateczności perspektywą", pisze Lehmiller. Wzniecanie pożądania jest jedną z postaw dających nadzieję na wyzdrowienie.

Spośród pięciu popularnych witryn pornograficznych poproszonych przez zespół Zattoniego o dane, tylko Pornhub umożliwił naukowcom pobranie statystyk. Pokazują one, że pod koniec marca 2020 r. odnotowano globalny 25-procentowy wzrost dobowego ruchu w serwisie w porównaniu ze średnimi wynikami na przestrzeni ostatnich czterech lat.

Czy zatem rzeczywiście lęk, o którym pisze Lehmiller, był tak silny, jak sugerowałyby to statystyki naszych odwiedzin na Pornhubie? Zespół psychologów z Uniwersytetu SWPS, Instytutu Psychologii PAN i Indiana University w Pensylwanii raz na kwartał pytał o obawy związane z pandemią. Odpowiedzi pokazują, że to młodzi ludzie w wieku od 18 do 24 lat byli przez cały ten czas najbardziej dotknięci skutkami lockdownu – częściej zdarzały im się napady złości, agresji czy frustracji. Narastało poczucie osamotnienia, a obniżało się zadowolenie z życia i przekonanie o sprawowaniu nad nim kontroli. W każdym z czterech etapów badania młode kobiety wypadały gorzej niż mężczyźni.

Jak się masz?

To właśnie młodym kobietom postanowiły się przyjrzeć badaczki z Zakładu Seksuologii Społecznej i Klinicznej UAM.

– Chciałyśmy dowiedzieć się, na ile dla funkcjonowania seksualnego kobiet w czasie pandemii ma znaczenie ich stan emocjonalny – opowiada „Tygodnikowi" psycholożka i seksuolożka kliniczna dr Monika Zielona-Jenek. – Wnioski na razie możemy formułować bardzo ostrożnie – zastrzega, przeglądając, ze względu na ogromną liczbę uczestniczących w badaniu respondentek, nie do końca jeszcze opracowane wyniki. – Ale jedno jest pewne: połowa ankietowanych kobiet opisała istotne obniżenie jakości swojego funkcjonowania seksualnego, czyli słabe pożądanie, trudności w podniecaniu, doświadczaniu orgazmu i satysfakcji seksualnej, a także doświadczanie bólu. ↦

Porno, psychika, uzależnienie

„PROBLEMATYCZNE KORZYSTANIE z pornografii w sieci" (ang. POPU) jest przedmiotem intensywnych badań i debat naukowców, choć wciąż nie udało się określić jasnych kryteriów rozpoznania uzależnienia od pornografii. Część prac wskazuje, że POPU – podobnie jak inne uzależnienia – wiąże się z problemami psychicznymi. Badanie grupy 1000 studentów opublikowane na początku tego roku wskazuje, że wśród tych kompulsywnie oglądających pornografię zaburzenia depresyjne zgłaszało ponad 55 proc. A oprócz depresji były inne zaburzenia nastroju, które (poza objawami psychiatrycznymi, takimi jak obniżony nastrój, niskie poczucie własnej wartości, anhedonia) mogły powodować szereg objawów somatycznych – osłabienie, bezsenność, ból brzucha, problemy żołądkowo-jelitowe i wiele innych. Wśród negatywnych efektów wymienia się także stres, zaburzenia lękowe i powiązanie uzależnienia od pornografii z innymi uzależnieniami, w tym od alkoholu, narkotyków i hazardu.

ZA KLINICZNĄ MANIFESTACJĘ tego potencjalnego zaburzenia uznaje się również brak satysfakcji psychoseksualnej i niemoc płciową. Jednak konsensus w tej kwestii nie jest ustalony: prace naukowe pokazują zarówno pozytywny, jak i negatywny wpływ pornografii na życie erotyczne i potencję badanych.

PROBLEMEM JEST jednak jej uzależniający charakter, który potwierdzają badania neurobiologiczne. Ciągły wyrzut dopaminy do mózgowego układu nagrody powoduje istotne zmiany neuroplastyczne, wśród nich redukcję wrażliwości jednych części mózgu i zwiększenie wrażliwości innych. Obserwuje się powiększenie w mózgu ciała migdałowatego, co może być efektem stresu związanego z uzależnieniem, zmniejszenie objętości prążkowia, który jest elementem układu nagrody, a także spadek liczby połączeń między tymi elementami a korą skroniową i przedczołową mózgu, co może tłumaczyć trudności w kontrolowaniu zachowań seksualnych. Redukcji ulega również sama kora przedczołowa, a to obserwowane było także w przypadku innych uzależnień, np. od internetu. ©BK

↦ Kobiety pisały o dezorientacji i lęku, spadku zainteresowania współżyciem, dokuczliwym braku możliwości realizacji swoich potrzeb seksualnych. Dla wielu młodych kobiet trudnością było ograniczenie możliwości spędzania wspólnego czasu z partnerem lub partnerką seksualną, z którymi nie mieszkają na co dzień.

– Druga rzecz, jaka rzuca się w oczy, to nasilenie zaburzeń emocjonalnych – relacjonuje dr Zielona-Jenek. – Na ogólne pytanie o samopoczucie 65 proc. kobiet odpowiedziało, że na początku pandemii znacznie się ono pogorszyło. Ok. 30 proc. młodych kobiet pisało, że były to takie trudności, które w znaczącym stopniu utrudniały im funkcjonowanie na co dzień. Inną kwestią jest, że aż 25 proc. kobiet zadeklarowało zmaganie się z chorobami przewlekłymi: zaburzeniami nastroju, zaburzeniami odżywiania, chorobami układu pokarmowego, neurologicznymi, dolegliwościami ginekologicznymi czy endokrynologicznymi.

Jak podkreśla dr Zielona-Jenek, z przeprowadzonych badań wynika jednak, że fakt, iż kobiety chorują przewlekle, nie ma bezpośredniego wpływu na ich funkcjonowanie seksualne. Dla możliwości czerpania satysfakcji z własnej seksualności większe znaczenie ma to, jakie jest subiektywne odczucie stanu zdrowia, mówiąc prościej – samopoczucie.

Prowadzone na świecie badania potwierdzają, że obniżony nastrój ma wpływ na częstotliwość współżycia i zmniejszoną satysfakcję z życia seksualnego. Próbują również wyjaśniać wykorzystywanie pornografii jako – wywołanej kryzysem – ucieczki od rzeczywistości. Albo próby jej obłaskawienia.

Kosmici w Wuhan

Wśród najbardziej pożądanych osób i tematów wpisywanych w okienko wyszukiwania na stronie Pornhub (obok „amatorek i amatorów", czyli osób spoza branży pornograficznej) są postaci ze świata popkultury i polityki, ale także zjawiska, o których dowiadujemy się za sprawą mediów społecznościowych. Chcemy oglądać kosmitów, osoby przebrane za postaci z gier (*cosplay*), posłuchać dźwięków wywołujących gęsią skórkę (ASMR). Co więcej: wiele emocjonujących, wyczekiwanych na całym świecie wydarzeń, jak premiera „Cyberpunka 2077" czy „Avengersów", debata prezydencka w USA, a nawet wizyta piosenkarki Miley Cyrus w popularnym podkaście, sprawiają, że pragniemy obejrzeć ich pornograficzne odpowiedniki. Dotyczy to nawet tak mało „seksownych" sytuacji, jak awaria oprogramowania do wideokonferencji i spotkań online (gdy w Wielkiej Brytanii i USA padł znany dziś każdemu Zoom, jego zawiedzeni użytkownicy ruszyli na Pornhuba).

– Nie tylko każdy bohater popkultury ma swój odpowiednik na stronach pornograficznych – tłumaczy tę prawidłowość dr Kowalczyk. – Bieżące wydarzenia po prostu znajdują odzwierciedlenie w fantazjach seksualnych, a pornografia jest sposobem na ich oswajanie. Film pornograficzny stał się formą interpretacji rzeczywistości. Jeśli w innych dziedzinach twórczości artystycznej i gatunkach

Pornografią w samotność, rozmową w pornografię

„W CIĄGU OSTATNIEGO ROKU z pewnością widziałeś(-aś) wiele różnych obrazków, zdjęć czy filmów. Czasami mogły być one w sposób wyraźny związane z seksem – np. pokazywały nagich ludzi albo ludzi w czasie seksu. Czy w ciągu ostatnich 12 miesięcy widziałeś(-aś) cokolwiek tego typu?" – zapytała uczniów w wieku 11-18 lat Fundacja Dajemy Dzieciom Siłę na potrzeby ogłoszonego pod koniec 2017 r. raportu „Kontakt dzieci i młodzieży z pornografią" (Kantar Millward Brown SA i Realizacja sp. z o.o.). 43 proc. nastolatków i dzieci – w tym co drugi chłopiec i co trzecia dziewczyna – miało w ciągu roku poprzedzającego badanie kontakt z materiałami pornograficznymi bądź seksualizującymi. Aż co piąty respondent odmówił jednoznacznej odpowiedzi, dlatego skala zjawiska może być większa. Co piąty badany mający kontakt z pornografią trafia na nią codziennie, co czwarty – raz lub dwa razy w tygodniu.

– NIE MAMY najświeższych danych, ale można sądzić, że w pandemii skala zjawiska jest nawet większa – mówi Marta Wojtas, psycholożka i koordynatorka Poradni „Dziecko w Sieci" FDDS. – Rodzice dzieci, które miały kontakt online z pornografią, zgłaszają się do nas częściej niż przed marcem 2020 r. Wiemy też, że w czasie epidemii i lockdownu zwiększyła się aktywność młodych ludzi polegająca na przesyłaniu osobom poznanym w sieci własnych zdjęć intymnych, co może wynikać m.in. z zaniku bądź osłabienia relacji rówieśniczych w świecie realnym i poszukiwania ich w tym wirtualnym. Skądinąd wiemy też, dzięki doniesieniom Europolu, że wzrosła aktywność sieciowa pedofilów, i że zwiększyła się liczba pobrań materiałów przedstawiających wykorzystywanie seksualne dzieci. To wszystko razem daje obraz sytuacji, w której młodzi są narażeni na jeszcze większe ryzyko skrzywdzenia niż przed epidemią. A także większe prawdopodobieństwo wyrządzenia krzywdy sobie samemu, bo pornografia ma duży potencjał uzależniający, dostarczając bodźców bardzo stymulujących mózg i rozregulowując w układzie nerwowym tzw. ośrodek nagrody.

CO MOŻEMY JAKO RODZICE ZROBIĆ? Po pierwsze, jeszcze bardziej niż zwykle zwracać uwagę na bezpieczeństwo dzieci w internecie. Po drugie, dostrzegłszy coś niepokojącego porozmawiać, traktując takie zdarzenie jako pretekst, by zająć się psychoseksualnym rozwojem naszego dziecka. Informacje od mądrych dorosłych będą zawsze lepsze niż „wiedza" z sieci.

©℗ PW

filmowych: fabularnych, dokumentalnych czy *fantasy*, szukamy odwzorowania otaczającego nas świata, podobnie rzecz się ma z pornografią.

Pornhub poinformował o pierwszych próbach wyszukiwania „SARS-CoV-2" już pod koniec stycznia 2020 r., niedługo potem pornografia o tematyce koronawirusowej stała się globalnym trendem. Być może sam serwis rozbudził naszą ciekawość, bo już w marcu 2020 r. ponad 9 milionów razy wpisano w jego wyszukiwarkę słowa „corona" i „covid" (tę prawidłowość widać także w trendach Google'a). Co zobaczymy na ekranie? Seks w maskach, rękawiczkach czy kombinezonach, czasem akcja filmu rozgrywa się w Wuhan.

Tego rodzaju poszukiwania mogą być – jak czytamy w artykule zespołu Zattoniego – odpowiedzią na nieustanną potrzebę newsów i nowych doznań (tzw. *novelty seeking*), która, jeśli realizuje się w obrębie treści pornograficznych, może prowadzić do przesuwania granicy akceptowalnych bodźców w niebezpiecznym kierunku, np. sięgania po obrazy seksu i przemocy. Ta potrzeba nowości jest jednocześnie związana, jak mówi dr Kowalczyk, z automatyczną koniecznością ich oswajania, a także – jak widać po przywołanych powyżej trendach – naszą skłonnością do fetyszyzowania praktycznie wszystkiego.

Znana jest anegdota, wedle której kiedy ludzie angażują się w czynności wywołujące stan wyjątkowego pobudzenia – jak jazda kolejką górską – a następnie spotykają nieznajomego, jego atrakcyjność wzrasta. Sytuacje wywołujące lęk, jak pandemia koronawirusa, także mogą potęgować podniecenie i pobudzenie seksualne. W tym kontekście, jeśli ludzie oglądają wywołujące w nich niepokój wiadomości o koronawirusie (co oznacza, że są w stanie pobudzenia fizjologicznego) i zobaczą ujęcie atrakcyjnej osoby w masce, może to stanowić podstawę do rozpoczęcia seksualizacji tego obrazu, a więc także poszukiwania w internecie treści odpowiadających formule „koronawirus + sex" – dowodzi na łamach pisma „Psychology Today" Lehmiller. Nadwyżka emocji domaga się rozładowania w akcie masturbacji.

– Podczas rozmów z pacjentami często mam wrażenie, że doświadczając stanu napięcia fizycznego nie potrafimy odróżnić stresu od podniecenia – potwierdza prof. Izdebski. – Materiały pornograficzne dają szansę chwilowego rozładowania napięcia seksualnego, ale nie pomagają w dłuższej perspektywie radzić sobie ze stresem.

Każdy z nas zapewne choć raz poczuł, że pandemia zamknęła go w dziwnej przestrzeni między przeszłością a przyszłością, w „już nie i jeszcze nie", i podobnie rzecz się ma z pornografią. O ile, jak zwracał uwagę w monografii poświęconej historii tego zjawiska socjolog prof. Lech Nijakowski, powieści czy filmy pornograficzne miewają swój początek, to nie mogą mieć właściwego innym formom fabularnym końca – chwilowo zaspokojony odbiorca opuszcza świat przedstawiony, by za jakiś czas powrócić do niego z nową potencją jako do „wiecznego teraz".

Punkt widzenia gracza

Prof. Nijakowski w swojej monografii zwracał także uwagę na to, co różni interpretującego rzeczywistość widza filmu dokumentalnego od widza filmu pornograficznego – otóż pornografia zakłada jego pełne, także fizyczne zaangażowanie. Krytyczne oko uniemożliwia pobudzenie ciała. W tym kontekście wymarzonym dla rozwoju pornografii medium wydają się konsole i gry wideo. I rzeczywiście – już w 2019 r. gatunek „POV" (chodzi o *point of view*, czyli sytuację, w której widz dzięki wirtualnej rzeczywistości może się poczuć aktorem filmu) był jednym z trzech najczęściej wyszukiwanych w serwisie Pornhub.

Nie trzeba być jednak posiadaczem drogich gogli VR, by zostać wirtualnym gościem domu publicznego czy wdać się w cyberromans. Zaraz po premierze wyprodukowanego przez CD Projekt „Cyberpunka 2077", najgłośniejszej gry czasu pandemii, milion osób na całym świecie nie tylko jednocześnie uprawiało wirtualny seks z przypadkowo napotkanymi w niej postaciami, przy okazji realizowania swoich misji (w pewnym momencie gry wyłącznie jako mężczyzna, „w ciele" Johnny'ego Deppa), ale także znajdowało w świecie przedstawionym setki erotycznych gadżetów i plakatów.

– Rzeczywiście one są wszędzie – przyznaje zajmująca się seksualnością gier autorka fanpage'a „6 kolorów gier wideo" Aleksandra Olszar. – To tylko pokazuje, jak bezmyślnie przeseksualizowany jest ten świat.

Zapytana o zacieranie granic między pornografią a popkulturą i fakt, że sceny seksu między bohaterami „Cyberpunka 2077" także trafiły do serwisów pornograficznych, Olszar odwołuje się do tezy przywołanej już przez dr. Kowalczyka – jeśli coś istnieje w internecie, ma swoją reprezentację w pornografii. Dlaczego ten trend zyskuje na popularności?

– Być może cyfrowy charakter takich filmów sprawia, że z umysłu oglądającego znikają nieodłączne przy konsumowaniu klasycznej pornografii pytania o to, czy wszyscy są na planie z własnej woli, czy nikomu nie dzieje się krzywda i czy zysków nie zgarnia grupa przestępcza. A może po prostu przenikanie tych sfer stało się już swego rodzaju sztuką fanowską – zastanawia się Olszar.

Gry takie jak „Cyberpunk 2077" są doskonałą realizacją idei pornografii w rozumieniu Nijakowskiego: uczestniczymy tu już nie tylko podnieceni po drugiej stronie ekranu, ale w samym akcie seksualnym – poprzez swój awatar.

– Romanse w grach fabularnych powstają po to, by gracz mógł nawiązać większą więź ze światem przedstawionym, poczuć, że ma w nim coś własnego, intymnego – mówi Olszar. – Jeszcze dekadę temu sceny erotyczne zdecydowanie za często były w grach formą nagrody. Ponadto pisane były wyłącznie z myślą o mężczyznach. Dziś, gdy częściej grają kobiety, osoby o różnej wrażliwości i różnych potrzebach, gry dojrzały.

Tę ewolucję widać m.in. na przykładzie produkcji kanadyjskiego studia BioWare.

– Zmiany zachodziły nawet w obrębie tych samych serii – opowiada Olszar. – „Mass Effect" i „Dragon Age" zaczynały od traktowania seksu jako nagrody dla gracza, ale kolejne odsłony tych samych marek odchodziły od tego wzorca. W „Dragon Age: Inkwizycji" z 2014 r. nie każdy romans kończy się seksem. W „Mass Effect: Andromedzie" (2017) gracz może seksu odmówić, proponując, by okazać sobie uczucia w inny sposób. Co ważne, nie jest to potępiane ani traktowane w scenariuszu rozgrywki jako zły wybór. Duża część romansów w grach w ogóle nie skupia się już zresztą na treściach seksualnych. Relacje budowane są raczej na wspólnych doświadczeniach i wzajemnym, stopniowym poznawaniu postaci. Jeśli już dochodzi do aktu, nie jest on pozostawiony bez kontekstu, a staje się np. częścią rytuału przejścia młodego bohatera w dorosłość, jak w „Life is Strange 2" (2018).

↦

Szkoła uczuć i fabryki zabawek

Dojrzałość, zarówno konsumentów, jak i ustawodawców na poziomie krajowym i międzynarodowym, jest skądinąd warunkiem rozmowy o pornografii.

– Materiały erotyczne z założenia nie są przeznaczone dla niepełnoletniego widza. Ludzie dorośli, świadomi, jaki film oglądają, mają do tego prawo – zastrzega prof. Izdebski. – Problem, jaki wiąże się z nadmiernym korzystaniem z pornografii w pandemii, tkwi raczej w braku dyskusji na jej temat. Przy czym nie chodzi tylko o to, by powtarzać sobie, że pornografia nie odzwierciedla rzeczywistego życia seksualnego i nie pokazuje ludzi, którzy naprawdę się kochają. Rozmawiajmy o tym, dlaczego sięgamy po pornografię. Co daje jej oglądanie? Wreszcie: co zastępuje?

Konieczna jest edukacja seksualna, która uczy odróżniać seks od seksizmu, fantazję od przemocy, a wyczyny kaskaderskie na planach filmowych od zachowań w sypialniach. Oraz świadomość, że aktorzy dobierani są „po warunkach", wydepilowani i stymulowani (poprzez pompki naczyniowe przyjmują substancje wzmacniające – jak opisuje w jednym z artykułów na temat przemysłu pornograficznego dr Kowalczyk). Materiały kręcone są wiele dni, cięte i montowane, a następnie komputerowo korygowane. Pornografia nie jest filmem dokumentalnym – jest zobrazowaniem fantazji o życiu seksualnym. Ale jej zakaz nie rozwiąże naszych problemów w łóżku.

Doświadczając napięcia fizycznego, często **nie odróżniamy stresu od podniecenia.** Materiały pornograficzne dają szansę chwilowego rozładowania napięcia seksualnego, ale nie pomagają w dłuższej perspektywie radzić sobie ze stresem.

– Wiemy z historii, jak represjonowanie seksualności wpływało na wzrost podziemia przestępczego, przykład wiktoriańskiej Anglii jest tu najbardziej wymowny – przypomina Ewa Stusińska. – Z drugiej strony, wolna amerykanka prowadzi do innego typu nadużyć, jak przejmowanie produkcji przez międzynarodowych gigantów hardcore'u, którzy troszczą się o zysk kosztem praw pracowniczych, ciągłego podkręcania bodźców czy tworzenia mechanizmów uzależnienia. Niszowe produkcje czy filmy takich autorek, jak szwedzka reżyserka Erika Lust, nie mają z nimi szans. Nowe regulacje wymagałyby przede wszystkim uznania pornografii za legalną branżę i zaproszenia jej do trójstronnego dialogu (rząd – organizacje – pracodawcy) w celu wypracowania optymalnych rozwiązań. Tymczasem w Polsce nie ma na nią nawet oddzielnego kodu Polskiej Klasyfikacji Działalności, więc producenci gadżetów erotycznych korzystają z PKD wytwórców zabawek.

Pandemia i towarzyszące jej zjawiska, jak przymusowa izolacja, wywołują silny stres i zaburzenia nastroju, a następnie, pozostawiając nas z nadmiarem wolnego czasu i nieograniczonym dostępem do pornografii, mogą prowadzić do uzależnienia, które skutkuje tylko pogłębieniem zaburzeń, drażliwością i lękiem. Specjaliści są jednak sceptyczni wobec obaw, czy obserwowane w ciągu ostatniego roku wzmożone zainteresowanie stronami z pornografią przełoży się w dłuższej perspektywie na dysfunkcje seksualne.

„Podobnie jak w przypadku większości aspektów trwającego kryzysu związanego z koronawirusem, nie ma jeszcze wystarczających danych do formułowania takich prognoz – podkreśla na łamach „The Conversation" psycholog Joshua B. Grubbs. – Kiedy ludzie znów będą mogli bezpiecznie spędzać czas z przyjaciółmi i partnerami, wykorzystanie pornografii prawdopodobnie wróci do poziomów sprzed pandemii" – pisze. Podobnego zdania jest prof. Izdebski.

O tym, czy rzeczywiście mamy do czynienia z krótkoterminowymi adaptacjami, czy długoterminowymi wzorcami zachowań, przekonamy się prawdopodobnie z jego kolejnych badań.

©℗ MONIKA OCHĘDOWSKA

TYGODNIK POWSZECHNY ▪ www.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik),
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Okoński, Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczmińska (kierownik), Mateusz Gawron, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Manager IT: Bartłomiej Swojak
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Jan Klata, Andrzej Stasiuk, Jacek Podsiadło, Dorota Masłowska, Zuzanna Radzik, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Hanna Krall
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

▪ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

▪ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

Nowy film Fundacji Tygodnika Powszechnego

„Zaczęło się o świcie, od walenia w okno. Był 1942 rok”.

Od tych słów rozpoczyna się reportaż Jacka Tarana, opublikowany w „Tygodniku Powszechnym” dwa lata temu. Opowiada historię, która zaczęła się w 1942 roku i która nadal trwa, a to dzięki Dariuszowi Popieli i Jakubowi Dydzie. Mogą Państwo również stać się jej częścią, wspólnie możemy tę historię ponieść w przyszłość.

„Egzekucja trwała niecałą godzinę. Dwanaście osób, mniej niż pięć minut na osobę, to i tak za dużo. Niektórzy desperacko próbowali się szarpać, krzyczeć, uciekać, inni znosili swój los w ciszy, z rezygnacją” – Jacek Taran opisuje scenę wymordowania przez gestapo krościeńskich Żydów. Cmentarz, na którym pochowano zabitych, jeszcze w 2010 roku był zarośnięty, znaleziono na nim tylko jeden nagrobek, choć wiadomo, że były ich tu setki. To przed dekadą pierwszy raz uprzątnięto kirkut, jednak szerokie wsparcie dla jego odnowienia – a więc dla odnowienia pamięci o mieszkających tam Żydach i popełnionych na nich zbrodniach, które tragicznie zakończyły ich życie – zaczęło napływać dzięki energicznej pracy **Dariusza Popieli**, na co dzień sportowca, olimpijczyka z Pekinu w 2008 roku, wicemistrza Europy w kajakarstwie górskim.

Jak to się dzieje, że młody, świetny sportowiec zaczyna się interesować tragedią ludzi, z którymi nic go nie łączy i którzy nawet nie są jego przodkami?

Chcemy odpowiedzieć na te pytania w filmie – dokumencie o odzyskiwaniu pamięci przez podhalańską społeczność.

Autorem scenariusza i reżyserem produkowanego przez Fundację Tygodnika Powszechnego obrazu „Ukos światła” jest **Wojciech Szumowski** – absolwent łódzkiej filmówki, doświadczony dokumentalista, twórca pasma dokumentalnego „Polska bez fikcji” w Telewizji Polskiej (2000-2001), laureat wielu polskich i zagranicznych nagród.

Niestety produkcja filmu nie otrzymała dofinansowania z PISF, jednak uzbrojeni w dobre opinie ekspertów traktujemy to jako dodatkową motywację, by nie ustawać w pracy nad tym projektem. Wzmocnieni doświadczeniem naszego poprzedniego filmu „xABo: ksiądz Boniecki”, wierzymy w nasz projekt i w naszych darczyńców, partnerów oraz sponsorów.

Zapraszamy Państwa do udziału w zbiórce na ten cel, a więc także do napisania kolejnego rozdziału w historii, która swój początek ma przed dekadami. Tym razem niech to będzie rozdział o tym, jak wspólnym wysiłkiem Polki i Polacy przywracają pamięć. Dołącz do nas!

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Zbiórka dostępna jest na Facebooku pod adresem **powszech.net/ukos**, wpłat można także dokonywać bezpośrednio na konto Fundacji Tygodnika Powszechnego z tytułem „Ukos światła”:
Fundacja Tygodnika Powszechnego,
ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków

Santander Bank Polska S.A.
nr: **31 1910 1048 2006 1845 1121 0001**

przelew w USD: **PL17109000880000000141402432**
przelew w EUR: **PL80109000880000000141402365**
SWIFT: **WBKPPLPP**

Dziękujemy!

OGŁOSZENIE OPP

Zdjęcia z powstającego filmu „Ukos światła”. Dariusz Popiela po lewej na pierwszym planie.

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Nieczysta

Czystość i nieczystość rytualna – czy te kategorie mają jakieś przełożenie na nasze życie dziś? Ostatnie zburzenie Świątyni Jerozolimskiej miało miejsce prawie dwa tysiące lat temu, a stan nieczystości rytualnej zwykłego Izraelity przede wszystkim uniemożliwiał mu przekroczenie jej progów. Jednak prawa te są nadal żywe dla potomków Aarona – mam nadzieję poświęcić temu zagadnieniu osobny felieton – oraz dla ortodoksyjnych par (teoretycznie konserwatywnych również). Cielesne aspekty pożycia małżeńskiego ściśle reguluje miesięczny cykl kobiety i, na mocy talmudycznej decyzji rabinów, modyfikującej zakaz biblijny (Kpł 15, 19-24), kobieta w płodnym okresie swojego życia jest z grubsza przez połowę tego czasu nieczysta rytualnie, nawet jeśli nie zajdzie w ciążę.

„Jeśli kobieta zajdzie w ciążę [hebr. *tazrija*, dosł. wyda nasienie] i urodzi dziecko płci męskiej (...) Ale jeśli urodzi dziecko płci żeńskiej...” (12, 2 i 5). To zadziwiająca różnica: przez siedem dni po urodzeniu chłopca matka znajduje się w stanie rytualnej nieczystości – tak jak podczas menstruacji. Przez kolejne 33 dni ma się trzymać z dala od wszystkiego, co związane ze Świątynią. Jeśli powije córkę, okres „kwarantanny” jest dwukrotnie dłuższy: dwa tygodnie, a potem jeszcze 66 dni. Po upływie owych 40 bądź 80 dni matka przekazuje kapłanowi u wrót świątynnych ofiarę całopalną i przebłagalną (Cylkow: zagrzeszną), aby odzyskać status czystej rytualnie. Dlaczego od płci noworodka zależy długość „kwarantanny”? Można próbować wyjaśnić to faktem, że rodząc dziewczynkę, sprowadza się na świat kolejną potencjalną matkę. Choć niektórym sama narzuca się interpretacja, jakoby był to dowód, że potomek męski jest preferowany.

Dlaczego kobieta po porodzie musi złożyć ofiarę zagrzeszną? Jako nastolatka usłyszałam następujące wyjaśnienie: należy mniemać, że podczas silnych bólów porodowych matka poprzysięgła, że już nigdy nie zajdzie w ciążę. To oczywiście nieziszczalne w obliczu obowiązków wobec męża. Musi więc złożyć ofiarę zagrzeszną za ślubowanie, które było wyrazem buntu przeciwko niemu. Czyżby kobieta naprawdę zgrzeszyła? A może to niefortunny błąd w tłumaczeniu? „Grzech” to po hebrajsku *chet*, więc ofiarę *chatat* wielu nazywa „zagrzeszną”. Tymczasem ta ofiara niczym nie różni się od ofiar składanych z okazji oczyszczenia, gdy nie został popełniony żaden grzech (patrz np. 15, 30).

A jak jest z tym „wydaniem nasienia”? Talmud w traktacie poświęconym menstruacji mówi, że jeśli kobieta pierwsza „wyda nasienie”, urodzi chłopca, a jeśli mężczyzna – urodzi się dziewczynka. Rabinom może oczywiście chodzić o owulację, ale właściwie dlaczego nie o orgazm? Chcesz mieć syna – zadbaj o zadowolenie żony. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Boży coming out

Ewangelia, przy całej swojej powadze i pięknie, byłaby tylko zbiorem wzruszających tekstów, gdyby jej treść wyczerpywała się w słowach. „Zobaczcie, jak wielką miłością obdarzył nas Ojciec – mówi Jan Ewangelista – abyśmy zostali nazwani dziećmi Bożymi – i nimi jesteśmy! (...) Umiłowani, teraz jesteśmy dziećmi Bożymi, a jeszcze się nie okazało, czym będziemy. Wiemy, że gdy się to okaże, będziemy do Niego podobni, gdyż ujrzymy Go takim, jakim jest”. Zachwycająca perspektywa, ale wygląda na to, że Jan obiecuje to samo, co w Edenie wąż obiecywał Ewie i Adamowi: „Bóg wie, że gdy zjecie ten owoc, otworzą się wam oczy i staniecie się jak Bóg: poznacie dobro i zło”.

Poznać dobro i zło może według żydowskich komentatorów oznaczać, że Adam i Ewa zapragnęli wejść w kompetencje Boga i stworzyć nowy świat, inny od tego, który stworzył Bóg. Zapragnęli pójść na swoje. Finał tego odejścia dokona się na Golgocie, kiedy ich potomkowie zabiją „kusiciela”: „Wyżsi kapłani oraz faryzeusze zwołali więc Wysoką Radę i zastanawiali się: »Co mamy robić? Człowiek ten dokonuje wielu znaków. Jeśli Go tak pozostawimy, wszyscy Mu uwierzą. Wtedy też wkroczą Rzymianie i zniszczą zarówno naszą świątynię, jak i naród«”.

Przywódcy, skazując Jezusa na śmierć, kierowali się poczuciem odpowiedzialności za powierzony im (przez Boga przecież) lud. Mylili się: „Bracia! – mówi Piotr Apostoł. – Wiem teraz, że tak jak wasi zwierzchnicy, zrobiliście to z niewiedzy”, ale „właśnie w ten sposób wypełniło się to, co wcześniej Bóg przez wszystkich proroków zapowiedział o cierpieniu Chrystusa” i w ten sposób Bóg dokonał swoistego coming outu. Odsłonił swoją twarz w twarzy Jezusa z Nazaretu, a Jego zapewnienia o miłości stały się faktem niemożliwym do zanegowania.

Ale tak nie jest. Nadal nie patrzymy na świat oczami Dobrego Łotra, który w odpowiedzi na prośbę „Jezu, wspomnij o mnie, gdy wejdziesz do swego królestwa” usłyszał: „Zapewniam cię: dzisiaj ze Mną będziesz w raju”, ale oczami tych, którzy żyją nadzieją powszechnego potępienia wszystkiego.

Zapominamy, iż w przeszłości Bóg słowa dotrzymał i nadal dotrzymuje wcale nie dlatego, że na to zasługujemy, ale dlatego, że Bóg nie może przestać kochać. Paweł Apostoł mówi: „Kto wystąpi przeciw wybranym przez Boga? Przecież sam Bóg usprawiedliwia! (...) Kto nas oddzieli od miłości Chrystusa? (...) Jestem pewny, że stworzenie nie zdoła nas oddzielić od miłości Boga, objawionej w Chrystusie Jezusie, naszym Panu”. Owszem, człowiek może rozstać się z Chrystusem, ale po wydarzeniu na Golgocie wiemy, że będzie to porzucenie jednostronne – i w tym cała nasza nadzieja.

Nie ma potrzeby wracać do Edenu, coś nieskończenie więcej jest nam dane. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Jezus!

„Nie przestawali też co dzień nauczać w świątyni i po domach i głosić Dobrą Nowinę o Jezusie Chrystusie” – tak brzmi swoiste podsumowanie pierwszych pięciu rozdziałów Dziejów Apostolskich (Dz 5, 42). Warto pokusić się jednak o tłumaczenie dosłowne i zachowujące oryginalny szyk zdania, nawet jeśli okaże się daleko mniej zgrabne: „Każdego dnia w świątyni i po domach nie ustawali, nauczając i ogłaszając Jezusa Chrystusa [jako] Dobrą Nowinę”.

Po co ten zabieg? Po to, by nie rozminąć się z intencją tak św. Łukasza, jak i apostołów, o których opowiada. Łukasz jest precyzyjny. Nie mówi: głosili nowinę o Jezusie Chrystusie; mówi: głosili Jezusa Chrystusa. W centrum nauczania i ewangelizacji jest Osoba, nie doktryna, nie opowieść (w tym samym kluczu św. Paweł pisze do Efezjan: „Wy zaś nie tak nauczyliście się Chrystusa”; Ef 4, 20).

Chrześcijanin uczy/uczy się Jezusa Chrystusa, a nie o Jezusie Chrystusie. Punktem dojścia nie jest wiedza: znajomość „biografii”, a nawet „nauczania” Jezusa; punktem dojścia jest spotkanie i komunia osób – głęboka i przemieniająca. Punktem wyjścia również nie jest wiedza, którą chcę się podzielić, lecz doświadczenie miłości, którego nie chcę, nie mogę, nie potrafię zatrzymać wyłącznie dla siebie. Tak punkt wyjścia, jak i punkt dojścia zakłada jedno: On żyje, a spotkanie z Nim wszystko zmienia.

Tu cytat z Franciszka: „Jeśli dla wielu młodych [czy tylko młodych? – GR] Bóg, religia i Kościół wydają się pustymi słowami, to są oni wrażliwi na osobę Jezusa, gdy jest ona przedstawiona w atrakcyjny i skuteczny sposób” (adhortacja „Christus vivit”, 39). I dalej: „Młodzi [znów: czy tylko oni?] nie chcą widzieć Kościoła milczącego i nieśmiałego, ani też zawsze walczącego o dwa lub trzy tematy, będące jego obsesją” (41).

I jeszcze cytat z Pawła VI: „On jest pierworodnym wobec wszelkiego stworzenia, w Nim wszystko istnieje. On Nauczycielem ludzi i Odkupicielem; dla nas narodził się, umarł i zmartwychwstał. On jest ośrodkiem dziejów świata. On zna nas i miłuje. On towarzyszem i przyjacielem w życiu, mąż boleści i nadziei (...). Obym nigdy nie przestał o Nim mówić: On jest światłem, On prawdą, owszem, »drogą, prawdą i życiem«. On chlebem i źródłem wody żywej: zaspokaja głód i gasi pragnienie. On pasterzem, przewodnikiem, wzorem, naszą pociechą i bratem. Tak jak my, owszem, bardziej niż my, był zapoznany, ubogi, pogardzany, utrudzony, prześladowany, doznający cierpień. (...) On jest pośrednikiem, jakby mostem między niebem a ziemią. On jest Synem Człowieczym w najpełniejszy i najdoskonalszy sposób, ponieważ jest Synem Boga, odwiecznym, nieskończonym, oraz Synem Maryi, błogosławionej między niewiastami Jego Matki według ciała i naszej Matki przez łączność z Duchem Ciała Mistycznego. Jezus Chrystus! Pamiętajcie: Jego to głosimy wam na wieczność”. ©

Ogień dobrej pamięci powoli pochłania zło.

DIADOCH Z FOTYKI

Myśl czysta i bezpożądliwa jest jak morze, na którym swobodnie kołysze się flotylla wszechrzeczy.

HENRYK ELZENBERG

Wybrał PIOTR SIKORA

CZYTANIA LITURGICZNE (25 IV – 2 V)

4. niedziela wielkanocna: Dz 4, 8-12; Ps 118; 1 J 3, 1-2; J 10, 11-18;
Poniedziałek: Dz 11, 1-18; Ps 42; J 10, 1-10;
Wtorek: Dz 11, 19-26; Ps 87; J 10, 22-30;
Środa: Dz 12, 24 – 13, 5a; Ps 7; J 12, 44-50;
Czwartek: 1 J 1, 5 – 2, 2; Ps 103; Mt 11, 25-30;
Piątek: Dz 13, 26-33; Ps 2; J 14, 1-6;
Sobota: Dz 13, 44-52; Ps 98; J 14, 7-14;
5. niedziela wielkanocna: Dz 9, 26-31; Ps 22; 1 J 3, 18-24; J 15, 1-8.

KOALICYJNY KOCIOŁ

Opozycja z satysfakcją kibicuje napięciom w Zjednoczonej Prawicy. Dobrze byłoby, gdyby przyglądała się im uważniej, bo sama jest przecież w trakcie ucierania własnych relacji.

JAROSŁAW FLIS

ANDRZEJ HULIMKA / FORUM

Gdy PiS w 2015 r. przejęło władzę, jednym z jego atutów umożliwiających podjęcie radykalnych działań była jedność. Przekonanie, podzielane także przez przeciwników (a nawet przez nich podkreślane), o poczuciu wspólnoty, jednego celu, niepodważalnego przywództwa i determinacji. Dzisiaj nic z tego nie zostało.

Formalnie sytuacja jest taka sama jak przed pięciu laty. Taka sama liczba mandatów w Sejmie, ten sam prezydent, ci sami liderzy partyjni – jednak to tylko pozory. Koalicja już nawet nie trzeszczy w szwach. Wygląda to tak, jakby przysłowiowe buldogi zapamiętały się tak bardzo, że nie zauważyły, iż dywan poszedł w strzępy – wszystko odbywa się publicznie, w mediach, z pogróżkami i oskarżeniami. Groźby rozstania i przyspieszonych wyborów padają tak, jakby w ciągu ostatnich dwóch lat obóz rządzący nie wygrał wszystkiego, co było do wygrania.

Opozycja z nieskrywaną satysfakcją kibicuje tym napięciom. Dobrze byłoby, gdyby przyglądała się im znacznie uważniej, bo sama jest w trakcie ucierania własnych relacji. Stosunki w jej obrębie są jeszcze mniej klarowne niż to, co dzieje się po stronie obozu rządzącego. Gdyby przyspieszone wybory odbyły się wkrótce i opozycja przejęłaby władzę, to czekają ją podobne napięcia. Kto wie, czy musiałoby minąć aż pięć lat, żeby dorównały one tym, które widzimy dzisiaj w PiS. Dlatego warto przejrzeć historię od początku tego tysiąclecia i patrząc na dotychczasowe doświadczenia, poszukać wskazówek tego, co ułatwia, a co utrudnia budowanie spójnej większości.

Cena rozbicia

Jeśli spojrzymy na obyczaje parlamentarne, widać powtarzalność pewnych mechanizmów. Zespół Centrum Badań Ilościowych nad Polityką UJ, analizując głosowania w Sejmie, jednoznacznie dowiódł, że to opozycja zawsze głosuje w mniej spójny sposób niż ugrupowania rządzące. Sprawowanie władzy spaja obóz – czy to dlatego, że łatwiej pewne rzeczy uzgodnić i wynagrodzić sobie ustępstwa, kiedy rozdziela się frukta władzy, czy też dlatego, że sam fakt powołania rządzącej większości daje większą spójność. Opozycja może mieć znacznie szersze spektrum ideowe i nie musi cała stać po jednej stronie.

Ale fakt, że może się ona z większym lub mniejszym sukcesem jednoczyć, także jest elementem tej opowieści. Warto wspomnieć niespecjalnie udany sojusz PO i PiS w wyborach samorządowych 2002 r., do którego nikt już później nie wracał, jak i niedotrzymane obietnice współpracy w 2005 r.; rozbiła się ona o rywalizację w wyborach prezydenckich i nowe opcje, które pojawiły się na stole po wyborach sejmowych. Są też przypadki jednoznacznych sukcesów, jak w wyborach do Senatu 2019 r. Dotąd wybory do izby wyższej miały drugoplanowe znaczenie – lecz to właśnie one dały opozycji zwycięstwo, bez którego dzisiejsze życie polityczne wyglądałoby zupełnie inaczej.

Na przykładzie sprawy Senatu i wystawiania wspólnych kandydatów widać, o ile trudniejsza jest sytuacja obecnej opo-

Zbigniew Ziobro, Jarosław Kaczyński i Jarosław Gowin na konwencji wyborczej PiS przed wyborami samorządowymi. Warszawa, 2 września 2018 r.

zycji w porównaniu do obozu rządzącego. W połowie okręgów udało się jej doprowadzić do tego, że odbył się pojedynek pomiędzy kandydatem PiS i tzw. bloku senackiego. W drugiej połowie okręgów pojawił się jednak trzeci kandydat. Porównując wyniki wyborów do Senatu z wyborami sejmowymi widać, że tam, gdzie partie bloku senackiego łączyły swoje siły – ich wyborcy zgodnie głosowali za nim przeciwko kandydatowi PiS. Gdy nie udało się uzgodnić wspólnego kandydata, lub pojawiał się kandydat niezależny, przewaga PiS nad blokiem rosła. Wyborcy PiS nie odpływali do trzeciego kandydata, natomiast wyborcy opozycji już tak – średnio co szósty z nich wolał poprzeć kogoś innego.

Jest to pewna miara trudności, przed jakimi stoi i będzie stało szerokie opozycyjne porozumienie. Kandydaci, którzy doprowadzili do rozbicia głosów anty-PiS, dali rządzącym dodatkowe 10 mandatów w Senacie. Sprawia to, że w ogóle można dyskutować o montowaniu przez PiS większości w Senacie w sprawach takich jak np. zatwierdzenie Rzecznika Praw Obywatelskich. Gdyby nie wspomniane rozbicie, PiS musiałoby się zadowolić 38 mandatami w Senacie i sprawa byłaby jednoznaczna.

Na plecach większego

W przypadku wyborów do Sejmu reguły gry są trochę inne. Nie ma aż tak przemożnej presji na zjednoczenie. Dochodzi za to jeden dodatkowy element naszego systemu wyborczego, na który nikt wcześniej nie zwracał aż takiej uwagi. Głos ↦

↦ preferencyjny (możliwość wskazywania konkretnego kandydata) pozwala szukać dynamicznej równowagi pomiędzy koalicjantami, zostawiając rozstrzygnięcie rywalizacji pomiędzy partiami „w rękach wyborców". Wiemy, że decyzje wyborcy są ukierunkowane przez doskonale znane politykom mechanizmy – bonus dla pierwszego kandydata na liście, rywalizację terytorialną, rozproszenie głosów. W każdym razie gra związana z rywalizacją w ramach listy jest jeszcze bardziej skomplikowana niż to, co dzieje się między partiami.

W 2019 r. wszystkie pięć list, które przekroczyły próg wyborczy, było w zasadzie listami koalicyjnymi. Na każdej z nich można porównać, jak radziły sobie partie w tak nieoczywistych sytuacjach koalicyjnych. Mali koalicjanci PiS poradzili sobie w tej rywalizacji bardzo dobrze. Liczba mandatów, które udało im się zdobyć, była wyraźnie większa niż waga miejsc, które im podarowano, i liczba zdobytych głosów. Taki sukces wynikał ze zrozumienia przez Ziobrę i Gowina reguł tej rywalizacji i pełne zastosowanie się do jej logiki. W szczególności chodzi tu o wspieranie przez ogólnopolskich liderów kandydatów lokalnych, którzy mieli szanse na zdobycie mandatów po przeskoczeniu konkurentów z głównego nurtu PiS.

Wszystko to przyniosło sukces frustrujący dla PiS, generujący żal i rozgoryczenie. Przekonanie, że sojusznicy wjechali do Sejmu na plecach większego koalicjanta, a korzyści podzielono nierówno. Niewątpliwie jednak była to cena niezbędna, by myśleć o większości. Gdyby nawet cząstka głosów oddanych na małych koalicjantów przeszła na opozycję – np. głosy oddane na Solidarną Polskę trafiły do Konfederacji lub głosy zdobyte przez Porozumienie powędrowały do PSL – to sytuacja PiS byłaby jeszcze kłopotliwsza. Koalicje z tymi partnerami, gdyby w ogóle wchodziły w grę, byłyby zdecydowanie trudniejsze niż aktualna sytuacja. Ale jak widać, sprawowanie władzy powoduje problemy z realną oceną możliwości.

Mały i duży

Warto wrócić do mniej lub bardziej udanych koalicji, by zobaczyć, jak kolosalne znaczenie ma układ sił dla tego, co dzieje się w Sejmie. W nowe tysiąclecie weszliśmy z rządem mniejszościowym, po upadku koalicji AWS i UW. Dzisiaj nikt już nie pamięta, o co poszło, ale wszyscy wiedzą, jak się skończyło. Rozpadem obydwu ugrupowań, „solidarnym" zejściem poniżej progu wyborczego i polityczną śmiercią obydwu środowisk, które jeszcze trzy lata wcześniej miały poczucie wspólnego sukcesu i misji. Tę groźbę politycy pamiętają, ale trzeba mieć na uwadze, że rozpad partii był poprzedzony właśnie upadkiem koalicji. A doszło do niego także dlatego, że część polityków UW z narastającą sympatią patrzyła w stronę SLD i widziała potencjalną alternatywę dla układu z AWS.

Świadomość napięć w relacjach małego i dużego koalicjanta towarzyszyła sojuszowi SLD i PSL w 2001 r., od początku powrotu do władzy po czteroletniej przerwie. Był to element stale obecny w działaniach tej koalicji, która również ostatecznie się rozpadła. Także dlatego, że jeszcze przed połową kadencji doszło do rozpadu jednej z nowych partii protestu, Samoobrony. To właśnie dzięki rozłamowcom z Samoobrony, po pozbyciu się PSL z rządu, SLD był w stanie uzyskać wotum zaufania dla swoich mniejszościowych rządów. Polityczny plankton, który był zainteresowany „dojechaniem" do końca kadencji, zadziałał jak stabilizator sceny politycznej.

Nie na wiele się to jednak SLD zdało. Wysoki poziom napięcia i wewnętrzne konflikty doprowadziły do rozłamów po aferze Rywina. Rząd Belki za drugą próbą uzyskał wotum zaufania. Lecz z perspektywy całej kadencji obóz rządzący poniósł porażkę niewiele mniejszą niż AWS. Zarówno SLD, jak i wypchnięte z koalicji, nadmiernie podgrzewające wewnętrzne konflikty PSL, które dostało najgorszy w swojej historii wynik.

Oczekiwana w 2005 r. koalicja PO i PiS w ogóle nie powstała. Przede wszystkim dlatego, że PiS zaczął dostrzegać pojawiającą się alternatywę. Okazało się, że do wejścia do rządu są bardzo chętne (i w zasadzie chcą za to znacznie mniej) dwa ugrupowania antysystemowe, jeszcze bardziej negatywnie nastawione do III RP, czyli Samoobrona i Liga Polskich Rodzin. Chętne do wejścia do rządu było też PSL, ale pod warunkiem, że nie będzie tam Samoobrony, głównego konkurenta w rywalizacji o wiejskich wyborców. Tyle tylko, że koalicja PiS, LPR i PSL nie miałaby wystarczającej liczby mandatów, więc postulat nie był realistyczny.

Jak skończyła się koalicja PiS z przystawkami – powszechnie wiadomo. Widoczne w tamtej kadencji napięcia pozostają dzisiaj żywe. Przekonanie, że nie ma wyjścia i druga strona jest na nas skazana, to sytuacja będąca potężnym źródłem konfliktów.

Przyda się straszak

Wybory w 2007 r. przyniosły istotną zmianę, jeśli chodzi o stabilność koalicji. Po raz pierwszy od 1989 r. przetrwała ona całą kadencję bez żadnego kryzysu i z tym samym premierem. Wydaje się, że złożyły się na to aż trzy czynniki. Po pierwsze, elektoraty PO i PSL były uznawane za rozłączne. Żadna ze stron nie czuła się więc zagrożona przez drugą, obie postrzegały się jako yin i yang polskiej polityki – PO była wypukła tam, gdzie ich koalicjant był wklęsły, i odwrotnie. Dało to najtrwalszy sojusz na polskiej scenie politycznej, który do dzisiaj funkcjonuje bez istotnych zakłóceń na poziomie samorządów.

Lecz dodatkowym, często pomijanym czynnikiem było istnienie alternatywy. PSL teoretycznie mogło zostać w każdej chwili zastąpione przez SLD, który był zainteresowany współrządzeniem z PO. Sama Platforma nie podzielała tego entuzjazmu, ale dopuszczała taką możliwość w samorządach. W każdym razie PSL musiało mieć świadomość, że gdyby stało się źródłem istotnych napięć, to może je spotkać los jak w 2003 r., ale w dotkliwszej formie. Nie pojawi się tu przypadkowe wsparcie „planktonu", ale sformalizowana większość, która wypchnie partię do opozycji i zmusi do działania ramię w ramię z PiS. Ten z kolei był postrzegany przez PSL jako znacznie większe zagrożenie po tym, jak przejęło elektorat Samoobrony i LPR na polskiej wsi.

Sytuacja ta powtórzyła się jeszcze wyraźniej po kolejnych wyborach w 2011 r. SLD, rozpoczynając kolejną kadencję w ławach opozycji, był zapewne skłonny do stawiania jeszcze mniejszych warunków. Poza tym pojawił się Ruch Palikota, którego profil wyborców był znacznie bardziej zbliżony do elektoratu PO. Alternatywa dla PO w postaci Ruchu Palikota ujawniła się w przypadku kluczowych głosowań, które naruszały *status quo* i przesuwały je w stronę liberalną, jak przedłużenie wieku emerytalnego.

Podobnie rzecz wyglądała w kadencji 2015-19. Co prawda formalnie wybory

wygrała jedna lista, ale istotne było to, że miała ona w zasadzie charakter koalicyjny, z zachowującymi swoją tożsamość Solidarną Polską i Porozumieniem. Ich pozycja była jednak niepewna z uwagi na obecność Ruchu Kukiza. Pomimo początkowej deklaracji dystansu bardzo wyraźnie skłaniał się on do współpracy z obozem rządzącym. Podobnie jak w przypadku Ruchu Palikota, a wcześniej Samoobrony, doszło w końcu do dezintegracji tego ugrupowania. Zapewniało ono jednak straszak na koalicjantów.

Bat na porozumienie

Nowa konfiguracja powstała w 2019 r. odebrała PiS nadzieję na swobodę manewru. Wspomniana już sprawność w korzystaniu z niuansów ordynacji przez Ziobrę i Gowina doprowadziła do tego, że PiS stało się ich zakładnikiem. Nigdy wcześniej nie traktowało ich jak partnerów, gdyż Jarosław Kaczyński z reguły nikogo tak nie traktuje. Jego stałą troską w stosunku do osób zajmujących eksponowane stanowiska, jak Andrzej Duda, Beata Szydło czy Mateusz Morawiecki, jest to, aby nie zaczęły sobie wyobrażać zbyt wiele na temat swojej roli.

W obecnym sejmie pojawiła się Konfederacja, ale to partner jeszcze bardziej kłopotliwy niż Kukiz, z uwagi na swój radykalizm i ostrzejsze nastawienie antysystemowe. Ma też Konfederacja mniej mandatów niż kiedyś każda z „przystawek". Istotnie też zmieniła się sytuacja PSL. Jeszcze w 2015 r. ludowcy poważnie obawiali się o swoją egzystencję. Po 2019 r. zostali zdecydowanie uspokojeni. W obliczu konfliktów w koalicji rządzącej nie są już zainteresowani (podobnie jak Konfederacja) tym, by rozwiązywać problemy PiS z jego partnerami. Jeśli podejmują negocjacje, to raczej w celu zasiania jeszcze większych wątpliwości i przyspieszenia erozji obozu. Przyczyniły się do tego takie wydarzenia jak pandemia, wybory europejskie czy Fundusz Odbudowy. To wszystko stanowiło wyzwania dla koalicji, które doprowadziły do obecnego stanu.

Nie ma wątpliwości – zarządzanie układami koalicyjnymi jest niezwykle skomplikowane. Ze światowych statystyk wiadomo, że koalicyjne rządy upadają szybciej. Nie znaczy to, że dzieje się tak zawsze. Widzimy tu subtelną równowagę, także na polskim przykładzie, pomiędzy pewnością a istnieniem alternatywy. Gdy pojawia się zbyt wiele opcji, może to popychać do rozłamów i nierealistycznych oczekiwań. Tak samo jednak może zadziałać ich brak.

Jarosławowi Kaczyńskiemu wyraźnie odpowiada budowanie wspólnoty wrogości, integracja przez konflikt. Poza oczywistymi efektami mają one jednak ukryte koszty, które podważają ich sens.

Znany z teorii negocjacji termin BATNA (*Best Alternative To a Negotiated Agreement* – czyli najlepsze inne rozwiązanie w razie braku porozumienia) można przemianować na „bat na porozumienie". Trudno bez takiego „bata" coś osiągnąć. Lecz też właśnie w poszukiwaniu alternatywy tkwi jedno ze źródeł napięć. Świadomość (a nie da się tego utrzymać w tajemnicy), że druga strona szuka alternatywy, istotnie podkopuje lojalność i skłania do tego samego.

Do problemów instytucji dochodzą też inne: jak w każdym ludzkim działaniu pojawiają się pytania o zagospodarowanie indywidualnych ambicji. Co zrobić z tymi, którzy chcieliby być panem młodym na każdym weselu i nieboszczykiem na każdym pogrzebie, zwłaszcza gdy ambicje te znacznie przekraczają ich możliwości? Co począć z nieudacznikami – czy bronić ich w imię lojalności?

Koszty konfliktu

Jak mówi porzekadło, różnica między kolektywem a sitwą jest taka, że sitwa to oni, a kolektyw to my. Jest jednak realna różnica – dla sitwy lojalność jest ważniejsza niż skuteczność. Można sobie wyobrazić, że modelowy kolektyw jest w stanie przedłożyć lojalność względem swojego celu nad lojalność wobec kłopotliwych członków. Grupa połączona wspólnym celem może podjąć działania przeciwko tym, którzy w imię swoich ambicji, z głupoty lub omylności szkodzą sprawie. Taką więź tworzy wspólnota sukcesów będących udziałem wszystkich – nawet tych, którzy są akurat odsunięci od decydowania. To wiedza, z którą najwyraźniej bardzo trudno się pogodzić Jarosławowi Kaczyńskiemu, a i dla Donalda Tuska nie było to oczywiste.

Jarosławowi Kaczyńskiemu odpowiada budowanie wspólnoty wrogości, integracja przez konflikt. Poza oczywistymi efektami mają one ukryte koszty, które podważają ich sens. Po pierwsze, podnoszenie temperatury konfliktów zraża umiarkowanych, wahających się wyborców, co w sytuacji, w której są oni języczkiem u wagi, może prowadzić do porażki – jak w przypadku PiS w wyborach samorządowych. Taki konflikt jest też usprawiedliwieniem nadgorliwości i ściąga zagrożenie przez ultimatum radykałów. Rozgorączkowani radykałowie ograniczają pole manewru i potencjalne zwroty ku wahającym się wyborcom. Łagodzące przekazy mogą być kontrowane przez tych, którzy przywykli do wysokiego poziomu adrenaliny, wzięli sobie do serca sytuację konfliktu i uwierzyli w nieustający armagedon. Nie traktują go instrumentalnie, ale z całą powagą.

W arsenale środków utrzymywania jedności, z którego obficie korzysta Jarosław Kaczyński, a wcześniej Donald Tusk, są wszystkie metody dworskie. Wygrywanie słabości, napuszczanie ludzi na siebie, trzymanie w niepewności czy „przystrzyganie bonsai" – pilnowanie, by nikt nie urósł ponad ostatecznego arbitra. Wreszcie donosy. Za tymi środkami kryje się jednak zagrożenie. Gdy dla wszystkich jest już jasne, że gra toczy się wedle takich reguł, natychmiast pojawiają się zawodnicy, którzy z tego korzystają. Zaspokajają potrzeby swojego szefa przez tworzenie pozorów i manipulacje.

Trudno określić, jaki jest optymalny sposób na utrzymanie jedności. Na pewno nie zawadzi ostrożność, ale podejrzliwość ma to do siebie, że może napędzać zjawiska, przed którymi ma chronić. Kłopoty z odróżnieniem przyjaciół od wrogów wcale nie przysparzają przyjaciół. Stąd zachowanie jedności jest prawdziwą sztuką i próbą dla przywódców. Egzaminem, który właśnie spektakularnie oblewa Jarosław Kaczyński. Politycy opozycji dopiero staną przed tą próbą podczas kolejnych wyborów. Przeświadczenie, że błędy mogą się przydarzyć tylko przeciwnikom, doprowadziło wielu przywódców i wiele środowisk do upadku.

© JAROSŁAW FLIS

TOMASZ WOJTASIK / PAP

Pikieta zorganizowana przez rodziców i uczniów przed budynkiem Zespołu Szkół Budowlano-Energetycznych w Ostrowie Wielkopolskim, 7 kwietnia 2021 r.

Ostatni dzwonek

IGA KAZIMIERCZYK, PRZESTRZEŃ DLA EDUKACJI:

Władza edukacyjna nie przedstawiła choć zalążka strategii na czas kryzysu. Przespaliśmy rok.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Trzynaście miesięcy, z okładem.

IGA KAZIMIERCZYK: A końca nie widać. Wróciły przedszkolaki, nie ma pewności, co z pozostałymi rocznikami. Kiedy myślę o tym okresie, to nasuwa mi się skojarzenie z „Dniem świstaka" i pętlą czasu. Ćwiczymy od ponad roku te lockdowny, powroty, znowu lockdowny. I jesteśmy ciągle w tym samym punkcie.

To niczyja wina.

Nie do końca. Od roku ekscytujemy się pytaniem: „Wracamy czy nie?" i ani razu nie dostaliśmy choćby jednego argumentu, że decyzja rządu jest czymś więcej niż próbą wczucia się w polityczną koniunkturę.

My sami, rodzice i obserwatorzy, też się od ponad roku miotamy: gdy szkoły były otwarte, żądaliśmy ich zamknięcia. Gdy są zamknięte, chcemy otwarcia.

Może tego miotania byłoby mniej, gdyby przez ponad rok epidemii władza wypracowała jasne kryteria, kiedy placówki pracują stacjonarnie, a kiedy przechodzą w tryb zdalny bądź hybrydowy. Rządzi przypadkowość – kilka tygodni temu minister Niedzielski ogłaszał ograniczenie pracy placówek przedszkolnych. To był czwartek, nowe przepisy miały wejść w życie od poniedziałku – na dokumenty w tej sprawie my, prowadzący przedszkola, musieliśmy czekać do piątkowego wieczora.

Ten system w miarę sprawnie działa tylko na konferencjach prasowych i podczas wywiadów udzielanych chętnie przez ministra Przemysława Czarnka.

Polskie dzieci są w pierwszej piątce europejskiego rankingu, który pokazuje sumę dni spędzonych w domu w ramach zdalnej szkoły. Z czego to wynika?

Gdyby szukać choćby zalążka strategii działania, byłaby ona kolażem dwóch słynnych zdań – wypowiadanej przez poprzedniego ministra, Dariusza Piontkowskiego, sentencji „Mury nie zarażają, przeważająca większość szkół pracuje normalnie", a także ulubionej frazy obecnego szefa resortu edukacji i nauki: „W miarę możliwości będziemy wracać do szkół"...

A odpowiadając nieco poważniej: gdy nie ma strategii, wygodniej zamknąć szkoły. Jakaś tam edukacja zdalna się toczy, można to wrzucić w Excela – wygląda nieźle.

Obecny minister twierdzi, że strategia jest. A nawet plany B. Na przykład pracy hybrydowej, jako „jednej z opcji na stole".

Już we wrześniu ubiegłego roku nauczyciele i dyrektorzy prosili, by ruszyć z nauką hybrydową. Także ze względu na przeludnienie szkół, pokłosie reformy PiS. Tyle że ani wtedy, ani dziś nie byliśmy gotowi na wdrożenie wydajnej edukacji w tym trybie. Jasne, można to wszystko wykoślawić i udawać, że edukacja hybrydowa to połowa klasy siedząca w ławkach, a pozostała połowa słuchająca w domu transmisji z lekcji. Tylko że nie o to chodzi!

A o co chodzi?

O edukację. O to, że nauczyciel reaguje na zachowania uczniów. Rozmawia z nimi, obserwuje. Nauczyciel jednak się nie rozdwoi. Ministerstwo już dawno powinno pomyśleć o dodatkowej kadrze. Tak, by przynajmniej na niektórych lekcjach poza głównym nauczycielem był też wspomagający, animujący pracę zdalną z tymi, którzy siedzą w domu.

Bez tego szykujemy się do kolejnej wersji fikcji – fikcji hybrydowej.

Podwoić kadrę z dnia na dzień nie jesteśmy w stanie.

Nie mamy na to ani czasu, ani pieniędzy. A nie mamy, bo nie pomyśleliśmy o tym wcześniej. Tak jak nie pomyśleliśmy o innej bardzo ważnej sprawie: okrojeniu wymagań szkolnych tak, by ich realizacja nie była kompletną fikcją. Podstawy programowe zawierały zbyt dużo wymagań także przed epidemią – teraz to przeładowanie jest dramatyczne. Nic z tym nie zrobiono, a teraz możemy już powiedzieć: rok został przespany.

Zastanówmy się, do czego wróciły bądź wrócą – o ile wkrótce wrócą – poszczególne roczniki.

Przedszkolaki straciły najmniej, bo jednak ich placówki w dużej mierze pracowały. Ponadto na tym etapie podstawa programowa – a więc to, co nauczyciel musi przerobić z uczniami – jest z jednej strony elastyczna, z drugiej nie tak wymagająca jak na późniejszych etapach, z trzeciej sprzyjająca pracy twórczej, projektowej. Nie będzie więc trzeba niczego rozpaczliwie nadrabiać.

Co będą musieli mieć z tyłu głowy nauczyciele, którzy od września dostaną w pierwszych klasach dzieci

przez półtora roku mające rwaną edukację przedszkolną?

Że trzeba jeszcze więcej uwagi poświęcić na rozwój społeczny i rówieśnicze funkcjonowanie. To naprawdę ważne – dzieci do prawidłowego rozwoju potrzebują stałości, poczucia bezpieczeństwa.

A mają za sobą półtora roku szkoły niestałości.

Z rzeczywistością zmieniającą się co tydzień, z rodzicami, którzy niby ciągle są, ale też w jakimś sensie ciągle ich nie ma – nie wiadomo, czy mają dom w pracy, czy pracę w domu. Z sytuacją, w której z dnia na dzień może przyjść informacja, że już do przedszkola nie chodzimy, albo że znowu chodzimy.

Pierwsze trzy klasy podstawówek – też nie ma problemu?

Jest. I to znaczący. Klasa pierwsza będzie w przyszłym roku znowu klasą pierwszą.

Aż tak?

Niestety. Poczucie siedmioletniego dziecka, że czegoś się nauczyło, że z czymś ma większy problem, że konflikt czy kłótnia z kolegą się zdarzają – tych wszystkich rzeczy dziecko uczy się w szkole, a przez ostatnie kilka miesięcy tej szkoły było niewiele.

Pół biedy zresztą obecna pierwsza klasa – nauczyciel będzie musiał przez dwa lata zrobić tyle, co do tej pory w trzy, ale przynajmniej perspektywa końca tego etapu edukacji będzie na tyle odległa, że pierwsze tygodnie można poświęcić na w miarę płynne i spokojne wejście w szkolną rzeczywistość.

Gorzej klasy drugie i trzecie?

Gorzej. Proszę zwrócić uwagę, że obecni drugoklasiści nie mieli w zasadzie okazji poznać szkoły. Po kilku miesiącach klasy pierwszej zaczął się lockdown, trwający w zasadzie do końca roku szkolnego. Klasa druga też, jak do tej pory, rwana... A jest to dziecko ośmioletnie, też potrzebujące stabilności, rytuału. Zaraz czeka ich trzecia klasa, a potem rewolucja, bo w polskim systemie w czwartej klasie zaczyna się w zasadzie coś na kształt akademickiego drylu. Z ocenami i stresem jako nieodłącznymi elementami. Nie ma przebacz: pod koniec trzeciej klasy uczeń ma mieć pewien zestaw umiejętności, by rozpocząć edukację na etapie kolejnym.

Polska szkoła stanie się własną karykaturą? Była wcześniej fabryką stresu – teraz będzie nią jeszcze bardziej?

Co więcej, nasili się też inne zjawisko – szkół dwóch prędkości. Jedna to ta z uczniami bez możliwości sprzętowych i bez zaangażowanych w edukację rodziców. Druga będzie wyposażona w komputery, a świadomi rodzice wyłożą pieniądze na korepetycje.

To zjawisko będzie najbardziej widoczne w klasach od szóstych do ósmych: przemysł korepetycji utuczy się zapewne na portfelach rodziców zdesperowanych uczniów mających zdawać egzamin ósmoklasisty.

Owszem, ale to zjawisko dotyczy już trzeciej klasy – na forach rodzicielskich na porządku dziennym jest poszukiwanie korepetytorów na tym właśnie etapie edukacji! I trudno się dziwić: w obecnej sytuacji nauczyciele nie są po prostu w stanie przygotować dzieci do wspomnianego przeskoku – z klasy trzeciej do czwartej. Obecny trzecioklasista dostanie od września pana od wuefu, panią od polskiego, matematyki, a ledwo będzie miał okazję, by usłyszeć, na czym ta zmiana polega.

Fatalnie mają też obecni czwartoklasiści. Dopiero co wyszli z nauczania jeden-trzy, które jednak jest oazą bezpieczeństwa. A tego nowego etapu nauczania nie mieli okazji poznać. Niewiele lepiej mają uczniowie klas piątych: niemal cały początek tej fazy nauki został zaburzony.

Klasa szósta, siódma – roczniki szczególne. Wielu poszło do szkoły w wieku sześciu lat. Wszystkich pandemia zastała w wieku dojrzewania.

W dodatku będą prawdopodobnie zdawali trudniejszy egzamin ósmoklasisty i trudniejszą maturę. Przy tej skali stresu z jednej strony, i braku pomocy psychologiczno-pedagogicznej z drugiej, nawet nie chcę sobie wyobrażać, co stanie się z wieloma przedstawicielami tych roczników.

Tych i nieco starszych, bo dla uczniów liceów też środowisko rówieśnicze, którego zostali pozbawieni, jest sprawą kluczową. Tymczasem teraz, po ewentualnym powrocie, nie będą mieli wcale czasu na miękkie lądowanie.

Bo zacznie się przedmaturalna galopada. Mówi Pani o różnych problemach kilku roczników. Ale jest jeden refren: szalone tempo, jakby nic się nie stało.

I brak pomysłu na systemowe wsparcie psychologiczne. Także dla nauczycieli, którzy wedle wyników badań wychodzą z tej epidemii w stanie silnego kryzysu.

Minister mówi o pilotażowym programie wsparcia.

Czyli o tych 10 tysiącach szkoleń, a także 100 tysiącach wsparcia psychologiczno-pedagogicznego. Dla 4,6 miliona uczniów.

Po godzinie dla co pięćdziesiątego dziecka.

Mniej więcej. Mają też być badania przeprowadzane przez dwie uczelnie: Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego oraz Wyższą Szkołę Ekonomii i Innowacji w Lublinie. Jakie było kryterium wyboru uczelni? Jaki jest ich dorobek w dziedzinie psychologii? Czy rzeczywiście potrzebujemy badań, skoro z innych naukowych diagnoz znamy skalę i specyfikę problemów psychicznych młodych ludzi?

Widzi Pani po tych 13 miesiącach coś po stronie zysków?

Zobaczyliśmy, że edukacja jest potrzebna. Że szkoła to nie tylko „przechowalnia na dzieci". Że ważne są relacje. Przez lata rodzice byli petentami, teraz może staną się partnerami. Czym to zaowocuje, zobaczymy. Może większym odsetkiem decyzji o wysłaniu albo przeniesieniu dziecka do szkoły prywatnej, społecznej, demokratycznej?

Co by Pani powiedziała rodzicom w trudnych czasach?

Że szkoła to nie tylko „wiedza", egzaminy, świadectwa. To też relacje, przestrzeń bezpieczeństwa, nauki życia: świadomości siebie, porażek, sukcesów. Więc nie nakręcajmy dodatkowo tej spirali nadganiania straconego czasu.

©℗ Rozmawiał PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

ARCHIWUM PRYWATNE

DR IGA KAZIMIERCZYK jest pedagożką, nauczycielką, prezeską fundacji Przestrzeń dla Edukacji, pracuje z dziećmi do lat trzech i ze studentami.

Powtórnie urodzone

MARIUSZ SEPIOŁO

Mają skórę, włosy, usta i oczy takie jak żywe dzieci. Dla niektórych są tylko figurkami do kolekcjonowania. Innym pomagają przeżyć traumę.

Staś ma śliczną buzię, małe rączki i kształtną główkę. Kiedy Olga go po tej główce głaszcze, kiedy go przebiera albo po prostu trzyma na rękach (blisko, jak najbliżej siebie), czuje ulgę i spokój. Spokój, którego nie czuła od bardzo dawna. Trzy lata temu była w ciąży i poroniła.

– Niby to przepracowałam, ale okazało się, że nie do końca – mówi. – Wtedy trafiłam na lalki *reborn*. Dowiedziałam się o nich przypadkowo, z wywiadu z kobietą, która zajmuje się malowaniem lalek zawodowo. Byłam jednocześnie przerażona i oczarowana ich realizmem i pięknem.

Czy pamięta moment, w którym trzymała „Stasia", czyli lalkę do złudzenia przypominającą żywe dziecko, po raz pierwszy? – Aż za dobrze – mówi Olga. – Rozpakowałam przesyłkę, wyjęłam go z kartonu i aż się zachłysnęłam. Położyłam go na łóżku, patrzyłam na niego i zaczęłam płakać. Cała się trzęsłam, nie mogłam się uspokoić. Dotknęłam włosów... Był taki malutki, miękki. Taki prawdziwy.

Znamiona

Lalki *reborn* (ang. „powtórnie urodzone", „odrodzone") wyglądają jak kilkutygodniowe lub kilkumiesięczne dzieci. Ich wykonane z silikonu ciałka odwzorowane są z dbałością o każdy detal. Twórcy pamiętają o żyłkach, krostkach, odbarwieniach, znamionach, włosach, a nawet śladach po szczepionkach. Niektóre lalki wydzielają zapach podobny do zapachu małego dziecka.

Reborny można kupić – bezpośrednio od producenta (częściej producentki), na portalach aukcyjnych, w stacjonarnych sklepach z zabawkami. Ale społeczność skupiona wokół lalek woli mówić o „adopcji". Adoptować można jedną lalkę, ale są kolekcjonerki, które gromadzą ich dziesiątki. Na forach i facebookowych grupach wymieniają się informacjami o ofertach, cenach, specyfikacjach danych modeli. Mogą je składać same – temu służą tworzone z niezwykłą starannością zestawy: rączek, nóżek, główek. Lalka od szanującego się twórcy posiada również certyfikat „urodzenia", czyli tak naprawdę produkcji, a także wyprawkę: ubranka, smoczki, buteleczki z płynem przypominającym mleko.

Dla wielu posiadaczek lalek *reborn* to po prostu hobby. Kolekcjonują reborny jako piękne przedmioty, które stawiają na półce i podziwiają, by za jakiś czas wymienić je na nowe. Jest to pasja kosztowna: za dobrą lalkę trzeba dać od tysiąca do kilku, a czasem nawet 10 tys. zł. Ale kolekcjonerki są konsekwentne i gotowe poświęcić wiele, by zdobyć lalkę o jak najwyższym poziomie szczegółowości.

Wspierają się nawzajem, wysyłają życzenia i pozdrowienia, publikują zdjęcia ze specjalnych sesji z udziałem swoich lalek (przed Wielkanocą dominowały kolorowe stroje, wiosenna sceneria, zajączki i kurczaczki jako rekwizyty), informują o porach karmienia (zabawy, która przypomina prawdziwe karmienie) i snu.

Dla niektórych to rodzaj terapii lub psychologicznego substytutu. Niektóre decydują się na zlecenie wykonania lalki na podobieństwo zmarłego dziecka. Lub na wyobrażenie tego nienarodzonego.

Same dobre emocje

– Kilka lat temu, szukając w internecie lalki dla córki, natknęłam się na reborny. Zafascynowało mnie to, byłam w szoku, że lalka może być tak realna. Nie było we mnie strachu, ale same dobre emocje. Przede wszystkim ciekawość – opowiada Iwona Sarnecka. Ma 38 lat, pochodzi z Wadowic. Jest mamą 18-latki i 6-latka. Na Facebooku prowadzi dwie grupy dla pasjonatek rebornów. – Zaczęłam szukać informacji, gdzie tylko się dało. I kiedy dowiedziałam się, jakie są ceny takich lalek, zrozumiałam, że to raczej coś nieosiągalnego. Ale z tyłu głowy zostało marzenie. Ciągle zżerała mnie ciekawość, chciałam taką lalkę dotknąć, wziąć na ręce.

Kiedy trafiła na fora poświęcone tym lalkom, po raz pierwszy pomyślała, że jej marzenie nie jest dziwaczne, egzotyczne, rzadkie. Iwona: – Poznałam tam dojrzałe kobiety i nastolatki, ogromną społeczność. Pytałam, dlaczego te lalki kupują. Niektóre tylko kolekcjonowały, inne nie mogły mieć dzieci. Były też młode kobiety, które potrzebowały zaspokoić swój instynkt macierzyński, trochę tymi lalkami się „poopiekować".

Chciała kupić pierwszą. Czuła, że nie może sobie na nią pozwolić z powodu ceny. Umówiła się na spłacenie jej w ratach, ale jak mówi, „impuls" był tak silny, że od razu przelała całą kwotę z odkładanych od dawna oszczędności. Wtedy pojawił się niedosyt. Bartuś – jak nazwała pierwszego reborna – nie miał takich szczegółów, jak lalki znajomych z forów internetowych.

Drugą lalkę złożyła z części. Poznała inną kolekcjonerkę, umówiły się na wymianę: noga za nogę, ręka za rękę. Z Bartusia zostawiła korpus. – Nie zaiskrzyło, drażniła mnie jej obecność w moim domu, do tego dzieci pytały: „Mamo, jak mogłaś oddać naszego Bartusia". Miałam poczucie, jakbym coś straciła – opowiada Iwona. – Traktowałam lalkę jak przedmiot. Dopiero dzieci uświadomiły, że ten Bartuś był już częścią rodziny. Wtedy obiecałam sobie, że zrobię lalkę na podobieństwo córki z czasów, kiedy była maleńka.

Artystka Anna Danelska zrobiła dla niej pierwszą lalkę na zamówienie. – Nowiutką, piękną, dziewiczą. Ania była cierpliwa, a ja bywałam wymagająca. Chciałam, żeby lala miała potówki, zadrapania, marmurek, czyli taką siateczkę sinych żył pod cienką skórą – ta „Julka" miała być po prostu idealnie podobna do córki. I była. To od Ani wiele się nauczyłam – opowiada Iwona.

Dzisiaj sama tworzy lalki. – Dla mnie najważniejszy jest realizm. Wie pan, jak trudno namalować brwi? Jak trudno odwzorować włoski? Niewiele artystek potrafi to zrobić perfekcyjnie – mówi Iwona. – Ważne jest też obciążenie. Jeśli jest ono dobrze wykonane, lalka przelewa się nam przez ręce jak prawdziwy noworodek. I główka fajnie leci – trzeba ją wtedy podtrzymywać. Jak prawdziwą.

KAROLINA JONDERKO / WORLD PRESS PHOTO

World Press Photo 2021

TEGOROCZNE rozdanie WPP okazało się szczęśliwe dla polskich fotografów. Nominowana trójka, Karolina Jonderko, Natalia Kepesz, Tomasz Markowski, z konkursu wychodzi z nagrodami. Projekt Karoliny Jonderko stawia pytanie o to, czy potrzeba dawania miłości i poczucia bezpieczeństwa może być przelana również na niezwykle realistyczne lalki *reborn*. Z delikatnością podejmuje próbę pokazania codzienności w zmaganiu z macierzyńską bezradnością. Prezentujemy jedno ze zdjęć z cyklu – kobieta z lalką *reborn* w wózku.

©℗ JT

Iwona przyznaje, że inne emocje odczuwa na początku pracy nad lalką, inne pod koniec. – Najpierw jest duży stres, bo mam świadomość, że może to być dla kogoś bardzo ważne, że lalka stanie się częścią rodziny, domownikiem, być może kolejnym dzieckiem – mówi. – Pod koniec jest już niecierpliwe oczekiwanie. Czuję się wtedy jak matka spodziewająca się narodzin dziecka.

Bez kolek

Olga miała na początku tylko jeden kłopot: czy *reborn* ma być przez cały czas w zasięgu wzroku? – Zdecydowałam, że tak nie będzie. Dziś Staś jest w kokonie, w specjalnym miejscu, wyjmuję go tylko, gdy czuję potrzebę – mówi Olga. – Na początku było trochę inaczej. Zmieniałam piżamę rano i wieczorem, bo czułam, że tak trzeba. Ale pomyślałam: skoro zajmowanie się Stasiem miało mi pomóc, nie mogłam robić tego „bo trzeba", tylko „bo chcę".

Czy ciągła obecność otwartych oczu Stasia sprawiałaby jej dyskomfort? – Nie. Ale wie pan, mam trzy koty, które bardzo interesują się lalą, a nie chciałabym, żeby ją zniszczyły – mówi Olga.

Malwina o rebornach dowiedziała się od koleżanki. I od razu zaczęła zbierać pieniądze, żeby sobie taką kupić. Dotąd kontaktu z dzieckiem uczyła się w opiece nad kuzynem. Ale to nie to samo, co własne. Kiedyś chciałaby zostać mamą, ale na to jest za wcześnie – jeszcze się uczy w szkole średniej. Zostaje jej *reborn*.

Magda, żona, mama 6-letniego chłopca, nie przeżyła straty, nie boryka się z traumą. Jest dojrzałą, spełnioną kobietą. Mimo to, kiedy dwa lata temu dostała przesyłkę z pierwszym rebornem, aż ręce trzęsły jej się z emocji. W jej przypadku o kupnie zdecydowała ciekawość. – Chciałam zobaczyć, czy te lalki są rzeczywiście aż tak realne. Trochę szydełkuję i chciałam mieć lalkę do przymierzania ciuszków. Otworzyłam paczkę i przepadłam – opowiada. – Była tak idealnie pomalowana, dopieszczona w każdym szczególe... Waga taka sama jak waga noworodka. Wszystko tak realne, że aż... nierealne.

Lalka dostała imię Gaja. – Wyglądała jak śpiące dziecko. We mnie była wtedy mieszanka emocji: strach, niedowierzanie, radość, wzruszenie, obawa, takie pozytywne zdziwienie, ciekawość. Później też poczucie bliskości – mówi Magda. – Kontakt z tymi lalkami to coś szczególnego dla każdej z kolekcjonerek. Niektóre trzymają je w gablotkach, inne mają wózki i chodzą na spacery. Ale każda z nas wie, że to lalka. Dla mnie są to po prostu piękne rzeczy tworzone z pasją.

Według Magdy reborny to takie spokojne macierzyństwo. – Bez kolek, nocnego wstawania, bez zmiany pieluch. Poza tym sprawdzają się w ratownictwie, w szkołach pielęgniarskich, w szkołach rodzenia, grają w filmach. W pewnym sensie są to „idealne dzieci".

Po swojemu

Jednych realizm lalek zachwyca. W innych wzbudza lęk.

Olga: – Nawet moi najbliżsi znajomi nie rozumieją, co lala dla mnie oznacza. Uważają to za coś dziwnego. Dlatego często ją chowam, nie chcę, by jakiś niezapowiedziany gość ją zobaczył. Jedni myślą, że bardziej mi to zaszkodzi, niż pomoże, inni, że „wariatka, ma 30 lat i lalkę kupuje". Ale kto nie doświadczył poronienia, nie ma pojęcia, co to znaczy i co ↦

↦ może pomóc się z tym uporać. Ja myślę, że każda metoda jest dobra, o ile nie krzywdzi się innych.

Magda: – Wiem, że wielu ludzi uważa naszą pasję za coś dziwnego. Ja tego nie rozumiem. Dla nas lalki są tym, czym dla innych wędkowanie, grzybobranie, zloty samochodowe. Nikomu nie robię krzywdy. Zawsze wspierał mnie mój mąż, który sam ma nietypową pasję – zajmuje się astrofotografią, wykonuje zdjęcia przez teleskop. Ludzie w Polsce są bardzo zamknięci. Jeśli ktoś ma „inne" zainteresowania, od razu jest dziwny.

Kolej rzeczy

Karolina Jonderko za fotoreportaż o lalkach *reborn* i ich właścicielkach dostała nagrodę World Press Photo 2021.

– Podczas tej pracy najbardziej zaskoczyła mnie olbrzymia empatia, niezwykła czułość, a przy tym niesamowita odwaga tych kobiet – mówi. – Podziwiam je, że wybrały właśnie lalki *reborn* do pracy nad swoją stratą, traumą. Wiemy, jak mało tolerancyjne jest polskie społeczeństwo. Do dziś nawet wizyta u psychologa jest przez większość negatywnie odbierana, a osoba prosząca o pomoc jest postrzegana jako słaba. Wiem to z własnego doświadczenia.

Magda: – Przez kilka lat nie umiałam się przed sobą przyznać, że cierpię na nerwicę lękową. Zaczęło się to kilka lat temu i w pewnym momencie strach po prostu mnie paraliżował. Długo wyrzucałam sobie, że nie wiem, co się ze mną dzieje, że nie potrafię chłodno myśleć. Wtedy nawet spacer z dzieckiem był w pewnym sensie traumą. Teraz wszystko się ustabilizowało. Żyję z nerwicą, która jest uśpiona. To lalki stały się w pewnym sensie lekarstwem na ten codzienny strach. Ciężko to wytłumaczyć, ale trzymając je w dłoniach można się poczuć, jakby trzymało się dziecko.

Olga: – Niech pan sobie wyobrazi, że ktoś wyrwał panu kawałek serca bez znieczulenia. Właśnie tak znosi się poronienie. Czas po nim przetrwałam tylko dzięki psychoterapii. Czego się dzięki niej nauczyłam? Tego, że nigdy nie wiadomo, co i kiedy ukoi nasze cierpienie. Myślałam, że już do końca życia będę płakać na widok małych dzieci, mieć problem z ciążami koleżanek i liczyć, ile moje dziecko miałoby teraz lat, gdyby żyło.

Czy lalka „uzupełniła" psychoterapię? Przyspieszyła ją? – Taki był zamiar. Ale trudno powiedzieć, czy eksperyment się udał – przyznaje Olga. Na pewno „poczuła ulgę". – Bo mogłam robić to, na co tak długo czekałam, czyli chodzić po sklepach dziecięcych, kupować akcesoria i ubranka. Potrzebowałam tego, bo w mojej głowie była myśl, że przecież taka jest kolej rzeczy, gdy zachodzi się w ciążę. Mnie taką możliwość los odebrał. Dzięki lalce mogłam się spełnić. Mogłam chodzić między półkami z ubrankami i uśmiechać się, bo mogłam je kupić, zamiast płakać nad tym, że nie mam w nie kogo ubrać.

Olga nie chce kolekcjonować rebornów. Nie kupi nowej, nie zamieni Stasia na kogoś innego. – Szczerze mówiąc, noszę się z zamiarem sprzedaży lalki – mówi. – Gdy spełni swoją terapeutyczną funkcję, nie będzie mi już potrzebna.

© MARIUSZ SEPIOŁO

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

DOROTA

Masłowska:
Duch w Rossmannie

W zeszłym roku jeszcze covidowi debiutanci, zdezorientowane pierwszaczki w akademii nudy i samotności; widzę nas, jak przerażeni nagłą deprywacją towarzyską, konsumpcyjną i kulturalną, frenetycznie szorujemy fugi w łazience starą szczoteczką do zębów. Panicznie myjemy okapy i z całą powagą katalogujemy billingi z 2017 r., byle jakoś to wszystko zatupać, zahałasować cichy pisk nudy spowijającej, wraz z jaskrawymi smugami kwietniowego słońca, mieszkanie. Dziś to już dla nas nie pierwszyzna. Nudę pandemii pokryła metanuda, monotonia wlokącej się w nieskończoność katastrofy. Dni pozbawione są treści tak dojmująco, że już nie wiadomo, jak to właściwie było kiedyś. Wtedy.

Tymczasem wiosna przychodzi ze swym dorocznym ładunkiem obietnicy. Wprawia adolescentów w niepokój, a ulice w stan pobudzenia, zgazowania, uroczystej ekscytacji. Iść gdzieś i szaleć, całować się czy runąć w spowite fluidem ropy fale oceanów, biec albo pędzić lamborghini wśród mozolących się maluchów i syren – to mam w „proponowanych". Co z tą gorączką, z tą nieukierunkowaną namiętnością, z tym pragnieniem życia, wielu żyć jednocześnie, zrobić? Jeszcze niedawno można by było pójść chociaż do galerii handlowej i tam desperacko próbować ucieleśnić je jakimś beznadziejnym zakupem, powiedzmy (już wstępnie przecenioną) sukienką. Teraz jednak odpada nawet to; niezrealizowane tęsknoty wiszą w chmurze. Fluktuują razem z kwiatami, spalinami i zgubionymi szalikami w prześwietlonej galarecie popołudnia na Filtrowej, drżącej od jakiegoś potocznego erotyzmu i rozwichrowania. Otwarte na oścież serce domaga się wszystkiego, ale otwarty jest tylko Rossmann. W lockdownie musi on starczyć za wszystko. Za pełnię życia. Półki uginają się pod marzeniami. Namiastkami, symbolami, rekwizytami rozmaitych pragnień w żelu i kapsułkach. Kremy i balsamy kipią od treści jak eliksiry rozdymające laboratoryjne kolby magicznymi mocami. Relaksują, oczyszczają, powiększają i zmniejszają, przenoszą na Bali i wprawiają w stan kosmetycznej łaski. Okrywają oczy cieniem, a duszę blaskiem. Ich opakowania zapisane są pilnie drobnym drukiem; hipnotyzujące opisy wielokierunkowego działania nie krępują się słowotwórstwa ani poezji. Pogrążone w ekstatycznych wizjach ich użycia kosmetyczne marzycielki stoją zaczytane w alejkach. I ja chadzam tam teraz pod byle pretekstem i razem z dziewczętami wpatruję się w szminki jak sroka w gnat.

Tymczasem nagle w tym wszystkim – jakby przeszła tu właśnie przez ścianę – ta staruszka. Biała i szklista jak wielkanocny baranek z cukru. Te baranki jednak zawsze jakieś takie jube, przypakowane, stoją aż do wakacji, kurząc się i zezując na swojej zielonej miniłączce. A gdy jakieś dziecko przyszpilone głodem słodyczy wreszcie się na nie połasi, zawsze gorzko żałuje. Smak i kościana konsystencja są obrzydliwe, aż dzwoni w zębach. Stanowczo staruszka w Rossmannie nie może równać się z barankiem muskulaturą, a jedynie kostną bladością – przypomina raczej woalkę, ludzki płatek śniegu. Ledwie otwiera sobie drzwi; przypinam rower kawałek dalej na Grójeckiej i bezmyślnie gapię się na jej tragiczne wysiłki, gdybając, dlaczego dziś zamknięte. Dopiero jakiś przechodzień jej pomaga. Do sklepu wsuwają się uroczystym szeptem nogi i ręce, tak wiotkie, jakby w czasie rzeczywistym rysowano ją cienkopisem na serwetce czy folii.

Początek to zawsze wiadomo – włosy. Szampony i odżywki do tych pozbawionych blasku, tłustych u nasady a suchych na końcach lub odwrotnie, farbowanych i zniszczonych. Ale włosy staruszki to jakaś inna kategoria. To włosy metafizycznie przezroczyste, to zaledwie lśniąca delikatnie czaszka okolona anielskim puchem. „Jezu, koszyka zapomniałam... nie mam koszyka. Gdzie są te koszyczki. Boże, nie dojdę tam" – szepcze głośno, trochę do siebie, trochę do postronnych. Ktoś oddaje jej swój koszyk. „Moja siostra jest jeszcze starsza ode mnie" – woła słabo za nim, tak jakby zapytał ją właśnie: „Czy istnieje w ogóle ktoś starszy od pani?". „Skończyłam właśnie 90 lat" – dodaje, jakby ją ktoś spytał: „A ile ma pani lat?". Dodam, że nikt nie spytał. „Ja zaszczepiona jestem" – mówi już za chwilę. To jest jakieś szczególnie rozdzierające wyznanie, tak jakby ktoś spytał właśnie: „Czy aby jest zaszczepiona?" – uzależniając od tego dalszą interakcję. Tak jakby w ogóle była jakaś interakcja. „Gdzie ja idę?" – pyta więc staruszka w przestrzeń, idąc. „Dobrze idę?" – dopytuje. Jednak my, postronni, młodzi i żywi, pełni po brzegi krwinek i hormonów, o włosach lśniących tłusto życiem, dawno wróciliśmy już do swych niecierpiących zwłoki spraw farb, kremów i kociej karmy. „Nie mam maseczki" – wyznaje więc staruszka naszym plecom, omiatając pobieżnie wzrokiem dezodoranty. Ośmielam się twierdzić, że jej pot szeleści, pachnie papierem i kredą. „Nie mam maseczki, nie mogłam pójść do kościoła, więc przyszłam tutaj" – tłumaczy wreszcie nikomu, wskazując na pełne mydeł antybakteryjnych półki, które jako alternatywa dla kościoła prezentują się schludnie i zdroworozsądkowo, choć nieco technicznie. I tak biała staruszka przesypuje się ku kasie, mówiąc głośnym szeptem, czy też bardzo cicho krzycząc, jakby domagała się potwierdzenia, zaświadczenia: tak, istnieje pani jeszcze, żyje pani. ©

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim, Wydział I Cywilny, toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Stefanie Drabarku, zm. 7 listopada 2016 r. w Mińsku Mazowieckim, ostatnio stale zamieszkałym we wsi Piotrowina, gmina Kałuszyn.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy, w terminie trzech miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia, zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku. Sygn. akt I Ns 529/19.

WIARA

LEKCJE GŁOSU

Powstały niedawno Kongres Katoliczek i Katolików chce inaczej niż dotąd rozmawiać o polskim Kościele. Czy może to być początek jego odnowy?

MARCIN CHODUŃ

Izabela, parafianka z diecezji bielsko-żywieckiej: „Bo często czuję dysonans między słowami Chrystusa w Ewangelii a działaniami Kościoła w Polsce. Chcę zrozumieć, jakie są tego przyczyny i co można zrobić, żeby to zmienić".

Janek z Warszawy: „Bo chciałbym, żeby mój Kościół był w stanie odpowiadać na wyzwania, przed jakimi staje współczesny człowiek, w duchu miłości, zrozumienia i tolerancji".

Basia z Wrocławia (od lat łączy działalność w Kościele z działalnością społeczną): „Ponieważ chcę, aby Kościół mówił do ludzi i o ludziach. I żeby zaczął słuchać".

Andrzej, student prawa: „Bo Kościół skrzywdził i wciąż krzywdzi wiele bliskich mi osób. A jako chrześcijanin uważam, że powinien być symbolem miłosierdzia".

Maja: „Bo chcę zrobić wszystko, co w mojej mocy, użyć każdego daru, który dostałam od Boga Ojca, Boga Matki, Ducha Świętego, aby moje dzieci mogły żyć w Kościele i świecie, w którym liczą się ich charyzmaty, a nie chromosomy".

PIOTR LAMPKOWSKI / FORUM

Spotkanie modlitewne „Polska pod krzyżem", Kruszyn, 14 września 2019 r.

Poruszanie tygla

W kilkunastu krótkich filmach umieszczonych na stronie internetowej Kongresu jego uczestnicy – ludzie w różnym wieku, rozmaitych zawodów i pochodzący często z odmiennych środowisk – mówią o swoich powodach zaangażowania się w tę inicjatywę. Ile osób, tyle osobistych motywacji – ostatecznie jednak owe głosy układają się w swoisty refren: Kościół katolicki w Polsce pilnie potrzebuje nowego otwarcia. I że oni – nie tylko świeccy, ale także duchowni – chcą aktywnie działać na rzecz jego uzdrowienia, bo los Kościoła leży im na sercu.

Według twórców tej inicjatywy Kongres to forum dyskusyjne, którego uczestnicy mogą swobodnie mówić o duchowości, Kościele i swoich w nim potrzebach. Więcej: to przestrzeń dyskusji, w której w sposób usystematyzowany, z określoną metodologią, będą opracowywane wybrane zagadnienia, mające służyć jako podstawa do dalszej, już szerzej zakrojonej, merytorycznej dyskusji o polskim Kościele katolickim.

– Niewątpliwie wszyscy zaangażowani w Kongres zareagowali na to, co się dzieje z Kościołem w Polsce – uważa prof. Fryderyk Zoll, prawnik. – Na fakt, że staje się on konstrukcją coraz bardziej kostniejącą, która już właściwie nie odpowiada na potrzeby człowieka naszego czasu.

O. Paweł Gużyński, dominikanin: – Nadszedł czas, aby zaproponować alternatywne sposoby myślenia o Kościele, ponieważ pomysły, które funkcjonują obecnie, już dawno zostały sfalsyfikowane przez rozliczne fakty.

S. Barbara Radzimińska ze wspólnoty Słudzy Ewangelii Miłosierdzia Bożego: – Od lat patrzę na diecezje, w których wszystko umiera. I to jest bolesne, kiedy się jest w środku i kocha się Kościół. W Kongresie dostrzegłam działanie Opatrzności Bożej, która pozwoliła połączyć się ludziom doświadczającym z tego powodu bezsilności i uczyć się wspólnie mówić. Mojego głosu nie było słychać. Ale nasz wspólny głos może zostać usłyszany.

Prace Kongresu odbywają się w obrębie grup tematycznych, które zajmują się m.in. kwestiami dotyczącymi dialogu międzyreligijnego, relacji międzywyznaniowych, władzy w Kościele, ładu społecznego, pozycji kobiet w Kościele, ekologii, stosunków między państwem a Kościołem czy małżeństwa i związków partnerskich oraz modeli katolickiego kształcenia.

– Zakres prac w poszczególnych grupach obejmuje stosunkowo wąskie zagadnienia, które następnie będą opracowywane. Mamy nadzieję, że rezultaty tych prac: sprawozdania, raporty, zainspirują do prawdziwej dyskusji o Kościele i poruszą w końcu ten zastygły tygiel – mówi prof. Zoll.

Co go skłoniło do zaangażowania się w Kongres? We wrześniu zeszłego roku uczestniczył w mszy w katedrze w Osnabrück, podczas której za zgodą miejscowego biskupa kazanie wygłosiła kobieta. Fakt ten skłonił go do zastanowienia się nad kwestią równości w Kościele. Napisał felieton (ukazał się we wrześniu 2020 r. na stronie małopolskiego KOD-u), w którym zadał pytanie, dlaczego tak długo wierni Kościoła katolickiego tolerują zupełnie jawną niesprawiedliwość, jaką jest brak kobiet w Kościele. Skala reakcji zaskoczyła prof. Zolla – wiele osób napisało do niego: trzeba coś z tym wreszcie zrobić!

Z drugiej strony

Kongres Katoliczek i Katolików ukonstytuował się w lutym tego roku. Jego forma prawna? Formalnie jest to, na razie, internetowa grupa dyskusyjna. Spotkania (oczywiście z powodu pandemii) prowadzone są jedynie na platformach komunikacyjnych i portalach społecznościowych. Obecnie bierze w nich udział ponad 400 osób. – Jaką formę prawną Kongres ostatecznie przybierze, okaże się w przyszłości. Największym dotychczas wydatkiem było wysłanie listów do biskupów – śmieje się prof. Zoll.

Z deklaracji programowej: „Kongres Katoliczek i Katolików to inicjatywa osób, które wspólnie poszukują pozytywnych odpowiedzi na pytanie o przyszłość Kościoła Rzymskokatolickiego w Polsce, ↦

↦ Europie i na świecie. To forum wymiany myśli i płaszczyzna wspólnego działania na rzecz reform, jakich Kościół potrzebuje w zmieniającej się rzeczywistości społecznej".

O jakich reformach mowa?

Przedstawiciele Kongresu zastrzegają, że nie mają na myśli wielkiej rewolucji. Chcą zacząć od kwestii praktycznych, wcale niekoniecznie od zmian doktrynalnych. Chodzi o zidentyfikowanie tych pól w Kościele, które są możliwe do dostosowania do współczesnych czasów, i oddzielenie ich od tego, co jest niezmienne.

Zmiany według nich powinny objąć kilka zasadniczych obszarów. Przede wszystkim istnieje problem władzy w Kościele i klerykalizacji jego struktur, zupełnie pozbawionych partycypacji świeckich. Skutek? Rozbita do pewnego stopnia wspólnota wiernych. Dlatego, uważają, konieczne jest wypracowanie modelu zaangażowania świeckich – co wcale nie oznacza zakwestionowania roli duchownych. Chodzi o wprowadzenie ich, w tym biskupów, pomiędzy wiernych. Dla wielu duchownych będzie to zapewne możliwość zobaczenia po raz pierwszy Kościoła z drugiej strony.

Mechanizmy kontrolne. Wiele patologii można byłoby uniknąć, gdyby istniały jasne reguły pozwalające na podejmowanie decyzji w sposób bardziej kolegialny, z jawnością ich uzasadnienia i komunikowania. Zniknęłaby szara strefa informacyjna. Od czego zależy powołanie proboszcza? Jak to się dzieje, że ktoś jest gdzieś przenoszony?

Kobiety w Kościele. Nie chodzi o kapłaństwo kobiet, tylko o ich rolę w Kościele i przywrócenie im elementarnej godności. Choćby wprowadzona niedawno przez Franciszka możliwość sprawowania przez kobiety posługi lektoratu i akolitatu. Dlaczego w Polsce nic z tego nie wynika?

Model katolickiego kształcenia. Jak zmienić np. system formacji kleryków, aby integrowali się ze społeczeństwem, a nie byli od niego izolowani?

Relacje państwa i Kościoła. Co jest niezbędne, aby można było realizować swoją wolność religijną w państwie, a co jest niepotrzebne? W dyskursie publicznym do tej pory mówiono wiele w tym kontekście o modelach, różnych systemach, ale właściwie mało kto stawiał takie pytania.

Przede wszystkim istnieje problem modelu funkcjonowania władzy w Kościele i klerykalizacji jego struktur, pozbawionych partycypacji świeckich.
Skutek? Rozbita do pewnego stopnia wspólnota wiernych.

O dyskutowanej także kwestii skandali pedofilskich o. Paweł Gużyński mówi tak: – Staramy się patrzeć na sprawy systemowo. Chcemy pokazać, jak kultura sprawowania władzy sprzyja ukrywaniu przestępców seksualnych i jak tę kulturę trzeba w związku z tym zmienić. Bardzo pięknie potrafimy mówić jako księża o miłosierdziu i przebaczeniu dla grzeszników, ale jesteśmy zupełnie bezradni wobec kogoś, kto jest grzesznikiem i jednocześnie bandytą. Biskupi często mówią: ksiądz się pokajał, wyspowiadał i odbył pokutę, więc traktujmy go jak nawróconego. A przecież drapieżcy seksualnego nie można tak traktować!

Potrzeba edukacji

Prof. Zoll przyznaje: wzorem dla jego myślenia o Kongresie jest tzw. Droga Synodalna w Niemczech – wspólne dyskusje niemieckiej hierarchii i świeckich mające uzdrowić kondycję tamtejszego Kościoła katolickiego.

W konserwatywnych mediach katolickich – m.in. na portalu „Polonia Christiana" czy w „Gościu Niedzielnym" – pojawiły się zarzuty naśladowania przez Kongres „opcji niemieckiej" oraz nawiązywania do ruchu Wir sind Kirche, postulującego w krajach niemieckojęzycznych m.in. możliwość przyjmowania święceń kapłańskich przez kobiety oraz wolność wyboru duchownych w kwestii celibatu.

W odpowiedziach umieszczonych na stronie internetowej Kongresu prof. Zoll zauważył, że członkowie Kongresu od samego początku opierają się na własnych doświadczeniach i od razu też pojawiły się rodzime tematy, nieobecne w niemieckiej Drodze Synodalnej. Dlatego, wedle prof. Zolla, nazywanie Kongresu „opcją niemiecką" czy wiązanie go z ruchem Wir sind Kirche jest chybione. Jego zdaniem idzie przede wszystkim o wykorzystanie narzędzi dostępnych świeckim już teraz. Okazuje się jednak, że wiedza o nich niekoniecznie jest powszechna: np. w jednej z kongresowych grup siostra zakonna po raz pierwszy usłyszała, że może zasiadać w radzie parafialnej.

Prof. Zoll: – Za ten brak podstawowej wiedzy o możliwościach, jakie mamy, odpowiada nasza polska kościelna mentalność oraz dotychczasowy model edukacji katolickiej, nakierowany na posłuszeństwo, a nie na podmiotowość. Chodzi o wyjście poza rozumienie Kościoła jako usługodawcy posług sakramentalnych i wiernych jako konsumentów tych usług. Dlatego odwołujemy się do kapłańskiego powołania wiernych, z którego w polskim Kościele katolickim nic nie wynika.

Pytania i odpowiedzi

Wtorek, 23 marca, godzina 19. Spotkanie grupy ekumenicznej. Liczba uczestników: 30. Prowadzący: pastor Ewangelicznego Kościoła Metodystycznego Davide Carbonaro (od ponad 20 lat w Polsce). Na początek pastor odczytuje fragment Listu św. Pawła do Rzymian, po czym prosi uczestników o przedstawienie swoich pozytywnych i negatywnych skojarzeń z pojęciem ekumenizmu, które mieli w kilku punktach przygotować.

Waldemarowi to pojęcie po stronie plusów kojarzy się ze słowami Jezusa: „Aby byli jedno". Irence – ze wzbogaconym spojrzeniem na Pismo Święte: w różnych denominacjach zwraca się przecież uwagę na różne fragmenty. Rafałowi – z budowaniem jedności modlitwą.

Minusy: Andrzej wpisał po tej stronie wzajemną nieznajomość i wynikające stąd uprzedzenia. Irenka – lęk przed utratą tożsamości. Adam, który od 25 lat jest związany z ruchem badackim – stereotypy istniejące po obu stronach.

Czwartek, 25 marca, godzina 20. Spotkanie grupy „Władza w Kościele". 14 uczestników. Wesoło. Ks. Kazimierz Sowa żartuje, że dziś mecz Polska–Węgry, więc trzeba się spieszyć. Prowadząca spotkanie, Maria, również żartem: „To jest właśnie oznaka władzy w Kościele – ksiądz

każe nam skończyć wcześniej, bo jest mecz". Dzisiejszy temat: wymagania wobec księży. Chodzi o podstawowe kwestie. Do czego ma służyć ambona? Tylko do głoszenia Ewangelii czy także własnych poglądów? Co to znaczy: umiarkowane korzystanie z dóbr materialnych? Propozycje uczestników: żeby księża żyli na poziomie ludzi, z którymi pracują. Dobrym rozwiązaniem byłoby też, żeby finanse w Kościele były jawne i żeby istniały normalne taryfy wynagrodzeń. Chodzi więc raczej o zmiany organizacyjne niż o postulaty do księży.

Wtorek, 30 marca, godzina 20. Spotkanie grupy „Ład społeczny". Dziś pięcioro uczestników: Joanna z Wrocławia, Joasia z Warszawy, Marek, Robert i Janek. Rozmowa toczy się wokół punktów zdefiniowanych na pierwszej sesji – a w zasadzie koncentruje się na jednym z nich: „Jaki powinien być stosunek katolików i naszego Kościoła do grup wykluczenia społecznego?". Jest mowa o pomocy charytatywnej: powinna ona wychodzić bardziej ze schematu „z" niż „dla". Czyli pomoc poprzez pracę z drugim człowiekiem – jak robił to św. Franciszek z Asyżu. No dobrze, ale na początek trzeba zdefiniować, kto jest tym wykluczonym. Tylko biedni i niepełnosprawni? Czy osoby LGBT+ również? Padają odpowiedzi: wykluczony to każdy wypchnięty poza margines z powodu swojej odmienności od normy. Jezus w Ewangelii mówi o wdowach, sierotach, nierządnicach. Kto będzie zbawiony? Nie ten przecież, który ileś tam mszy „zaliczył", ale ten, który głodnego nakarmił, spragnionego napoił, więźnia odwiedził.

Wierni upodmiotowieni

Czy efektem prac w poszczególnych grupach mają być postulaty zmian przeznaczone dla episkopatu? Czy Kongres dąży do synodu ogólnopolskiego?

– Owszem, cały ten ruch ma do pewnego stopnia zapewnić świeckim, ale nie tylko, bo to nie jest wyłącznie ruch świeckich, pewną dojrzałość do postawienia zasadniczych pytań, które mogłyby być przedmiotem synodu w Polsce – mówi prof. Zoll. – A żeby on miał sens, muszą wziąć w nim udział także wierni, ale wierni upodmiotowieni w Kościele, którzy dzięki merytorycznemu przygotowaniu będą mogli naprawdę w nim uczestniczyć i mieć coś do powiedzenia.

Nie chodzi im o jakąś rewolucję. Chcą z jednej strony pokazać biskupom zwykłe życie i jego problemy, z drugiej zaprosić do współtworzenia Kościoła zwłaszcza tych, którzy czują się na marginesie.

– Niewątpliwie wypracowane dokumenty będą zawierały postulaty, ale rozumiane bardziej jako propozycje do dyskusji, w trakcie której być może znajdziemy jeszcze lepsze rozwiązania – tłumaczy o. Paweł Gużyński. – Chcemy wejść w realny dialog z hierarchami, w szczególności z gremiami decyzyjnymi w Kościele, pokazać im swój punkt widzenia i go z nimi przedyskutować. Owszem, te dokumenty mogłyby być wstępem do synodu w Polsce.

O. Paweł Gużyński: – Biskupi zwykli postrzegać poważne problemy w zbyt ciasnej, doktrynalno-moralnej perspektywie. Kongres może wnieść do dyskusji o tych samych kwestiach perspektywę codziennego zmagania się z nimi w życiu, jakiego doświadczają zwykli ludzie. Choćby antykoncepcja. Dla biskupów jest to przede wszystkim dyskusja na poziomie filozoficznych koncepcji antropologicznych, a zwykły człowiek, który jest np. zagrożony ekonomicznie i nie ma bezpieczeństwa zatrudnienia, pyta o te sprawy zupełnie inaczej. Co się stanie, jak mu przybędzie jeszcze jeden potomek do wykarmienia? Chodzi więc o postawienie takich pytań, których biskupi nie stawiają.

Rydzyk à rebours

Według członków Kongresu biskupi są w tym ruchu kluczowi – bez nich nie miałby on sensu. Dlatego poinformowali o jego powstaniu wszystkich polskich hierarchów. Prof. Zoll rozmawiał z kard. Kazimierzem Nyczem; ostatnio kontaktowano się także z bp. Piotrem Jareckim. Wedle prof. Zolla stosunek obu hierarchów do inicjatywy jest pozytywny.

Prof. Fryderyk Zoll: – W Kongresie jest już sporo sióstr zakonnych i księży, choć są to głównie duchowni przebywający na misjach albo ojcowie zakonni. Rzadko zdarzają się proboszczowie. Dlatego tak zależy nam na tym, żeby biskupi przychylnie patrzyli na naszą inicjatywę, żeby księża, którzy są w bezpośredniej zależności od hierarchów, nie bali się ich i przystępowali do dyskusji.

Dla s. Barbary Radzimińskiej nie ma nic dziwnego w tym, że w Kongresie uczestniczy tak wielu księży, którzy mają doświadczenie posługi za granicą. Ona sama spędziła wiele lat na misjach – głównie w Argentynie. I było to dla niej doświadczenie Kościoła, który jest radykalnie inny niż w Polsce – dużo bardziej bliski, otwarty na ludzi, w którym decyzje podejmuje się kolegialnie i gdzie udział świeckich jest nieporównywalnie większy. – Gdy wracasz do Polski, doświadczasz bolesnego kontrastu. Widzisz, jak jest, a wiesz już, jak mogłoby być.

O. Paweł Gużyński: – Moim zdaniem jednym z kluczy do sukcesu jest dotarcie w ramach Kongresu do zwykłego wiernego, który w swojej codzienności doświadcza trudności. Czyli musimy w pewnym sensie zrobić to, co zrobił o. Tadeusz Rydzyk, tylko pod każdym możliwym względem na odwrót. Powinniśmy spotkać zwykłego wiernego i pokazać mu, że jeśli np. przychodzi w traumatycznej dla siebie sytuacji, prosząc o pogrzeb bliskiej osoby, a ksiądz chce wydrenować jego kieszenie z gotówki, to my mamy na to receptę.

Jak dotrzeć do ludzi?

– Przede wszystkim przez spotkania – podkreśla dominikanin. – Obecnie pandemia to uniemożliwia, ale w ramach Kongresu pracuje już komórka, w której myśli się o tym, jak organizować spotkania dla parafii, różnych wspólnot, dla wszystkich, którzy będą chcieli z nami rozmawiać. Będziemy im mówić o Kongresie, ale też słuchać i przekazywać ich postulaty do prac kongresowych.

Najlepsza kampania to zatem taka, gdy idzie się od człowieka do człowieka, podaje mu rękę, rozmawia z nim.

– Zwykli wierni oczekują zmiany w Kościele – dodaje o. Paweł Gużyński. Niedawno zadzwonił do niego góral z Podhala. Po ponad godzinnej rozmowie powiedział: „Ojculku, to wszystko trza zmienić, bo tak dalej już być nie moze!".

© MARCIN CHODUŃ

ANTONIO QUATTRONE / MONDADORI PORTFOLIO / GETTY IMAGES

Twarz Jezusa, malowidło w bazylice św. Franciszka w Asyżu

Boski trans i chrześcijaństwo

PIOTR SIKORA

Doczekaliśmy się polskiej wersji portretu Jezusa szkicowanego poza ortodoksją. Czy książka Augustyniaka wnosi coś nowego?

Królestwo Życia jest wolnością od fiksacji na sobie i od troski, za pomocą której chcemy narzucić siebie światu, przywiązać go do siebie, zmusić, aby kręcił się wokół nas, naszych potrzeb, pragnień, naszych dobrych intencji. W tej wolności otwieramy się na świat i na życie. Więcej czujemy i widzimy. Empatia i zrozumienie. Przede wszystkim zaś afirmacja świata, przyzwolenie na to, co od nas nie zależy, radość i swoboda bycia. Nawet w obliczu cierpienia i każdego innego ciężaru, który niesie los. Nie ze względu na życie wieczne, które miałoby na nas czekać po śmierci i na które musimy sobie zasłużyć, ale bezwzględnie i bezwarunkowo, tu i teraz".

Wspaniała, kusi, by napisać: paschalna wizja.

Według Piotra Augustyniaka, autora niedawno wydanej i już głośnej książki o Jezusie, taką właśnie wizję – możliwość zanurzenia się w królestwie Życia – głosił rabbi z Nazaretu. Sam był człowiekiem „skomunikowanym z żywiołem Życia" i wszystkim, którzy chcieli go słuchać, głosił, że „to królestwo Życia jest w nas", że „każdy, nawet najbardziej przejęty sobą i zatroskany światem, nosi w sobie jego ziarenko". To Życie jest obecne w każdym z nas przynajmniej jako mniej lub bardziej jawne pragnienie, a „pójście za tym pragnieniem oznacza wolność, która tym samym okazuje się nie wygaszeniem i pustką, lecz transowym, niespożytym, szalonym ruchem ciągłego przełamywania się i przekraczania własnych granic".

Dyskurs i zaangażowanie

Wiele fragmentów książki Augustyniaka, takich jak te przywołane wyżej, mogłoby nasunąć przypuszczenie, iż mamy do czynienia z dziełem próbującym w nowy i niekonwencjonalny sposób wyrazić wątki obecne w mistycznych nurtach chrześcijaństwa – podobnie jak w XX wieku czynili to Thomas Merton, Raimon Panikkar, a obecnie np. amerykański franciszkanin Richard Rohr. Na przeszkodzie takiemu przypuszczeniu staje jednak – od samego początku – tytuł książki: „Jezus Niechrystus" i jawne deklaracje autora reklamującego swoje dzieło jako zapis osobistej drogi poza chrześcijaństwo.

Wiele już powstało portretów Jezusa, których autorzy rysowali postać Nauczyciela z Nazaretu inaczej, niż prezentuje ją ortodoksja; obrazów, wedle których Jezus nie jest ani Chrystusem, ani tym bardziej boskim Zbawicielem świata. Augustyniak nie dokonuje tu jakiegoś szczególnego przełomu – a jednak jego propozycja jest ciekawa i pouczająca, warta uważnej lektury i rozważenia.

Jest to książka o nietypowej konstrukcji. Autor przeplata w niej rozmaite gatunki literackie – filozoficzno-teologiczny esej, autobiograficzne świadectwo, felieton odnoszący się do współczesnej, pandemicznej rzeczywistości. Ów gatunkowy kolaż jednym pokaże się jako atrakcyjny, innym wyda się pretensjonalny i utrudni lekturę. Moim zdaniem nie jest on zabiegiem czysto formalnym – wskazuje na charakter treści, która z jednej strony ma charakter głęboko spekulatywny, z drugiej – ujawnia swe życiowe znaczenie.

Istnieją poważne filozoficzne argumenty za tym, że o religijnym aspekcie rzeczywistości nie da się mówić i pisać, ani nawet myśleć, w sposób zupełnie zobiektywizowany, bez jakiegokolwiek osobistego zaangażowania – taka jego natura.

Niektórzy owo osobiste zaangażowanie ukrywają – przed słuchaczami, czytelnikami, a czasami nawet sami przed sobą. Inni czynią jawnym, świadomie wprowadzają do gry – a wtedy widzimy wyraźnie, że nie chodzi o system doktryn i przepisów, lecz o życie konkretnego człowieka.

Ktoś mógłby powiedzieć – to życie, droga jego, nie moja. Ograniczona subiektywnością, pozbawiona uniwersalnej wagi – nie wszyscy wszak mają tak samo. Owszem, lecz z drugiej strony: dana nam możliwość przyglądania się przemianie drugiego człowieka to nie tylko okazja do ćwiczenia interpersonalnej uważności, lecz także sposobność bardziej przenikliwego rozpoznania swojego własnego życia – również poprzez zauważane różnice.

Proces

A zatem spoglądajmy uważnie. Chrześcijaństwo, które opuścił Augustyniak, jest dosyć odpychające. Nie ma w nim miejsca na spontaniczność i twórczość w przeżywaniu życia. „Jest za to wymóg skostniałego posłuszeństwa i feudalnego poddaństwa względem doktryny i instytucji – do czego w istocie sprowadza się wiara. To sprytna konstrukcja. Człowiek przypomina psa prowadzonego na niewidzialnym (dla niego) łańcuchu lub smyczy. Wierzy i czuje, że ma pełną swobodę ruchu, nie zdając sobie sprawy, jak jego ruchy są ograniczone".

Widzimy młodego człowieka, którego egzystencjalny lęk został ukojony dzięki pobożnej wierze, iż jest chciany i kochany przez ukrzyżowanego Zbawiciela świata. Po latach człowiek ów odkrywa jednak, że wiara ta była „głębszym i głębszym popadaniem w alienację w otaczającym mnie świecie i wobec wyzwań wpisanych w życie".

Tak, z pewnością chrześcijaństwo, jakie opisuje Augustyniak na podstawie swojego osobistego doświadczenia, istnieje. Warto zatem, by każdy, kto uważa się za chrześcijanina, uważnie przyglądał się sobie i swojemu chrześcijaństwu i stawiał na poważnie pytanie: czy moja wiara nie alienuje mnie przypadkiem od rzeczywistości? Czy nie skostniałem w posłuszeństwie i poddaństwie wobec instytucji i jej doktryny?

Oczywiście łatwo zauważyć, że zarzut wobec chrześcijaństwa postawiony przez Augustyniaka skonstruowany jest bardzo sprytnie. Mówi bowiem o łańcuchu niewidzialnym dla tego, kto nim jest spętany. Nawet zatem jeśli czuję, że w swoim chrześcijaństwie mam pełną swobodę ruchu, a więc że moje doświadczenie radykalnie różni się od doświadczenia opisanego przez krakowskiego filozofa, to on, ze swojej perspektywy, może mi powiedzieć: ty czujesz się wolny, gdyż nie zdajesz sobie sprawy, iż ruchy twoje są ograniczone.

Można by na to odpowiedzieć tak: jestem ograniczonym bytem, a więc moje ruchy tak czy inaczej są ograniczone; jeśli zaś wśród rozmaitych ograniczeń nigdy nie (po)czuję szarpnięcia łańcucha, to na czym polega zniewolenie?

Zanim rozważymy potencjalną odpowiedź, iż ograniczać swobodę ruchów można bardzo subtelnie, w sposób niezauważalny dla niewolonego, warto zauważyć, że rzeczywiste chrześcijaństwo, zwłaszcza w jego katolickim wydaniu, wcale nie jest tak sprytne, jak twierdzi Augustyniak. Innymi słowy: ma on rację, gdy pisze o ograniczeniach ludzkiej twórczej wolności, które kościelne instytucje próbują wprowadzać w imię ortodoksji: kultu, moralności i wiary. Pokazuje to nie tylko historia z jej anatemami, procesami inkwizycji, lecz i współczesność.

W tym miejscu można by jednak powiedzieć, że Augustyniak sam nie wyzwolił się z perspektywy patrzenia na chrześcijaństwo, jaka bliska jest owym instytucjom, niechętnym twórczej wolności Życia. Podobnie bowiem jak one, widzi chrześcijaństwo jako monolit o precyzyjnie określonych cechach, o którym można adekwatnie powiedzieć: chrześcijaństwo jest takie a takie; chrześcijaństwo polega na tym i na tym – a co jest inne, chrześcijaństwem już nie jest.

Owszem, Augustyniak przyznaje, że w historii chrześcijaństwa były postaci, które nie dały zamknąć się w krytykowanym przez niego schemacie. Wymienia Orygenesa, Mistrza Eckharta – myśl tego ostatniego prezentuje nawet jako jedno z głównych źródeł własnych duchowych inspiracji. Twierdzi jednak, że należą oni do chrześcijańskiego marginesu i, poza tym, zostali potępieni. Nie zamierzam tu wchodzić w prawnokanoniczne szczegóły owych potępień – ten aspekt mnie właśnie nie interesuje. Wolałbym zwrócić uwagę, że Orygenes zainspirował wielu teologów należących do intelektualnego „mainstreamu" także tradycji katolickiej – takich jak Grzegorz z Nyssy czy Bazyli Wielki. Kazań Eckharta słuchały zaś tłumy i wielu słuchaczy uznawało go za duchowego mistrza – co znaczy, że to, co mówił, nie było obce ich – chrześcijańskiej – duchowości, niezależnie od tego, co na temat kazań dominikanina myślał ówczesny biskup Kolonii i awiniońscy sędziowie.

Chrześcijaństwo to znacznie bardziej zróżnicowana, skomplikowana i bogata tradycja, niż jawi się na kartach „Jezusa Niechrystusa". Kluczowe jest, po pierwsze, dostrzeżenie tej różnorodności, po drugie zaś – uznanie jej za prawomocną (wbrew zwolennikom wąsko rozumianej i sztywnie określonej ortodoksji).

Jezus i pierwsi uczniowie

W tym miejscu przejść trzeba do najgłębszej warstwy zarzutów Augustyniaka przeciw chrześcijaństwu – twierdzenia, że od samego początku powstało w wyniku niezrozumienia życia i nauk Jezusa. Teza ta i metodologiczne założenia, na których się opiera, nie są nowe. Większość biblistów zauważa, że podstawowe źródła, do jakich możemy sięgnąć, próbując poznać postać Jezusa – czyli chrześcijański Nowy Testament – powstały w złożonym procesie przekazu i redakcji danych o życiu i nauczaniu Nazarejczyka. W procesie tym dochodziło do rozmaitych zmian, trzeba więc podjąć badawczy wysiłek, by odtworzyć słowa i czyny Jezusa.

Augustyniak przyjmuje, że autentyczne nauczanie Jezusa można odczytać z zaginionego, ale zrekonstruowanego przez badaczy na podstawie śladów obecnych w ewangeliach synoptycznych źródła mów Jezusa (tzw. Q). Na tej podstawie rysuje swój portret Galilejczyka – człowieka, który odkrył płynące w nim Życie – tu i teraz, wieczne, bez granic, absolutne, boskie; nauczyciela, który mówił o swoim odkryciu, używając zrozumiałych w jego kulturze metafor Ojca niebieskiego oraz Bożego królestwa.

Królestwo to jest tu i teraz obecne, zawsze każdemu dostępne, nie trzeba wcale go oczekiwać. Obraz Ojca to kryptonim owego boskiego Życia (*zoe*), które jest źródłem naszej tożsamości. Owa tożsamość (*bios*) to „chwilowa forma, skończony kształt tego, co jest nieśmiertelnym, wszechogarniającym nurtem życia (*zoe*)". Jezus, twierdzi Augustyniak, rozpoznał tę rzeczywistość i o niej nauczał, chrześcijaństwo zaś od początku przyjęło przeciwną perspektywę: „Nie być już więcej chwilową postacią Boskości; być odtąd zalęknionym o swoje zbawienie ↦

↦ stworzonym istnieniem, próbującym zdobyć przychylność urojonego, Najwyższego i Wszechmogącego, Osobowego Bytu. Urojonego przeciwko *zoe*. Urojonego przez narcystyczny, zafiksowany na sobie i przejęty wyłącznie sobą podmiot".

Zapewne istnieją i takie nurty chrześcijaństwa. Warto jednak zauważyć, że niektóre teksty Nowego Testamentu komplikują ów obraz. Jednym z głównych motywów Ewangelii Jana – uznanej przez Augustyniaka za późną, wyrażającą już rozwiniętą teologię drugiego pokolenia chrześcijan – jest właśnie już teraz dostępne doświadczenie boskiego życia (*zoe*), uwarunkowane uwolnieniem się od swojej ograniczonej tożsamości. Wyrazem tej perspektywy jest werset: „kto kocha (dosłownie: lgnie) swoją duszę (*psyche*), traci ją, a kto nienawidzi swojej duszy (*psyche*) na tym świecie, zachowa ją na życie (*zoe*) wieczne" (J 12, 25).

Podobna perspektywa obecna jest w pismach Pawła z Tarsu (negatywnego bohatera „Jezusa Niechrystusa"). Swoje fundamentalne egzystencjalne doświadczenie wyraził w Liście do Galatów słowami: „teraz już nie ja żyję, lecz żyje we mnie Chrystus" (Ga 2, 20). Jak daleko tu od perspektywy zafiksowanego na sobie podmiotu, który próbuje zdobyć przychylność dalekiego, urojonego Najwyższego Bytu! To przecież wyznanie kogoś, kto uwolnił się z klatki swego ograniczonego ja i odkrył jako swoją najgłębszą – żywą! – tożsamość Chrystusa, czyli rzeczywistość, w której to, co ludzkie, i to, co boskie, jest jednością.

Ułomność słów

Wbrew Augustyniakowi twierdzę, że wiele z tego, co uznaje on za nauczanie Jezusa, jest obecne także u najważniejszych teologów pierwotnego chrześcijaństwa, jakimi byli Paweł i autor Ewangelii Jana. Owszem, ich intuicje przyjmowane były w chrześcijańskich wspólnotach rozmaicie – chrześcijaństwo różnicowało się od samego początku. Widać to np. w sporze uczniów Pawła o teraźniejszość zmartwychwstania. Podczas gdy autor Drugiego Listu do Tymoteusza potępia niejakich Hymenajosa i Filetosa, „którzy odpadli od prawdy, mówiąc, że zmartwychwstanie już nastąpiło" (2 Tm 2, 17-18), autor Listu do Efezjan właśnie tak pisze o naszym zmartwychwstaniu: iż Bóg już nas „współ-wskrzesił i współ-posadził na wyżynach niebiańskich w Chrystusie Jezusie" (Ef 2, 6). W Chrystusie, w którym cała rzeczywistość stworzona oraz stworzenie i Bóg są zjednoczone (Kol 1, 15-17) i który całkowicie wszystko napełnia (Ef 1, 23).

> Chrześcijaństwo to znacznie **bardziej zróżnicowana i bogata tradycja,** niż jawi się na kartach „Jezusa Niechrystusa".

Nie chcę przy tym powiedzieć, że Paweł i autor Czwartej Ewangelii mówią to samo, co pisze Augustyniak. Ani że Augustyniak adekwatnie odczytał naukę Jezusa. Jest tu wiele podobieństw, ale także, moim zdaniem, liczne różnice. Są trudności w dotarciu do słów samego Jezusa. Bibliści spierają się, czy oczekiwał rychłego nadejścia końca czasów (ku takiemu poglądowi skłania się też jeden z dwóch badaczy, na których powołuje się autor „Jezusa Niechrystusa", Geza Vermes), czy też skoncentrowany był całkowicie na tym, co dzieje się w życiu teraz (to pogląd drugiego z biblistów cytowanych przez Augustyniaka – Johna Dominica Crossana).

Jeszcze trudniejszy jest precyzyjny opis r(R)zeczywistości, o którą tu chodzi. Augustyniak ma rację, gdy krytykuje przywiązanie do dosłownego rozumienia osobowych metafor, takich jak Ojciec czy Stwórca. Świadomość radykalnej nieadekwatności tych pojęć mieli niemal wszyscy wielcy teologowie chrześcijaństwa – od Klemensa z Aleksandrii przez Ojców Kapadockich, Augustyna, Pseudo-Dionizego, Tomasza z Akwinu, Mikołaja z Kuzy, Jana od Krzyża po niemal nam współczesnego Karla Rahnera. Oni zapewne ostrzegliby autora „Jezusa Niechrystusa" przed przywiązaniem do metafor transu i ż(Ż)ycia.

Właśnie w takiej perspektywie trzeba potraktować kluczowy – mogłoby się zdawać – problem książki Piotra Augustyniaka: to, czy Jezus był/jest Bogiem. Wspomniany tutaj Karl Rahner proponował ogłosić moratorium na używanie słowa „Bóg" – rodzi ono bowiem, przekonywał, więcej nieporozumień, niż pozwala wyjaśnić. Propozycja Rahnera może się wydać kontrowersyjna. Gdy czytałem „Jezusa Niechrystusa", nabierałem jednak coraz bardziej przekonania, że wybitny dwudziestowieczny jezuita miał rację.

©℗ PIOTR SIKORA

Piotr Augustyniak, **JEZUS NIECHRYSTUSA**, *słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2021*

REKLAMA

MICHAEL ROBINSON CHAVEZ / WASHINGTON POST / GETTY IMAGES

Studenci Uniwersytetu Georgetown domagają się, aby uczelnia wsparła potomków niewolników. Waszyngton, 3 października 2019 r.

Duchy sprzedanych

KAROL KLECZKA

Nie można mówić o radzeniu sobie z rasizmem, jeśli nie zostanie oddana sprawiedliwość potomkom niewolników. Tego nauczyli się amerykańscy jezuici.

Starzy i młodzi, kobiety w ciąży, a nawet niemowlęta, w sumie 272 osoby, w 1838 r. wsadzono siłą na statki w Maryland. Stąd przez Nowy Orlean dotarli do Baton Rouge w Luizjanie. Stali się bezimiennym przedmiotem transakcji, którą Towarzystwo Jezusowe przeprowadziło z plantatorami, aby sfinansować funkcjonowanie jezuickiego Uniwersytetu Georgetown. Niewolnicy sprzedani za równowartość dzisiejszych 3,3 mln dolarów przez niemal dwieście lat stanowili palącą ranę i wstydliwą kartę w historii amerykańskiej prowincji jezuitów. Po dwóch wiekach ich potomkowie doczekają się sprawiedliwości.

Pod koniec marca tego roku jezuici zobowiązali się do zebrania 100 mln dolarów zadośćuczynienia dla potomków sprzedanych przez prowincję niewolników. W tym celu Towarzystwo we współpracy ze stowarzyszeniem GU272 Descendants Association, które zrzesza potomków ofiar handlu ludźmi, powołało Descendants Truth & Reconciliation Foundation. Do tej pory powstawały już podobne projekty, ale najnowsze przedsięwzięcie jezuitów wyróżnia się zamierzoną skalą finansowania, ponieważ docelowo fundacja pragnie pozyskać aż miliard dolarów. To nie umknęło uwadze mediów podkreślających, że to największy wysiłek Kościoła katolickiego na rzecz wynagrodzenia historycznych krzywd wobec Afroamerykanów.

Budżet organizacji ma się opierać na fundraisingu, z czego połowa rocznych przychodów będzie przeznaczona na granty dla organizacji odpowiedzialnych za pojednanie rasowe, 25 proc. na projekty edukacyjne, a reszta na pomoc schorowanym i starszym potomkom. Już teraz pojawili się poważni partnerzy skłonni dofinansować dzieło, wśród których pierwsze miejsce zajmuje jeden z największych holdingów finansowych JPMorgan Chase. Trudno oceniać, czy to wyraz wielkoduszności, skoro właśnie to przedsiębiorstwo powstało na gruncie Citizens Bank z Nowego Orleanu, czyli instytucji, która przyjęła niewolników jako kaucję na poczet długów zaciągniętych w XIX w. przez jezuitów, niemniej taki wkład ukazuje dodatkową siłę jezuickiego przedsięwzięcia – jest ono sprawnym narzędziem generowania presji społecznej.

„Handel niewolnikami to wstydliwy rozdział naszej historii w Stanach Zjednoczonych. Teraz wymietliśmy go spod dywanu i nigdy nie może tam powrócić" – twierdzi o. Timothy Kesicki SJ, przełożony jezuitów w USA i Kanadzie, który odpowiada za proces oczyszczenia ze strony zakonu. Powołując fundację, jezuita podkreślił swoisty wymiar dziedzictwa, które do dziś obciąża Towarzystwo Jezusowe. „Dopóki będziemy odwracać głowę od prawdy o przeszłości, dopóty rasizm będzie wpływał na obecną sytuację. (...) Jeśli nie połączymy naszych serc i rąk w dążeniu do prawdziwej jedności, ten cykl nienawiści i nierówności nigdy się nie skończy" – podkreślał Kesicki.

W podobnym tonie wypowiadał się Joseph Stewart, jeden z potomków niewolników, związany z GU272, a który obecnie pełni funkcję prezesa fundacji. „Od ponad czterystu lat nasz kraj wypiera się prawdy o ciągłym niszczeniu ludzi przez niewolnictwo, nie bierze odpowiedzialności za świadomy czy nieuświadomiony rasizm, który dzieli nasze społeczeństwo i naród" – ocenia Stewart. Ale jak właściwie doszło do tego, że jezuici handlowali niewolnikami?

Wstydliwa przeszłość

Choć dziś Uniwersytet Georgetown kojarzy się głównie ze słynnymi absolwentami, jak Bill Clinton (a fanom kina z „Egzorcystą" Williama Friedkina), to ciąży na nim plama niechlubnej przeszłości. Gdy na początku XIX w. uczelnia znalazła się w poważnych tarapatach finansowych, jezuiccy przełożeni Thomas Mulledy SJ i William McSherry SJ zdecydowali, że uratują budżet uczelni sprzedając 272 posiadanych niewolników.

Należy pamiętać, że w procederze handlu niewolnikami uczestniczyły również inne wielkie amerykańskie uniwersytety, jak Brown, Columbia, Harvard czy Uniwersytet Wirginii, jednak przypadek Georgetown wyróżnia fakt, że sprzedawcami byli duchowni katoliccy, co już wtedy wywołało kontrowersje, także w samym Towarzystwie Jezusowym. Historycy dotarli do korespondencji ówczesnego generała zakonu Jana Roothaana SJ, który podkreślał, że „lepiej by było przecierpieć problemy finansowe, niźli utracić dusze sprzedanych niewolników". Towarzystwo prowadziło wśród nich duszpasterstwo, ↦

↦ jezuiccy księża chrzcili dzieci niewolników i błogosławili małżeństwa.

Co gorsza, jezuici zdawali sobie sprawę z tego, że nowi właściciele będą obchodzić się z zakupionymi niewolnikami brutalnie, ale nie powstrzymało ich to przed sprzedażą. Mulledy zapewnił wprawdzie przełożonych, zatroskanych o życie wieczne niewolników, że dopilnuje, aby sprzedani nadal mogli praktykować wiarę, a ich rodziny pozostaną nierozdzielone, pieniądze uzyskane ze sprzedaży nie będą zaś wykorzystane do spłacania długów – lecz z czasem okazało się, że żadna z obietnic rektora Georgetown nie została spełniona.

„Uniwersytet zawdzięcza swoje istnienie tej transakcji" – twierdzi w rozmowie z „New York Timesem" Adam Rothman, historyk z Georgetown i założyciel grupy skupionej na badaniu związków niewolnictwa i uniwersytetu. Grupa powstała w 2015 r. na fali studenckich protestów, których uczestnicy domagali się usunięcia nazwisk Mulledy'ego i McSherry'ego z budynków uniwersyteckich. Władze uczelni w 2017 r. przemianowały nazwy obiektów, ale to nie jedyny sukces nagłośnienia bolesnych korzeni uniwersytetu. Wieści dotarły do Richarda J. Celliniego, absolwenta Georgetown, który zainspirowany aktywnością studentów, zdecydował się powołać Georgetown Memory Project, zrzeszający genealogów projekt naukowy, którego zadanie polegało na prześledzeniu losów potomków sprzedanych niewolników. „Nie mówimy o bezimiennej grupie ludzi pozbawionych twarzy. To realne osoby, z imionami i potomkami" – podkreślał Cellini.

Badania okazały się spektakularnym sukcesem. Historycy przeanalizowali dokumenty pokładowe, inwentarze plantacji (niewolnicy byli wprowadzani w tabele dobytku obok trzody i ruchomości) czy ogłoszenia prasowe, w których właściciele plantacji „reklamowali" swój „towar" do dalszej sprzedaży. Dlatego choć nie zachowały się żadne zdjęcia Corneliusa Hawkinsa, który w 1838 r. został przemocą wciągnięty na pokład trzymasztowca „Katherine Jackson", to wiemy, że miał wtedy około 13 lat i niecałe 150 cm wzrostu. Trafił na plantację Maringouin, gdzie przymusowo pracował przez długie lata, skoro ponownie pojawia się w spisie powszechnym z 1870 r. – jest już ojcem, mężem, robotnikiem i wreszcie wolnym człowiekiem. Wiemy też, że nadal był związany z Kościołem, bo dokumentację uzupełniły wpisy z ksiąg parafialnych, zawierające świadectwo ślubu, a także chrztów dzieci i wnuków Corneliusa.

Kościelne zapisy doprowadziły do 69-letniej Maxine Crump z Baton Rouge, praprawnuczki „Neely'ego" Hawkinsa, z którą skontaktowali się przedstawiciele grupy Celliniego. Badacze potwierdzili jej powiązanie z nastolatkiem sprzedanym w niewolę przez jezuitów w 1838 r., a to nie jedyna taka historia, bo dzięki analizie archiwów genealogom udało się zrekonstruować losy ponad 200 niewolników, dzięki nim zaś – trafić do ok. dziesięciu tysięcy potomków.

Głębokie rany

Jednym z nich jest wspomniany Joseph Stewart. W rozmowie z „New York Timesem" mężczyzna podkreśla, że zrozumienie tego, co Kościół katolicki uczynił jego przodkom, nie było proste, dlatego zaczął szukać sposobów na wyegzekwowanie sprawiedliwości od jezuitów. W maju 2017 r. Stewart napisał list do kurii generalnej Towarzystwa Jezusowego i zaproponował otwarcie negocjacji. Szybko doczekał się odpowiedzi ze strony generała Artura Sosy SJ, który w liście przeprosił za winy z przeszłości, określając je jako „grzech przeciwko Bogu i zdradę ludzkiej godności przodków", a następnie skierował sprawę na amerykański grunt. Jeszcze w sierpniu 2017 r. przełożony amerykańskich jezuitów Timothy Kesicki poleciał do Michigan, by spotkać się ze Stewartem i jego rodziną oraz rozpocząć rozmowy na temat drogi pojednania, które zaowocowały powstaniem fundacji.

Krzywdy, które pragną naprawić przedstawiciele dzieła, są głębokie, co widać w nieufności obecnej u niektórych z przedstawicieli potomków jezuickich niewolników. Sandra G. Thomas z GU272 przyznaje w rozmowie z „New York Timesem", że choć 100 mln to więcej, niż ktokolwiek mógłby się spodziewać, to jednak pozyskane fundusze muszą zostać w pierwszej kolejności przeznaczone na rzecz potomków, aby zachować jakąkolwiek wiarygodność dzieła. Na wagę przejrzystości finansowej zwraca także uwagę Cellini. „Dopóki nie poznamy wielkości majątku odebranego tym rodzinom, nie możemy ocenić stosowności zaprezentowanego remedium" – ocenia założyciel Georgetown Memory Project.

Pozostaje ufać w dobrą wolę stron zaangażowanych w Descendants Truth & Reconciliation Foundation, którzy podkreślają, że nigdy wcześniej nie powstało takie partnerstwo między potomkami niewolników a spadkobiercami handlarzy. „Pragniemy zdemontować pozostałości niewolnictwa w Ameryce i uśmierzać rany zadane przez rasizm" – podkreślają w komunikacie prasowym przedstawiciele inicjatywy. „Nasze partnerstwo będzie wspierać stworzenie nowej, trwałej rzeczywistości miłości i sprawiedliwości dla wszystkich członków ludzkości".

© KAROL KLECZKA

POŻEGNANIE

Z bólem zawiadamiamy, że 7 kwietnia 2021 roku
po długotrwałej chorobie zmarła w wieku 46 lat

Ś.† P.

Maśka (Maria) Skąpska

z domu Bożyk

Ukochana Żona, Córka, Siostra, Ciocia.
Reżyserka filmowa i serialowa, romanistka,
absolwentka Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Panie, racz przyjąć Jej duszę do Swej Światłości.

Rodzina

ZUZANNA

Radzik: *Charyzmat niedowierzania*

– Może chcesz przyjść na szabat? – zaproponował. Nie wiedziałam, czy mogę. To znaczy nie wiedziałam, czy jako chrześcijanka mogę. W końcu jeszcze mojego tatę uczyli na katechezie, że chodzenie do cerkwi to grzech. A tu do synagogi? No to mówię, że nie wiem, czy mogę. Na co on, niewiele ode mnie starszy i świeżo przywrócony żydowskiej tożsamości i religii chłopak, mówi: „Wasz papież powiedział, że jesteśmy waszymi starszymi braćmi, więc chyba możesz". Przypomina mi się ta moja pierwsza wizyta przy okazji rocznicy pierwszej papieskiej wizyty w synagodze.

Nie miałam zbyt wielkiego pojęcia, co mówił w tej sprawie papież, wyszukiwarki internetowej człowiek nie miał wtedy w kieszeni. Ba, w domu nie miał internetu, więc sprawdzenie, co papież w sprawie Żydów myśli, wymagało więcej zachodu. Ale uwierzyłam w to, co mówił nowy kolega. Uwierzyłam też, niestety, gdy powiedział, że ubrana mam przyjść w długą czarną spódnicę. Skąd licealistka miałaby wziąć długą czarną spódnicę? Do synagogi na ten szabat zabrałam pięć licealnych przyjaciółek. Gdy przebierałyśmy się w szkolnej łazience, okazało się, że Nina ma spódnicę do ziemi, ale brązową. Czy nas wpuszczą? – drżałyśmy nieco. Oczywiście pośród kobiet na babińcu warszawskiej synagogi Nożyków w powłóczystych ciemnych spódnicach byłyśmy tylko my. Nadgorliwość młodego ortodoksa. Nie rozumiałyśmy nic, ale potem wracałam tam wiele razy słuchać, obserwować, być. Następnie lądowałam na kolacji, na którą zgarniano chyba wtedy każdego, kto się pojawił w synagodze. Trochę rozumiałam, co się dzieje, czasem dopytywałam, najczęściej próbowałam się domyślić. To zaproszenie i to, jak zostało sformułowane, były jednak początkiem wielkiej przygody z dialogiem chrześcijańsko-żydowskim.

Z tego zaś, co Jan Paweł II powiedział o Żydach, zrobiłam sobie wtedy wypiski i notatki, wydrukowałam i wykułam na pamięć. Rzeczywistość dawała dużo okazji do polemik i używania cytatów z papieża Polaka do odpierania antysemityzmu.

Pozostawało tylko pytanie, kto jest bardziej reprezentatywny dla polskiego katolicyzmu: odległy papież czy antysemicka księgarnia w podziemiach kościoła? Ładny i przełomowy dokument watykańskiej komisji czy antysemickie odzywki księży i biskupów? Pytanie, które nie zmienia swojej wagi, mimo że już jesteśmy dwadzieścia lat i dwóch papieży później. Chyba w tych sprawach dano mi charyzmat głębokiego niedowierzania, czy te sprawy są naprawdę zadbane czy przesłonięte fasadą obchodów, zgrabnych przemówień i oświadczeń. W końcu nie jest tak, że można w 1965 r. w wyniku Soboru postawić nauczanie Kościoła o Żydach na głowie (a tak było) i niewiele tłumacząc żyć dalej, jakby już było dobrze. Bo dziewiętnaście wieków nawyków w teologii ma to do siebie, że przywraca rzeczy tak, jak wcześniej stały. Papież w synagodze – super sprawa. I kolejnych dwóch odwiedzających je – również. A nawet więcej, bo papież Franciszek jako biskup Buenos Aires zwyczajnie przyjaźnił się i współpracował z tamtejszym rabinem, i to jest rzeczywisty znak zmiany czasów. Więc wszystko ładnie, ale czy synagogę odwiedza alumn seminarium? A czy studiuje Ewangelie, jakby były tekstami młodej, formującej się w łonie różnorodnego judaizmu tego czasu wspólnoty, tekstami zanurzonymi w wewnętrznym żydowskim sporze religijnym? Czy rozumie, jak wieki chrześcijańskiego religijnego antysemityzmu wpłynęły na los Żydów w Europie? Zastanawiam się też, czy ktoś sprawdza, co alumni wiedzą o Zagładzie, i czy uczy się ich tego, co wiedzieć powinni? No i ta paląca lekcja o tym, że gdy chrześcijanie systemowo i teologicznie kimś pogardzają, może się to skończyć tragedią...

Mnożę pytania z rezygnacją. O wszystkie te rzeczy, które od lat mogłyby się dziać, tylko się nie dzieją, bo kompletnie brak woli, bo brak przekonania, bo jednak wciąż antysemityzm...

W Polsce dochodzi bariera dodatkowa: to, że Żydzi, ich historia i Zagłada są ciągle w centrum polityki historycznej, na której godnościowe podmuchy katolicy wcale nie są odporni. Więcej: toruńska stacja nadawcza wyposażona w kaplicę ratujących, a wkrótce i muzeum, ma w tej branży pewne zasługi. I jak potem padać sobie w ramiona, gdy najpierw dzieli upolityczniana pamięć?

Nie mam obrazków ani zdjęć z papieżem JPII – tylko te dwa, powkładane w Biblie czy książki, wypadają od czasu do czasu. Dwa stare zdjęcia, jedno sprzed 21, a drugie 35 lat. Jan Paweł II w ciepłym uścisku Elio Toaffa, naczelnego rabina Rzymu. I ten przed Ścianą Płaczu, w którą wkładał kwitlech z rachunkiem sumienia. Stopklatki, jakie zostały po epokowych gestach. Ale czy to gesty zmieniają rzeczywistość, czy jednak konkretna praca nad rugowaniem złej teologii z naszych odruchów w lekturze i w myśleniu? ©

KLUB TP Twórz / rozwijaj się / poznawaj ludzi. Dołącz do nas na **klubtygodnika.pl/wydarzenia**

TYGODNIK POWSZECHNY

Suwerenni

Paweł Bravo, Joanna Mazur-Polańska, Anna Dziurdzikowska, Bartek Dobroch, Jacek Ślusarczyk, Edward Augustyn, Iwona Kuciel, Katarzyna Kubisiowska

Monika Ochędowska, Łukasz Lamża, Marcin Żyła, Agnieszka Iskra, Marta Filipiuk-Michniewicz, Artur Strzelecki, ks. Adam Boniecki, Grzegorz Jankowicz, Edyta Płachta

Tomasz Fiałkowski, Agnieszka Grzywa, Grażyna Makara, Patryk Stanik, Zuzanna Radzik, Karolina Przewrocka-Aderet, ks. Jacek Prusak, Michał Kuźmiński, Maciej Müller

1%

W 2020 r. przekazali nam Państwo rekordowe **309 938,71 zł** w ramach odpisu jednego procenta podatku.

Dziękujemy!

To bardzo ważne wsparcie, które pozwala nam realizować misję naszej Fundacji. Jej filarami są m.in. budowa społeczeństwa obywatelskiego i ochrona wolności słowa oraz wolnych mediów.

Niezależność

jest kluczowym pojęciem towarzyszącym nam w codziennej pracy. Dzięki otrzymanym od Państwa środkom mamy możliwość rozwijania współpracy z instytucjami i ubiegania się o darowizny, dotacje i granty na tworzenie pisma ciekawego, nieoczywistego, suwerennego, wzbogaconego o wydania specjalne, o dodatki naukowe (jak cykl „Wielkie Pytania"), kulturalne, historyczne i poświęcone demokracji czy solidarności.

Wdzięczność

wyrażamy za zaufanie, za Państwa ofiarność, a także za potwierdzenie, że „Tygodnik" jako pismo co tydzień goszczące w Państwa domach i jako instytucja kultury zapraszająca Państwa do udziału w wydarzeniach kulturalnych jest potrzebny, bliski, ważny i że spełnia Państwa oczekiwania.

Wyzwanie

Początek roku 2021 postawił przed nami kolejne, nieoczekiwane wyzwania. Redakcja „Tygodnika" po ponad 75 latachopuszcza swój dotychczasowy adres – Wiślną 12. To dzięki wsparciu z Państwa strony szybko znaleźliśmy nowy lokal,

OGŁOSZENIE OPP // FOT. GRAŻYNA MAKARA / POSTPRODUKCJA EDWARD AUGUSTYN

dzięki Wam!

Ewelina Burda, Michał Okoński, Sylwia Frołow, Przemysław Wilczyński, Grzegorz Bogdał, Piotr Sikora, Anna Goc, Wojciech Pięciak, Wojciech Jagielski, Aleksander Kardyś

Kalina Błażejowska, Andrzej Leśniak, Anna Karolewska, Mateusz Gawron, Gabriela Rosińska, Marek Rabij, Anita Piotrowska

Artur Sporniak, Rafał Woś, Anna Pietrzykowska, Marta Bogucka, Piotr Mucharski, Maciej Szklarczyk, Maja Kuczmińska, Łukasz Kwiatek, Marek Zalejski

który obecnie dostosowujemy do naszych potrzeb i wyposażamy, i który już wkrótce pozwoli nam na realizowanie nowych wyzwań z myślą o Was, naszych czytelnikach. Ale przeprowadzka to nie jedyne wyzwanie, jakie postawił przed nami nowy rok. Przede wszystkim będziemy zajmować się tym, co jest podstawową misją Fundacji.

Plany

W nadchodzącym roku jeszcze bardziej chcemy skupić się na ochronie i zabezpieczaniu dziedzictwa „Tygodnika Powszechnego" – poprzez cyfryzację archiwów oraz powstanie nowej strony internetowej. Dzięki nim będą mogli Państwo czerpać ze stale powiększającego się zbioru tekstów, które przez lata ukazały się na łamach „Tygodnika Powszechnego". Czekają nas festiwale – Conrad i Copernicus. Rozwijamy nasz autorski ogólnopolski projekt wspierania czytelnictwa, czyli „Lekcje czytania". Podjęliśmy też kolejną produkcję filmową – „Ukos światła" w reż. Wojciecha Szumowskiego.

Misję

realizujemy również przez tematyczne dodatki do naszego pisma, współwydawanie wydań specjalnych „TP", współprodukcję Podkastu Powszechnego, a także różnych innych multimedialnych form publicystyki.

Najważniejszy

jednak dla nas jest „Tygodnik", pismo, które dzięki Państwu co roku zwiększa swój zasięg. To Wy – nasi Czytelnicy – dajecie nam niesłabnące wsparcie oraz pokazujecie, że warto. „Tygodnik" jest suwerenny dzięki Wam.

Zespół Fundacji Tygodnika Powszechnego oraz „Tygodnika Powszechnego"

Przekaż 1% podatku na działalność Fundacji Tygodnika Powszechnego, która dba o dziedzictwo i rozwój „Tygodnika Powszechnego".

Wpisz w zeznaniu podatkowym

nr KRS 0000125605

Więcej informacji:
powszech.net/jedenprocent
Zachęcamy także do bezpośrednich wpłat na rzecz Fundacji:

Santander Bank Polska S.A.
31 1910 1048 2006 1845 1121 0001

Więcej informacji (przelewy w dolarach i euro, IBAN): powszech.net/dar

---

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

1%

ZIARNO MIŁOŚCI

Jak nazwać to, co władze Chin robią z muzułmanami z prowincji Sinciang? Czy to już ludobójstwo?

PIOTR BERNARDYN Z TOKIO

Chiński przywódca Xi Jinping z pewnością zapamiętał swoją pierwszą prezydencką wizytę w Sinciangu – najbardziej na zachód wysuniętej prowincji kraju.

30 kwietnia 2014 r., ostatniego dnia jego pobytu, na dworcu w Urumczi, stolicy regionu, dwoje zamachowców zdetonowało ładunki wybuchowe i rzuciło się z nożami na pasażerów. Zginęły trzy osoby, w tym sprawcy, a 79 ludzi zostało rannych.

Władze chińskie określiły to jako akt islamskiego terroryzmu, za którym miało stać pragnienie oderwania Sinciangu od Chin. Fakt, że doszło do tego podczas wizyty najważniejszej osoby w kraju, gdy służby bezpieczeństwa postawione są na nogi, mógł świadczyć o desperacji sprawców i pragnieniu zwrócenia na siebie uwagi.

MA KAI / XINHUA / AFP / EAST NEWS

Od kilku lat Sinciang jest niedostępny dla obcych. Władze organizują tylko propagandowe wycieczki do miejsc, które chcą pokazać. Można wtedy spotkać Ujgurów, którzy recytują, jak wdzięczni są partii komunistycznej za opiekę.
Na zdjęciu: dziennikarze z Chin i zagranicy wizytują tzw. ośrodek reedukacyjny dla Ujgurek. Prefektura Hotan w prowincji Sinciang, 2019 r.

Walka

Nie był to wówczas jedyny incydent tego typu. Dwa miesiące wcześniej na dworcu w Kunming, przy granicy z Wietnamem, zasztyletowanych zostało 31 osób; sprawcy mieli ze sobą flagę Turkiestanu Wschodniego (jak swoje terytorium nazywa autochtoniczna ludność prowincji). Już po wyjeździe Xi Jinpinga z Sinciangu, w odstępie kilku tygodni, doszło tam do kolejnych dwóch ataków.

Z dokumentów, które wyciekły pięć lat później, wynika, że już podczas tamtej wizyty, a także zaraz potem, naradzając się ze współpracownikami w Pekinie, Xi Jinping zapowiedział walkę „absolutnie bez litości" z ekstremistami. Uprzedzając zaś spodziewane reakcje zagranicy, uspokajał, by nie przejmować się „skamleniem" obcych na temat Sinciangu.

Dziś wiemy już, jaką formę przybrała ta walka. Co najmniej milion osób zamknięto we współczesnych gułagach, gdzie poddawane są „reedukacji" i przymusowej pracy. Represje – zarówno przy pomocy metod tradycyjnych, jak też najbardziej nowoczesnych – dotknęły jednak całą islamską ludność Sinciangu. Zdecydowana większość z nich to Ujgurzy, którzy stanowią nieco ponad połowę 25-milionowej prowincji (drugą najliczniejszą społecznością w prowincji są Chińczycy Han, dominująca grupa etniczna w ChRL).

Jak nazwać to, co dzieje się dziś w Sinciangu? W uzasadnieniu sankcji wobec notabli i towarów z tej prowincji, wprowadzonych w marcu tego roku przez Unię Europejską, USA i Kanadę, pada słowo „ludobójstwo" (ang. *genocide*). W użyciu jest też termin „kulturowe ludobójstwo" – wobec faktu, że (przynajmniej na razie) nie dochodzi tam do masowych mordów. Z pewnością można bowiem mówić tu o projekcie z gatunku inżynierii społecznej, którego celem jest zniszczenie kulturowej tożsamości kilkunastu milionów ludzi.

Prowincja

Kim są Ujgurzy? Wywodzą się z ludów tureckich, kulturowo i etnicznie najbliżej im do narodów Azji Centralnej. Różnią się więc znacznie od Hanów, którzy stanowią 90 proc. populacji chińskiego państwa: inaczej wyglądają, mają własny język, pismo i odrębne obyczaje, naznaczone przez islam. Ich kulturowe więzi z centrum są zatem dużo luźniejsze niż mieszkańców Tajwanu czy Hongkongu, gdzie większość ludności wywodzi się z Hanów.

Sinciang staje się chińską prowincją w 1884 r., po wcześniejszym podbiciu tego terytorium przez cesarzy z dynastii Qing. Od 1949 r. jest częścią Chińskiej Republiki Ludowej, a siedem lat później otrzymuje status Regionu Autonomicznego Sinciang-Ujgur.

Rozbudzenie narodowej świadomości Ujgurów zbiega się z upadkiem cesarstwa chińskiego na początku XX w. Dwukrotnie, w latach 30. i 40. ubiegłego wieku, udaje im się nawet stworzyć quasi-państwo: Republikę Turkiestanu Wschodniego. Chiny szybko odzyskują utracone terytorium, lecz epizody niepodległościowe będą potem kultywowane przez ujgurskich separatystów.

Poza okresem tzw. rewolucji kulturalnej Mao Tse-tunga w latach 1966-76, kiedy tradycja i religia są atakowane w całym kraju, do lat 90. XX w. Ujgurzy cieszą się względnymi swobodami, mając jednak zawsze podrzędny status wobec Hanów. Dobra jest dla nich zwłaszcza dekada lat 80.: islam praktykowany jest bez przeszkód, miejscowe dzieci dostają się do szkół na preferencyjnych warunkach, wraca pismo będące odmianą arabskiego, władze przymykają oko na wielodzietność Ujgurek.

Ten czas się kończy, gdy także do bram Sinciangu puka wielka polityka.

Asymilacja

Otwarcie Chin na świat w erze Deng Xiaopinga (przywódcy ChRL w latach 1978-89) oznacza też potrzebę większej konsolidacji kraju. Pekin boi się dezintegracji państwa i ma obsesję na punkcie mieszania się obcych w chińskie sprawy. Do tego rozsypuje się Związek Sowiecki – tuż za granicami Sinciangu pojawiają się kraje kulturowo bliskie Ujgurom, którym również może zamarzyć się niepodległość.

Odtąd nasila się asymilacja ludności islamskiej, przybierająca także formę represji. Rodzi to opór Ujgurów; część z nich – mniejszość – zaczyna się radykalizować. W kwietniu 1990 r. wybuchają zamieszki w miejscowości Baren. Wedle chińskich źródeł ekstremiści próbowali wywołać powstanie. Druga strona twierdzi, że powodem starć była wymuszona aborcja na 250 Ujgurkach i – jako przyczyna pośrednia – ciągły napływ nowych osadników, Hanów, do Sinciangu.

Spirala przemocy się rozkręca. Jeszcze w latach 90. władze ograniczają budowę meczetów i edukację religijną; imamowie muszą wykazać się lojalnością wobec partii komunistycznej. Wtedy jednak narzędziem asymilacji wciąż jeszcze ma być ↦

↦ rozwój gospodarczy regionu: wydobycie surowców, a dwie dekady później Nowy Jedwabny Szlak, który biegnie przez Sinciang. Tyle że korzysta na tym głównie zdominowana przez Hanów północ prowincji, a także część autochtonicznych elit współpracujących z reżimem. Przeciętnym Ujgurom, nawet wykształconym, trudno się przebić, mają więc powody do frustracji.

Łatka

Na początku XXI w. wielka polityka daje o sobie znać raz jeszcze.

Po ataku na World Trade Center z 11 września 2001 r. Stany Zjednoczone wypowiadają globalną wojnę terroryzmowi i szukają sojuszników. Chiny godzą się poprzeć inwazję na Irak pod warunkiem, że na międzynarodowej liście organizacji terrorystycznych znajdzie się Ruch Islamistyczny Turkiestanu Wschodniego (ETIM). Przekonują, że jest on częścią siatki terrorystycznej powiązanej z Al-Kaidą, bierze więc udział w dżihadzie przeciw Zachodowi.

Było to mocno naciągane: organizacja miała mglistą strukturę, a co najważniejsze – ujgurscy ekstremiści walczyli przede wszystkim z państwem chińskim. Walczyli o niepodległość bądź też reagując na represje. W ten sposób Ujgurzy stają się jednak pionkiem w grze mocarstw: Pekinowi udaje się przylepić im na długie lata łatkę terrorystów. Pod koniec 2020 r. Amerykanie skreślą wprawdzie ETIM z listy organizacji terrorystycznych, ale szkody zostały już wyrządzone.

Wtedy, trzy miesiące po ataku Al-Kaidy na USA, zaostrzeniu ulega chiński kodeks karny wobec działań mających grozić bezpieczeństwu publicznemu. Mnożą się aresztowania pod zarzutem terroryzmu, zamyka się meczety o „złym wpływie" społecznym, ramadan podlega ograniczeniom, duchowni islamscy muszą studiować myśl komunistyczną, a w edukacji dominować zaczyna język chiński. Zmiany widać też w krajobrazie miast. Nowe budynki wypierają tradycyjną, często religijną architekturę. Półmilionowe miasto Kaszgar, jeden z głównych ośrodków Sinciangu, zostaje wręcz pozbawione starego centrum.

Przemoc

Teraz asymilacja polegać będzie na wysyłaniu Ujgurów do pracy w głąb Chin. Ujgurki poczują zaś presję, by wiązać się z Hanami, którym z kolei zachwala się „egzotyczną urodę i opiekuńczość" miejscowych kobiet. Murale w Urumczi prezentują ubrane na kolorowo Ujgurki depczące ciemne stroje, które właśnie zrzuciły. Odmowa zamążpójścia stanowić może dowód ekstremistycznych poglądów, także u rodziców dziewczyny. Za to dzieci z mieszanych związków mają dodatkowe punkty przy wyborze szkoły.

Dopiero na takim tle postrzegać należy przemoc, w tym również akty o charakterze terrorystycznym, których dopuszcza się zradykalizowany margines autochtonicznej społeczności Sinciangu.

W 2008 r. głośno jest o kobiecie, która wsiada do samolotu z kanistrem benzyny. Pięć lat później samochód z ujgurską rodziną taranuje przechodniów na placu Tiananmen. Najbardziej krwawe jak dotąd zajścia mają miejsce latem 2009 r., gdy na południu Chin Hanowie linczują, po awanturze, dwóch ujgurskich robotników. Na wieść o tym w Urumczi wybuchają zamieszki: w odwecie ginie kilkuset Hanów. Wzbudza to panikę wśród Chińczyków, podsycaną oficjalnym przekazem o islamskim terroryzmie. Kultura Ujgurów postrzegana jest odtąd powszechnie jako archaiczna i przesiąknięta fanatyzmem, co otwiera drogę do dalszych represji.

System

Wkrótce potem w Urumczi zainstalowane zostają tysiące kamer. Uznać to można za preludium do programu powszechnej inwigilacji ludności, który nabierze tempa już pod rządami Xi Jinpinga. Wtedy to, pod pretekstem badań lekarskich, od niemal wszystkich mieszkańców prowincji pobierane są próbki DNA, odciski palców, zapis głosu i profil twarzy. Utworzona baza danych i gęsta sieć kamer umożliwią władzom natychmiastową identyfikację dowolnej osoby i jej ocenę pod kątem zagrożenia. Kontroli sprzyja też śledzenie ruchu telefonów komórkowych mieszkańców i tysiące automatycznych bramek, zwalniających się po zbliżeniu karty identyfikacyjnej. Na wielu domach w Sinciangu pojawią się też kody kreskowe – uzyskanie informacji o ich lokatorach stanie się teraz dla policjanta czy urzędnika kwestią sekund.

Podstawą prawną do tego, co nazwane zostanie „kulturowym ludobójstwem", jest ustawa antyterrorystyczna z 2015 r. Jej zapisy są sformułowane tak szeroko, że o ekstremizm czy terroryzm można posądzić każdego. Np. jeden z artykułów mówi o zakazie noszenia ubrań i ozdób, które „wzbudzają religijny fanatyzm".

EDWARD AUGUSTYN / TP-ONLINE

THOMAS PETER / REUTERS / FORUM

Wieża strażnicza i mur wokół tzw. ośrodka reedukacyjnego w miasteczku Dabancheng. Liczbę takich miejsc w prowincji Sinciang szacuje się na około czterysta; to w Dabanchengu uchodzi za jedno z większych. Wrzesień 2018 r.

Może być tym tradycyjny strój ujgurski, a „ozdobą" męska broda.

Najważniejszą treść niesie jednak zapis, gdzie padają takie słowa jak: „edukacyjna transformacja", „psychologiczne poradnictwo", „korekta zachowania" czy „opieka humanistyczna". W ten sposób formalne przyzwolenie na działalność dostają obozy.

Pozostaje tylko znaleźć człowieka, który podejmie się kierowania tą robotą. Okaże się nim Chen Quanguo, dotąd sekretarz partii komunistycznej w Tybecie. Chen, którego córka kończyła szkołę w Anglii, lubi bon moty. Np. taki: „Łapcie każdego, który ma być złapany".

Cienie

„Zmuszono nas do wyrzeczenia się tego, kim jesteśmy, do naplucia na naszą tradycję, naszą wiarę, do krytykowania języka, którym się posługujemy, do obrażania naszych rodaków. Kobiety, jak ja, które wyłaniają się z obozów, nie są już tym, kim były. Jesteśmy cieniami samych siebie, nasze dusze są martwe. (...) Byłam gotowa uwierzyć, że moi najbliżsi, mój mąż i córka są terrorystami" – to słowa Gulbahar Haitiwaji, Ujgurki, która spędziła dwa lata w obozie (w tym czasie przez 20 dni, w ramach dodatkowej kary, była przywiązana do łóżka).

W styczniu 2021 r. ukazała się we Francji książka, w której Gulbahar Haitiwaji opowiada o swoich przeżyciach. Czym zawiniła? Zapewne tym, że jest emigrantką (na Zachodzie żyje ujgurska diaspora). Do Sinciangu została zwabiona pod pretekstem wyjaśnienia formalności emerytalnych. Na miejscu pokazano jej zdjęcia z paryskiej demonstracji w obronie Ujgurów, w której uczestniczyli jej mąż i mała córka, z niebieską flagą Turkiestanu Wschodniego. A potem tak nagle, jak ją zatrzymano, tak samo z dnia na dzień została zwolniona. Typowa historia.

Wieści o obozach – jak ten, w którym przebywała Gulbahar Haitiwaji – pojawiały się stopniowo. Od kilku lat Sinciang jest niedostępny dla obcych. Władze organizują tylko propagandowe wycieczki do miejsc, które chcą pokazać. Można wtedy spotkać Ujgurów, którzy recytują, jak wdzięczni są partii komunistycznej za opiekę.

Informacje o rzeczywistej sytuacji w prowincji pochodzą zatem głównie ze zdjęć satelitarnych i od osób, które przeszły więzienie i wydostały się za granicę, bądź też z relacji ich rodzin. Wielu boi się jednak mówić, by nie zaszkodzić bliskim, którzy zostali w Chinach. Służby ChRL potrafią utrudniać życie swoim byłym ofiarom także za granicą.

Obozy

Co dziś wiadomo o gułagu w Sinciangu?

Wiemy, że od 2017 r. na terenie prowincji pojawiają się, jeden za drugim, ogrodzone zespoły budynków, w których zamyka się ludzi. Liczbę takich kompleksów szacuje się na około czterysta. Dla przykładu jeden z nich, oddany do użytku w styczniu 2020 r. niedaleko Kaszgaru, zajmuje 24 hektary, jest ogrodzony 14-metrowym murem i może pomieścić 10 tys. więźniów.

Niemiecki naukowiec Adrian Zenz, który zrobił najwięcej dla nagłośnienia sytuacji w Sinciangu, mówił z początku, że łącznie uwięziono od 100 tys. do miliona osób; potem zwiększał szacunki do blisko dwóch milionów. Gdyby przyjąć liczbę półtora miliona, oznaczałoby to, że w obozach przebywa co szósty dorosły Ujgur.

Miejsca te różnią się stopniem panującego w nich rygoru; przy niektórych powstały też zakłady produkcyjne. Z relacji świadków wyłania się jednak dość spójny obraz życia w takim obozie. Uwięzieni poddawani są procesowi „reedukacji", w dokumentach z 2014 r. nazwanym też obrazowo „przekablowaniem" sposobu myślenia.

Dzień zaczyna się od śpiewania chińskich pieśni patriotycznych i pozdrowień dla ojczyzny, partii i przywódcy. Potem następują wielogodzinne wykłady, dzielące się z grubsza na dwa bloki: nauka chińskiego i wiedza o społeczeństwie. Reedukowani słuchają o sukcesach partii komunistycznej, o jej wkładzie w rozwój Sinciangu i o tym, jak przestarzałą formę życia propaguje islam. Bez końca powtarzać trzeba formułki w rodzaju: „Pragnę, by wszystkie grupy etniczne stworzyły jeden chiński naród". Regularnie odbywają się też, ustne albo pisemne, sesje samokrytyki. Odmowa ekspiacji, również na temat własnej rodziny, kończy się dodatkową karą, np. „tygrysim krzesłem", które blokuje ruch kończyn.

Wiele kobiet mówi o konieczności przyjmowania leków wstrzymujących cykl menstruacyjny; część twierdzi, że były gwałcone. Nie wiadomo, czy to element planowej „reedukacji", czy samowola personelu obozów (służby bezpieczeństwa musiały w krótkim czasie rekrutować dziesiątki tysięcy nowych strażników).

Po zwolnieniu z obozu część Ujgurów dostaje skierowanie do pracy z internatem, część odzyskuje wolność, ale niektórzy kończą za kratami w regularnym więzieniu. Tam też od razu skierowano ↦

↦ znaczną część ujgurskiej elity, która najwyraźniej nie rokowała szans na „reedukację".

Przewinienia

W pierwszych dwóch latach zwykłych ludzi wysyłano do obozów najczęściej za kontakty zagraniczne (wystarczy rozmowa z obcokrajowcem albo wakacje w Turcji), udostępnienie złej strony w internecie, wyjęcie karty sim z telefonu (rzecz podejrzana), niewłaściwy element ubioru czy jedzenia, nielegalną naukę ujgurskiego czy nadanie dziecku arabskiego imienia.

Skąd władze czerpią wiedzę o życiu prywatnym ludzi? W miastach, obok nowoczesnego systemu inwigilacji, wymierne korzyści przynosi donoszenie. Z kolei na wsiach stosuje się bardziej tradycyjne formy kontroli. Ponad milion kadrowych działaczy partyjnych przydzielono do poszczególnych rodzin w roli „krewnych". Regularnie składają oni kilkudniowe wizyty, przynoszą dzieciom prezenty, zachęcają do śpiewania partyjnych pieśni, sugerują zmianę stylu życia na „nowoczesny". I obserwują domowników.

Sinciang jest zapewne jedynym miejscem na świecie, gdzie sama wstrzemięźliwość od alkoholu czy wieprzowiny – będąca nakazem islamu – może być interpretowana jako oznaka ekstremistycznych poglądów. Na „reedukację" trafiają wtedy wszyscy dorośli członkowie rodziny. Tłumaczy to gwałtowny wzrost liczby sierocińców, przedszkoli i szkół z internatem, gdzie najmłodsze pokolenie otrzymuje sprofilowaną wiedzę i wychowanie.

W styczniu 2021 r. Twitter skasował konto chińskiej ambasady w Waszyngtonie za wpis: „Ujgurki nie są już maszynami do rodzenia dzieci". W ten sposób przedstawicielstwo Pekinu odniosło się do kolejnych odkryć Adriana Zenza. Po przestudiowaniu oficjalnych statystyk z Sinciangu zauważył on znaczny spadek dzietności kobiet w dwóch największych prefekturach.

Zdaniem chińskich władz to efekt emancypacji Ujgurek, które realizują się teraz inaczej niż poprzez rodzenie wielu dzieci. Zenz twierdzi jednak, że kobiety należące do mniejszości etnicznych w tej prowincji poddawane są przymusowej sterylizacji lub – wykonywanej operacyjnie – antykoncepcji. Dotyczy to zwłaszcza matek z liczbą dzieci ponad limit. Ale, co podkreśla Zenz, nie tylko ich. Z kolei odmowa usunięcia dodatkowej ciąży kończy się wysłaniem do obozu. „Jest prawdopodobne, że władze Sinciangu prowadzą masową sterylizację kobiet z trojgiem i więcej dzieci" – konkluduje raport Zenza.

Zaprzeczenia

Władze Chin negowały z początku istnienie obozów. Przyciśnięte dowodami potwierdziły, że takie instytucje istnieją, ale argumentowały, że jedynie w celu resocjalizacji ekstremistycznych jednostek, które w efekcie są potem za to wdzięczne.

Pod koniec 2019 r. Pekin oznajmił nawet, że wszyscy „uczniowie" skończyli już swoje programy reedukacyjne i wrócili do społeczeństwa. Na dowód wybrani dziennikarze z zagranicy mogli odwiedzić kilka opustoszałych budynków.

Zdjęcia pokazują jednak, że nowe placówki – i to o zaostrzonym nadzorze – są wciąż w budowie. Nawet jeśli zamkniętych w nich ludzi jest dziś mniej niż dwa lata temu, to przecież ci, którzy wrócili do domów, też nie mogą czuć się swobodnie.

W jakimś sensie cały Sinciang jest dziś wielkim obozem odosobnienia.

Projekt

„Jesteśmy dziećmi chińskiego narodu. Poprzez swoje czyny Jezus uczy nas, jak kochać swój naród i jego kulturę. Jesteś gotowy naśladować Jezusa?" – to fragment oficjalnego podręcznika do religii dla dzieci, który pojawił się ostatnio w Hongkongu. Co to ma wspólnego z islamską grupą etniczną na peryferiach Chin? Wbrew pozorom, niemało.

Wielki projekt polityczny Xi Jinpinga zakłada przedefiniowanie pojęcia chińskości: zlepienie ze wszystkich ludzi zamieszkujących Chiny – w tym także z mniejszości etnicznych i wyznaniowych – jednolitego narodu, który, co ważne, będzie mieć także wspólne korzenie. Wymaga to pewnej gimnastyki z historią. I tak, gazety z Sinciangu potrafią dziś pisać, że Ujgurzy nie są ludem tureckim, i że miejscowy język w istocie wywodzi się od chińskiego.

Projekt Xi Jinpinga to rzecz nowa. Wcześniej, wedle oficjalnej wykładni Pekinu, różne grupy etniczne mogły pokojowo współegzystować, aby kiedyś zrosnąć się, być może, w jedną całość. Teraz sytuacja ulega odwróceniu: Chińczycy Han, Ujgurzy, a pewnie i wszystkie inne społeczności zamieszkujące Chiny mają wywodzić się z jednego pnia. Na skutek dziejowych okoliczności podzieliły się, ale obecnie, za sprawą państwa, wracają do swej naturalnej postaci.

Taka wykładnia nadaje quasi-moralny wymiar postępowaniu władz i usprawiedliwia brutalność polityki asymilacyjnej. Rolę kluczową gra tu oczywiście edukacja, roboczo nazywana „projektem inżynierii duchowej", a w wersji bardziej romantycznej „duchowym posiewem ziarna miłości do narodu chińskiego".

Nowa filozofia znajduje też wymiar instytucjonalny. Państwowa komisja do spraw etnicznych została niedawno wyjęta ze struktur rządowych i podporządkowana partii, jej szefem zaś po raz pierwszy uczyniono Hana, a nie reprezentanta mniejszości.

Pięść

Czy oznacza to zniszczenie wszelkich wyznań religijnych w Chinach? Formalnie zapewne nie. Mają one natomiast zostać schińszczone i podporządkowane państwowej ideologii. W Hongkongu dotyczy to treści biblijnych, natomiast w Sinciangu na meczetach, które nie zostały jeszcze wyburzone, wiesza się państwową flagę i banery z hołdem dla partii oraz jej przywódcy. Podobnej presji poddawani są mieszkańcy Mongolii Wewnętrznej, Tybetu, ale też Koreańczycy, których szkoły uczące w rodzimym języku zostały niemal całkowicie zlikwidowane.

Na tle Zachodu, osłabionego dziś pandemią i podziałami wewnętrznymi, Chiny Xi Jinpinga prezentują się jak wielka zaciśnięta pięść albo taran bezwzględnie posłuszny woli swojego przywódcy. Łatwiej jednak jest skruszyć kulturę materialną niż wolę, wartości i wierzenia ludzi. Jeśli więc na chińskim monolicie pojawią się kiedyś rysy, to może również za sprawą Ujgurów – upartego ludu z zachodnich rubieży, który trzyma się swoich tradycji.

Xi Jinping nie musi dziś liczyć się ze zdaniem nikogo w swoim otoczeniu. Może posłucha jednak zmarłych: „Historia uczy, że nadmierne dławienie religii jest przeciwskuteczne, efekty okazują się odwrotne od zamierzonych".

Te słowa wygłosił w 1985 r. Xi Zhongzhun, rodzony ojciec dzisiejszego przywódcy Chin.

© PIOTR BERNARDYN

BRITTANY MURRAY / LONG BEACH PRESS-TELEGRAM / GETTY IMAGES

Szczepienia przeciwko COVID-19 na parkingu California State University, Los Angeles, 8 kwietnia 2021 r.

Bieg z przeszkodami

MARTA ZDZIEBORSKA

W USA szczepienia nabrały tempa: do połowy kwietnia w 330-milionowym kraju co najmniej jedną dawkę otrzymały 124 mln osób. Mimo to eksperci ostrzegają przed czwartą falą epidemii.

Medycy z oddziałów covidowych w Kalifornii na razie cieszą się względnym spokojem. Anita Sircar, lekarka chorób zakaźnych z Los Angeles, może kończyć pracę przed osiemnastą. David Smith, jej kolega po fachu ze szpitala Uniwersytetu Kalifornijskiego w San Diego, ostatnio pojechał na parodniowy urlop. Podekscytowany tłumaczy mi w mailu, że odwiedził w Tennessee brata, któremu urodziła się córka.

Jeszcze trzy miesiące temu, w szczytowym okresie trzeciej fali pandemii, David o takim urlopie mógł tylko marzyć. W jego szpitalu było tylu pacjentów, że niektórych lokowano w namiotach rozstawionych na parkingu. Dziś na jego oddział trafia dziennie kilka osób. W szpitalu Anity Sircar też względne pustki: na oddziale przebywa „tylko" kilkunastu chorych.

Anita: – Wolę nie myśleć, że to cisza przed burzą. Coraz częściej trafiają do nas pacjenci młodzi i niezaszczepieni. Im dawno puściły hamulce. Chodzą na imprezy, siedzą w barach. Zapominają, że mutacje nie oszczędzają ludzi w ich wieku.

Anita i David coraz bardziej nerwowo śledzą ogólnokrajowe statystyki. Wraz z luzowaniem obostrzeń i rozprzestrzenianiem się mutacji w USA znów rośnie bowiem liczba zakażeń: średnio po 70 tys. nowych dziennie. To mniej więcej tyle, ile notowano podczas drugiej fali latem 2020 r. Epidemia najszybciej rozpędza się na Środkowym Zachodzie: w Minnesocie, Illinois i Michigan. Najgorzej jest w tym ostatnim stanie: od lutego liczba zakażeń wzrosła aż siedmiokrotnie, szpitale są przepełnione. Gubernator stanu, który okrzyknięto już nowym epicentrum epidemii w USA, apeluje do rządu federalnego o jak najszybsze i największe dostawy szczepionek.

Amerykańscy eksperci są zgodni: przed uderzeniem czwartej fali Stany uchroni jedynie ostrożne luzowanie restrykcji i jeszcze szybsza akcja szczepień. W kraju, gdzie od 19 kwietnia na zaszczepienie może rejestrować się każdy dorosły, trwa walka z czasem.

Turystyka szczepionkowa

Natalia Gaik nie czekała, aż w San Francisco ruszy rejestracja dla wszystkich dorosłych. Kilka dni wcześniej pojechała z mężem do miejscowości Tulare, oddalonej o ponad 370 km. Wybrała to miejsce, bo ze względu na małą liczbę chętnych rejestrację dla wszystkich otwarto tam już pod koniec marca (na taki ruch zdecydowało się wiele hrabstw i stanów). W punkcie masowych szczepień, zorganizowanym tam w hali rolniczej, obyło się bez długiego czekania.

– Dostałam szczepionkę Pfizera. Po dawkę Moderny tak daleko bym nie jechała – mówi mi Natalia, która już na etapie rejestracji online mogła wybrać, jakim preparatem chce się zaszczepić. ↦

↦ Termin zarezerwowała z dnia na dzień. Wystarczyło wsiąść w samochód i pojechać.

Jak twierdzi Natalia – Polka mieszkająca od ośmiu lat w Kalifornii – niektórzy jej amerykańscy znajomi wybrali drogę na skróty i... zaszczepili się poza kolejnością. Aby skorzystać z terminów dla osób szczególnie narażonych na ciężki przebieg COVID-19, kłamali w formularzu online, że cierpią na otyłość lub alergie, albo że są w ciąży. Najbardziej pomysłowy był znajomy, który zadeklarował, że pracuje w służbie zdrowia. Choć w punkcie szczepień nie obyło się bez pytań, udało mu się oszukać system i został zaszczepiony.

– Niektórzy korzystają na tym, że to Kalifornia. Tu ludzie mają do siebie zaufanie i wierzą innym na słowo – tłumaczy Natalia.

Klienci bez hamulców

Kombinować nauczyli się też młodzi Teksańczycy. Zanim otwarto zapisy dla wszystkich dorosłych, trzydziestolatkowie z Austin jeździli do punktu masowych szczepień w odległym o godzinę drogi Belton. Wystarczyło zapisać się tam na wolontariat i liczyć na to, że pod koniec dnia zostaną jakieś niewykorzystane dawki. 36-letnia Annie Fuhrman mówi mi, że w ten sposób zaszczepiła się już na początku marca.

Annie przyznaje, że jej chłopak też kombinował. Za namową sąsiada pojechał do punktu szczepień prowadzonego przez parafię katolicką na przedmieściach Austin. Na miejscu nie pytano go ani o wiek, ani o stan zdrowia. Miał tylko podać swój adres mailowy, na który dostanie zaproszenie na szczepienie drugą dawką.

– Dziękuję Bogu, że mamy to już za sobą. Znajomi, którzy czekali na otwarcie zapisów dla wszystkich grup wiekowych, mają teraz problem ze znalezieniem wolnych terminów. A ja naprawdę musiałam szybko się zaszczepić. Pracuję w restauracji, w Teksasie to nie jest bezpieczne zajęcie – przekonuje Annie i tłumaczy, że sytuację w jej lokalu pogorszył zniesiony przez władze stanowe nakaz noszenia masek.

– Ludzie poszli na żywioł. Choć w naszej restauracji wciąż wymagamy zakrywania nosa i ust, coraz więcej klientów to ignoruje. Zresztą wystarczy spojrzeć na bary, które serwują jedzenie na miejscu. Ludzie tłoczą się w dużych grupach bez masek – dodaje Annie, której nie podoba się polityka gubernatora Teksasu Grega Abbotta. Na początku marca nie tylko zniósł nakaz noszenia masek, ale zezwolił na działanie biznesów bez limitów obsługiwanych klientów. Jak przystało na członka Partii Republikańskiej, Abbott lubi też podkreślać publicznie, że szczepienia są dobrowolne.

Takie działania trafiają na podatny grunt, bo w konserwatywnym Teksasie nie brakuje szczepionkowych sceptyków. W badaniu Uniwersytetu Teksańskiego i „Texas Tribune" z lutego aż 41 proc. republikańskich respondentów deklarowało, że szczepionki nie przyjmie. Podobne nastroje panują w środowiskach konserwatywnych w innych stanach. Według ogólnokrajowego badania dla Associated Press 36 proc. republikańskich respondentów deklarowało w marcu, że – prawdopodobnie lub zdecydowanie – nie przyjmie szczepionki. Takiej odpowiedzi udzieliło tylko 12 proc. zwolenników Partii Demokratycznej.

Zastrzyki dla przyjezdnych

Dziennik „New York Times" alarmuje, że z powodu braku chętnych na szczepienia niektóre republikańskie stany mają nadmiar dawek. W tym gronie znalazły się m.in. Missisipi, Tennessee i Alabama, gdzie – jak podaje NBC News – na szczepienia zgłosiło się mniej niż 40 proc. mieszkańców. Do szczepień nie garną się też w Oklahomie i Idaho.

Gdy dzwonię do Michała Kopery, polskiego naukowca wykładającego na Uniwersytecie Stanowym w Idaho, dowiaduję się, że nawet po uruchomieniu zapisów dla wszystkich dorosłych nie ma problemu z rezerwacją terminów z dnia na dzień. Podobnie sytuacja wygląda w Oklahomie, gdzie z powodu braku chętnych otwarto szczepienia również dla osób spoza tego stanu.

– Nie trzeba się nawet umawiać na konkretny termin – mówi mi Jami Jackson-Cole, nauczycielka z 22-tysięcznego Duncan. – Moja 23-letnia córka po prostu poszła do apteki i poprosiła farmaceutę o szczepienie – dodaje Amerykanka, która jeszcze pod koniec zeszłego roku obawiała się, że akcja szczepień będzie zbyt powolna. Wówczas na to się zapowiadało: choć administracja Donalda Trumpa obiecywała zaszczepienie do końca roku 20 mln osób, jedną dawkę otrzymało tylko 3 mln Amerykanów (to tyle, ile szczepi się teraz w ciągu doby).

Dystrybucja przyspieszyła dopiero po objęciu władzy przez prezydenta Joego Bidena, co było możliwe dzięki nowym dostawom preparatów od producentów i zwiększeniu liczby punktów szczepień. Do 14 kwietnia w liczących 330 mln obywateli Stanach co najmniej jedną dawkę szczepionki otrzymały już prawie 124 mln osób, a dwie dawki – ponad 76 mln.

Noś maskę, jeśli chcesz

Jami martwi się, że wśród zaszczepionych nie ma jej rodziców. Są baptystami i odmawiają przyjęcia preparatu, bo uważają, że wszystkie szczepionki powstały z użyciem linii komórkowych z abortowanych płodów.

W istocie dotyczy to tylko dwóch szczepionek, AstraZeneca i Johnson & Johnson, a w grudniu 2020 r. katolicka Kongregacja Nauki Wiary wydała notę, w której uznała zaszczepienie się tymi preparatami za moralnie akceptowalne, jeśli inne szczepionki nie są dla danej osoby dostępne. AstraZeneca nie jest zresztą jak dotąd w ogóle podawana w Stanach – dominują tu szczepionki Pfizer-BioNTech i Moderna. Preparatu Johnson & Johnson podano w USA niespełna 7 mln dawek (w minionym tygodniu agencje rządowe wydały zalecenie, by wstrzymać jego stosowanie – o czym powiem poniżej).

70-letnia matka Jami jest nieugięta, choć kilka miesięcy temu koronawirus zabił jej najbliższą przyjaciółkę. – Moi konserwatywni rodzice nie należą w Oklahomie do wyjątków – mówi Jami. – Najpierw zraziłam do siebie znajomych, bo w wyborach prezydenckich w 2020 r. nie głosowałam na Trumpa. Teraz wytykają mnie palcami, bo zaszczepiłam się i jestem zwolenniczką noszenia masek – dodaje 48-latka, którą denerwuje, że w jej rodzinnym Duncan od początku epidemii nie wprowadzono nawet nakazu zakrywania nosa i ust. Takie przepisy obowiązują jedynie w tutejszych szkołach.

Artystka na końcu świata

W Sitce, ośmiotysięcznym miasteczku na Alasce, maseczek nie noszą nawet pracownicy banków. Tak twierdzi Kelly Dylla, która po przeprowadzce z Seattle wciąż czuje się tu jak na innej planecie.

Podczas wyborów prezydenckich Trump pokonał na Alasce Bidena znaczącą większością głosów.

Ale pobyt w sennym alaskańskim miasteczku ma też plusy. Pod koniec marca, czyli niecały tydzień po przeprowadzce do Sitki, Kelly dostała pierwszą dawkę szczepionki. Nawet nie musiała zapisywać się na wizytę: po prostu zadzwonił do niej znajomy pracownik apteki i zapytał, czy chce się zaszczepić. Akurat tego dnia zostały dwie niewykorzystane dawki.

– W Seattle byłoby to nie do pomyślenia – mówi mi 45-letnia Kelly. – Nie zapomnę, jak mąż godzinami wydzwaniał na infolinię, żeby zapisać na szczepienie swoich rodziców. Nigdzie nie było dostępnych terminów. Teściowie zaszczepili się dopiero na początku marca. To mniej więcej wtedy, gdy na Alasce ruszyła rejestracja dla wszystkich grup wiekowych.

Kelly cieszy się, że teraz, kiedy otwarto już zapisy dla każdego mieszkańca Seattle, nie musi zmagać się z tamtejszą służbą zdrowia. Nie ukrywa jednak, że tęskni za rodzinnym miastem. Na Alaskę przeprowadziła się za pracą: po kilku miesiącach bezrobocia udało jej się zatrudnić przy organizacji alaskańskiego festiwalu Sitka Music Festival.

– W czasach pandemii nie ma co wybrzydzać – mówi Kelly, która przez wiele lat pracowała w fundacji artystycznej w Seattle. – Znam wielu bezrobotnych artystów, których nie stać już na wysokie koszty utrzymania w Seattle. Na Alasce przynajmniej jest taniej. Mam nadzieję, że tutaj szybciej wrócimy do normalności.

Zeskanuj kod

Na szybki powrót do przedpandemicznych czasów liczą też władze Nowego Jorku, które jako pierwszy amerykański stan wprowadziły cyfrowe paszporty szczepionkowe. Rozwiązanie jest proste: wyposażeni w smartfonową aplikację nowojorczycy mogą szybko wykazać, że zostali w pełni zaszczepieni lub mają negatywny wynik testu. Wystarczy, że przy wejściu na stadion piłkarski, do kina lub teatru zeskanują kod QR na telefonie i przedstawią dokument tożsamości ze zdjęciem. Paszporty szczepionkowe nie są jednak obowiązkowe. Jak donosi dziennik „Washington Post", do tej pory rozwiązanie przyjęło się głównie wśród kibiców wybierających się na mecz w Madison Square Garden czy na stadionie Jankesów.

ARCHIWUM PRYWATNE

NATALIA GAIK:
Niektórzy korzystają, że to Kalifornia. Tu ludzie mają do siebie zaufanie i wierzą innym na słowo.

ARCHIWUM PRYWATNE

KELLY DYLLA:
Na Alasce przynajmniej jest taniej. I mam nadzieję, że tutaj szybciej wrócimy do normalności.

ARCHIWUM PRYWATNE

ANNIE FUHRMAN:
Choć w naszej restauracji wciąż wymagamy zakrywania nosa i ust, coraz więcej klientów to ignoruje.

Temat tych paszportów zdążył w Stanach wzbudzić spore emocje. Sceptyczni wobec pomysłu są Republikanie, tradycyjnie obawiający się nadmiernej ingerencji władz w prawa obywateli. Władze pięciu republikańskich stanów – Florydy, Teksasu, Idaho, Utah i Montany – wprowadziły już przepisy, które urzędom i instytucjom finansowanym przez władze stanowe zakazują wymagania dowodu zaszczepienia. Jednocześnie administracja Bidena daje jasne sygnały, że wyklucza stworzenie federalnego systemu takich paszportów.

Szczepionkowa burza

W spolaryzowanych Stanach dyskusję o paszportach przyćmiło zamieszanie wokół szczepionek koncernu Johnson & Johnson. Jak już wspomniałam, federalne agencje, w tym Agencja Żywności i Leków, zaleciły wstrzymanie szczepień tym preparatem po tym, gdy u sześciu kobiet wykryto powikłania zakrzepowe (jedna zmarła, druga była w stanie krytycznym).

Szczepienia jednodawkowym preparatem J&J, który dotąd otrzymało 6,8 mln Amerykanów, wstrzymano we wszystkich 50 stanach. Administracja Bidena stara się studzić emocje i zapowiada, że nie opóźni to akcji szczepień. Federalny koordynator ds. pandemii Jeff Zients przekonuje, że USA mają wystarczająco dużo dawek, by w dalszym ciągu wykonywać ok. 3 mln zastrzyków dziennie.

„Pamiętajmy, że szczepienia preparatem J&J stanowią mniej niż 5 proc. wszystkich dokonanych do tej pory szczepień. Tylko w tym tygodniu jesteśmy w stanie zapewnić 28 mln dawek preparatów Pfizera i Moderny" – napisał w oświadczeniu Zients. Przedstawiciel administracji przekonuje, że USA są na dobrej drodze, by w ciągu pierwszych stu dni prezydentury Bidena wykonać 200 mln szczepień.

Prezes koncernu Pfizer zapowiedział, że w związku z wstrzymaniem stosowania szczepionki J&J jego firma zwiększy o 10 proc. dostawy na rynek w USA. Niektórzy eksperci wskazują jednak, że problem nie tkwi w liczbie dostępnych dawek. Zamieszanie wokół J&J może pogłębić szczepionkowy sceptycyzm wśród części Amerykanów. Największa próba czeka teraz republikańskie stany, gdzie akcja szczepień już teraz przypomina bieg z przeszkodami.

© MARTA ZDZIEBORSKA

Suseł i fresk wchodzącego Jezusa. Ośrodek w Humaniu, grudzień 2020 r.

Zdążyć na nowe życie

TEKST I ZDJĘCIA MONIKA ANDRUSZEWSKA Z HUMANIA (ŚRODKOWA UKRAINA)

Trafiają do niej zekowie, więźniowie z długim stażem. Po różnych wyrokach, także za morderstwa. „Nie pytam ich, co robili wcześniej, ale co chcą robić dalej" – mówi Ludmiła.

Wnęka w ścianie ma kształt drzwi, przez które przechodzi naturalnej wielkości Jezus Chrystus. Zbawiciel na fresku ma szlachetną, świetlistą twarz. Tymczasem Suseł wygląda jak z filmu o ludziach marginesu. Drobny, wychudzony, cały w tatuażach.

Tak naprawdę Suseł ma na imię Ołeksandr. Ale, jak mówi, nie ma żadnego znaczenia, jakie imię nadano mu po narodzeniu, bo potem stał się Susłem. Może gdy zacznie kiedyś nowe życie, wróci do starego imienia.

Przeorana zmarszczkami twarz rozjaśnia się w promiennym uśmiechu. Suseł staje przed Jezusem, tu dobrze byłoby zrobić zdjęcie. Jezusa, podkreśla Suseł, też osądzili i skazali. Wprawdzie za niewinność, ale on, Jezus, wszystko by rozumiał. Nie miałby nic przeciwko temu, że Suseł obok niego staje sobie do zdjęcia. Choć łącznie spędził 26 lat w więzieniach.

– Miałem 16 lat, gdy spieprzyłem sobie życie. Patrzysz wstecz, a tam nic po prostu nie ma. Zaczęło się od skoku na mieszkanie. Koledzy, z którymi się włamywałem, potem sprzedali mnie policji. I się zaczęło, zostałem zekiem – macha wytatuowaną ręką. Zek to określenie więźnia, wywodzące się jeszcze z gułagów w Związku Sowieckim.

Suseł uważa, że więzienia w Europie Wschodniej to wciąż ten sam system, tylko przemianowany. Inny świat, równoległy, rządzący się swoimi prawami, do którego nie ma dostępu nikt z zewnątrz.

– Jak cię więzienie raz wciągnie, to koniec. Stajesz się obywatelem ostatniej kategorii. Nikomu nie jesteśmy potrzebni, ani w więzieniu, ani potem. Jeśli inny człowiek będzie podejrzany i będzie sąd, to jak jest niewinny, wypuszczą go. A mnie dodadzą od razu jeszcze pięć lat – zapewnia Suseł.

Więzienie jak dom

80-tysięczne miasto Humań w obwodzie czerkaskim, na środkowej Ukrainie, słynie jako miejsce śmierci żydowskiego cadyka Nachmana. Co roku tysiące chasydów z całego świata przybywają tu, aby modlić się o cud.

Ale niezwykłe przemiany w ludziach zdarzają się w Humaniu częściej. Konkretnie: od kiedy w 2015 r. powstał Ośrodek dla Bezdomnych, Zwolnionych z Więzień i Uzależnionych. W niepozornym budynku otoczonym pustostanami, o wystroju hotelu robotniczego, ważą się losy ludzi, którzy już raz przegrali swoje życie, a teraz próbują drugiego podejścia.

– Trafiają tu więźniowie po różnych wyrokach, również za morderstwa. Nie pytam ich, co zrobili wcześniej, ale co chcą robić dalej – mówi mi 51-letnia Ludmiła, szefowa ośrodka.

Suseł za pierwszym razem siedział dwa lata. Gdy wyszedł, pomyślał, że będzie

Sasza (na pierwszym planie) i Ludmiła (w środku) z podopiecznymi ośrodka. Humań, grudzień 2020 r.

LUDMIŁA podkreśla, że ważnym elementem w terapii jej podopiecznych jest sport, brakuje im jednak odpowiedniego sprzętu. Krakowska fundacja „Gentes" postanowiła kupić dla ośrodka w Humaniu sprzęt rehabilitacyjny i sportowy. Czytelników pragnących wesprzeć tę inicjatywę prosimy o przelewy na konto: Fundacja Gentes (Kraków, ul. Kapelanka 5, 30-347), numer: **95 1140 2004 0000 3602 8114 2480** (z tytułem przelewu: „Drugie życie "). Pieniądze zostaną przekazane autorce tekstu, korespondentce „Tygodnika" na Ukrainie, która potrzebny sprzęt kupi na miejscu w Humaniu.

Podopieczni ośrodka z przygarniętymi psami. Humań, grudzień 2020 r.

szukał pracy. – Gdyby ktoś wtedy wyciągnął pomocną dłoń, mógłbym być elektrykiem. Dużo mógłbym, ogarnięty jestem, tylko wsparcia nie miałem żadnego. Chciałem się uczyć. Ale nie było pieniędzy, możliwości. No to co, musiał sobie człowiek jakoś radzić – zawiesza głos.

Dodaje, tonem usprawiedliwienia: – Naprawdę chciałem iść do jakiejś roboty. Ale w moim dowodzie było już zaznaczone, że jestem zekiem. To taka stygmatyzacja, żeby ludzie wiedzieli, że mają do czynienia z kryminalistą. No, a wtedy wiadomo, na robotę takiego nie wezmą. A trzeba jeść, gdzieś mieszkać. I co masz robić, człowieku? Dla nas, zeków, wolność to nonsens. Niektórzy specjalnie zaraz po wyjściu z więzienia popełniają przestępstwa. Nawet głupie. Wali się kamieniem w okno i czeka na policję. Chodzi o to, żeby jak najszybciej wrócić do więzienia. Do domu. Bo do więzienia na kolejny wyrok wracasz już jak do siebie.

Porządny zek

Ludmiła mówi, że więzienie, narkomania i bezdomność to problemy, które często idą tu w parze. Sama coś o tym wie.

– Pochodzę z Osetii Południowej. Uciekliśmy przed wojną i nagle okazało się, że jesteśmy bezdomni. Jakoś dawałam sobie radę, ale brat uciekał przed rzeczywistością w narkotyki. Nie przeżył. Kiedy młodszy brat też zaczął brać, zrozumiałam, że scenariusz się powtarza i nie mogę biernie obserwować, jak się zabija – opowiada.

Na początku Ludmiła skierowała brata do chrześcijańskiego centrum dla uzależnionych w Donbasie. Po kilku latach postanowiła sama stworzyć coś podobnego tu, w Humaniu. Specjalnie poszła na studia, żeby mieć kompetencje do rozwiązywania prawnych problemów więźniów wracających do społeczeństwa. Miejscowa jednostka wojskowa oddała jej pustostan, oddalony od miasta. Za prąd i ogrzewanie płaci pomoc społeczna, za jedzenie i lekarstwa Kościół protestancki.

Ośrodek współpracuje z miastem. Np. byli więźniowie szyją ubrania, które przekazują do domu starców. Cieszą się, że na ich, jak to nazywają, szlaku do odrodzenia, ktoś może skorzystać. Chętnie zajmują się też zwierzętami gospodarczymi, przygarniają porzucone psy.

Budynek ośrodka remontują własnymi rękami, gdy tylko Ludmiła zdobędzie jakieś materiały budowlane.

– To forma terapii pracą. Nowe chłopaki widzą od razu, że to wspólne miejsce, o które musimy dbać. To nie jest tak, że przychodzisz i od razu trafiasz do wypasionego ośrodka. W życiu nic nie przychodzi łatwo. Jeśli chcemy mieć dobre warunki, musimy sami się o nie zatroszczyć – mówi Sasza, brodacz o wyglądzie dobrodusznego niedźwiedzia.

Był w więzieniu trzykrotnie, łącznie osiem i pół roku. Po terapii został w ośrodku, pełniąc funkcję „pomostu" między Ludmiłą i rekonwalescentami. Dla innych jest przykładem: założył w Humaniu rodzinę, uczciwie pracuje. To znaczy, że i dla nich jest szansa.

– Gdyby nie Sasza, znów byłbym w więzieniu. Albo na cmentarzu. Przyjechał z rodziną nad morze i przypadkiem się ↦

spotkaliśmy – wspomina Suseł. – To był szok, wcześniej siedzieliśmy razem, a tu nagle: on z piękną żoną i dziećmi, a ja na metadonie. Opowiedział mi o ośrodku. Myślę sobie: Sasza to porządny zek, nigdy nie oszukał. Więc jak mówi, że powinienem spróbować, trzeba posłuchać.

– Mówię im: bracia, też przez to przeszedłem. Też byłem niewolnikiem narkotyków. Zobaczcie, udało mi się. I wam może się udać, ale musicie o siebie walczyć – mówi Sasza.

Opisuje moment, który okazał się przełomowy dla niego: – Też zdecydowało przypadkowe spotkanie. Wróciłem z ostatniego wyroku i natknąłem się na znajomego ze szkoły. Spytał, czym się zajmuję. Zacząłem ściemniać, że biznesem. Nie mogłem przecież powiedzieć, że jestem prosto z więzienia. On stał z małym dzieckiem przy samochodzie, a ja opowiadałem o mojej nieistniejącej firmie, jednocześnie gładząc palcami w kieszeni szprycę do narkotyków. W tamtej chwili nagle dotarło do mnie, że muszę rzucić stare życie.

Sasza uważa, że te wszystkie przypadki to zrządzenie boskie: – Ktoś tam na górze wskazuje nam właściwą drogę. Od nas zależy, czy nią pójdziemy.

Sygnały subtelniejsze

Dziś w ośrodku przebywa 30 rekonwalescentów. Czy też, jak nazywa ich Ludmiła: chłopców. Gdy ona, kobieta, zabiera głos, wytatuowani mężczyźni o surowych i zniszczonych twarzach zbierają się w kole, wpatrują się w nią jak w obrazek. Postawna, krótko ostrzyżona blondynka zwraca się do nich ciepło, ale stanowczo.

– Ludmiła jest twarda babka. Inna by z nami nie wytrzymała. Najważniejsze, że się nas nie boi. My wyczuwamy strach, zupełnie jak psy – wyjaśniają.

W końcu nikt nie zna się tak na ludziach jak oni, zeki. Od szybkości rozpoznania zależy ich pozycja, czasem życie. Bo trafiając z jednego więzienia do innego, trafia się do nowego mikrokosmosu. Trzeba się błyskawicznie zorientować, z kim ma się do czynienia. Po znakach, jak tatuaże, ale też po sygnałach subtelniejszych, jak sposób chodzenia czy patrzenia. Najważniejsza zasada przetrwania to ukrywanie własnej słabości i szybkie wyczuwanie cudzej.

– Jak ludzie do nas podchodzą, tak i my podchodzimy do ludzi. Jak ktoś od razu myśli: „To zek, zaraz się na mnie rzuci, okradnie”, to pewnie tak się wydarzy. Po co się powstrzymywać, skoro nie masz nic do stracenia? – tłumaczą.

Sasza uważa, że resocjalizacja więźniów powinna zaczynać się jeszcze w więzieniach. Wspomina: – Parę lat temu siedziałem w celi z dzieciakami, które okradały supermarkety. Właziły tam przez systemy wentylacyjne. To były dzieci 14- i 15-letnie. Bawili się samochodzikami, a wokół kryminaliści, starzy dziadkowie. Chcę pooglądać telewizję, a tu mały pyta, czy można bajkę puścić. Takie dzieciaki skończą jak Suseł, nie będą znały życia bez więzienia i narkotyków. Bo co jak co, ale miejsca, gdzie do narkotyków jest najłatwiejszy dostęp, to właśnie więzienia.

– Ale to nie jest tak, że po więzieniu jesteśmy jak zwierzęta. Czerpałem z tych miejsc liczne plusy. Zajmowałem się sportem, nawet czytałem książki – zaznacza Suseł. – I ile można zwiedzić! Byłem w więzieniach po całej Ukrainie: Tarnopol, Wołyń, Czernichów, Chmielnicki, Odessa... Więzienie na zachodzie Ukrainy różni się od tego na wschodzie. Każdy region jest inny, nawet język się trochę różni. W każdym więzieniu dowiadujesz się masy rzeczy. Ja to o więzieniach w ogóle wszystko wiem. A na wolności orientuję się tylko, gdzie można zbierać mak do opium.

Diler z Donbasu

Dima, szeroki w barach brunet, pochodzi z Debalcewe: miasteczka w Donbasie, które dziś leży na terenach okupowanych przez prorosyjskich separatystów. Znalazł tam sposób na biznes: kupował narkotyki rosyjskim żołnierzom.

– Rosyjska propaganda głosiła, że na Donbasie nie ma rosyjskiej armii – śmieje się Dima. – To ciekawe, bo większość moich klientów pochodziła z Woroneża, Petersburga czy tak odległych zakątków Rosji, że nie kojarzyłem, gdzie są te miejscowości. Wcześniej to ja byłem prorosyjski. Zdanie zmieniłem, gdy do mojej miejscowości przyszła Rosja.

Na okupowany Donbas już nie ma powrotu. Rosyjskiemu dowództwu nie spodobało się, że żołnierze aż tyle ćpają, więc rozesłano za nim list gończy.

POŻEGNANIE

W niedzielę palmową w Poznaniu o godzinie miłosierdzia
powołał Pan do siebie

Ś.† P.

Elżbietę Strzyżową

z Dąmbskich z Rudnej Wielkiej pod Rzeszowem

w 88. roku jej życia pracowitego i wypełnionego miłością do bliskich oraz życzliwością dla przyjaciół i znajomych, którzy lgnęli do niej, jej spokoju, pogody i hartu ducha. Straciwszy w 1944 roku życia ostatecznie arkadię dzieciństwa, przeszła bez jakichkolwiek zabezpieczeń – poza miłością rodziców i sióstr – trudną młodość, nie wolną od szykan, jakimi objęto jej środowisko.

Oddała się całkowicie rodzinie, z której byliśmy zawsze dumni.

Dobre i oddane Jezusowi serce naszej Mamy poprowadzi ją z naręczami dobrych uczynków przed oblicze Najwyższego.

R.I.P.

Barbara, Jerzy, Teresa i Stanisław z rodzinami.

Po mszy świętej pogrzebowej w kościele Imienia Maryi
dnia 15 kwietnia 2021 roku prochy Mamy
złożyliśmy do grobu rodzinnego na cmentarzu smochowickim w Poznaniu.

Dima podkreśla, że choć wielu narkomanów pochodzi z nizin społecznych, on sam miał, jak mówi, wszystkie szanse na normalne życie. Chwali się, że pochodzi „z dobrej rodziny", i że w życiu dużo podróżował: – Wydawało mi się, że jak zmieniam miejsce, to mogę zaczynać od początku. Ale, idiota, nie zauważyłem, że wszędzie towarzyszą mi moi najwierniejsi przyjaciele: narkotyki. Próbowałem rzucać, ale zawsze kończyłem na coraz cięższych.

– To dlatego, że nie byłem wystarczająco szczery ze sobą i z Bogiem – tłumaczy dziś sobie Dima. – Sam siebie oszukiwałem. Zacząłem brać ecstasy jako dodatek do dobrego filmu, do muzyki. Takie kulturalne ćpanie dla intelektualistów. Nie myślałem o sobie jak o narkomanie, bo przecież ładny byłem, czyściutki. A potem w okamgnieniu zostałem bezdomnym dilerem. A teraz jestem tu, już półtora roku. Wiem, że aby się od tego uwolnić, muszę być w stu procentach czysty. Nawet na przeklinanie sobie nie pozwalam, bo to też nałóg.

Pierwszy etap rehabilitacji w placówce Ludmiły to izolacja, żeby chłopcy nie byli zagrożeni pokusami z otoczenia. Potem kolejne miesiące adaptacji w społeczeństwie, gdy zaczynają wychodzić do miasta.

Ludmiła: – Ostro tniemy uzależnienie. Poza narkotykami zabroniony jest alkohol, papierosy, przeklinanie. Nie uznaję półśrodków. Uzależniony ma rzucić, a nie zmniejszać dozę czy zamieniać nałóg na inny. Albo chcesz zmienić swoje życie, albo nie.

– Na trzecim etapie pacjenci zaczynają wynajmować mieszkania i sami na siebie zarabiać – Ludmiła się uśmiecha. Dodaje: – Wiesz, jaki jest najwspanialszy moment tej pracy? Gdy idziesz do cerkwi i widzisz tam swoich chłopców z rodzinami.

Może wydarzy się cud

Choć ośrodek jest wspierany przez Kościół protestancki, większość „chłopaków" to prawosławni. Tłumaczą, że nie ma wielkich różnic między wyznaniami, bo Bóg jest jeden.

– Człowiek, który chce się pozbyć uzależnienia, może odkryć modlitwę jako sposób na ukojenie. A cerkiew jako miejsce, w którym nie jest oceniany. Jednoczy nas dążenie do zmartwychwstania – mówi Sasza.

– Najważniejsze, żeby zdążyć na drugie życie. Wielu moich kolegów z pudła już nie żyje. Sam, zanim tu trafiłem, spędziłem dwa miesiące na reanimacji po przedawkowaniu. Wiem, że kolejnych lat ćpania po prostu nie przeżyję – dodaje Suseł.

Teraz Suseł modli się, żeby, jak mówi, zrozumieć, co z nim ma być dalej: – Nie chcę na razie myśleć o dziewczynach, o dzieciach, bo wiem, że po tych latach sam jestem jak dziecko. Muszę najpierw dorosnąć do odpowiedzialności za siebie. Jak się nie uda, to trudno. Zmarnowałem 50 lat życia. Jeśli spędzę jeszcze pół roku w tym ośrodku i okaże się, że to był czas stracony, to już nie robi żadnej różnicy. Ale może wydarzy się cud i dostanę przepustkę do drugiego życia?

© MONIKA ANDRUSZEWSKA

REKLAMA

PRZEKAŻ 1% PODATKU NA
FUNDUSZ OBYWATELSKI IM. HENRYKA WUJCA

FUNDACJA DLA POLSKI **KRS 0000039342**

www.funduszobywatelski.pl

Fundusz Obywatelski im. Henryka Wujca | Fundacja dla Polski

HISTORIA

PŁYN LUGOLA, RUSKA COLA

Choć od katastrofy czarnobylskiej minęło 35 lat, w tej historii wciąż są luki. Na przykład: czy działania rządu PRL były adekwatne do zagrożenia?

KAMIL DWORACZEK

Świat usłyszał o niej pod koniec kwietnia 1986 r.: o działającej ok. 100 km od Kijowa Czarnobylskiej Elektrowni Jądrowej, wyposażonej w reaktory typu RBMK-1000. Była to jedna z kilku tego typu elektrowni w Związku Sowieckim.

26 kwietnia operatorzy mieli przeprowadzić standardowy test reaktora. Popełnili błąd katastrofalny w skutkach: o godzinie 1.23 doszło do dwóch wybuchów, które zniszczyły reaktor i uwolniły ogromną ilość pierwiastków radioaktywnych; trafiły one do atmosfery, gleby i wody. Powstałe promieniowanie szacowano na 200 mln kiurów – była to ilość porównywalna ze skutkami eksplozji dużej głowicy nuklearnej, równej czterem bombom zrzuconym w 1945 r. na Hiroszimę. Skażenie – głównie radioaktywnym cezem i jodem – odnotowano w mniejszym lub większym stopniu na całej półkuli północnej.

Kierownictwo elektrowni długo odrzucało myśl, że reaktor uległ zniszczeniu. Powtarzało, że jest on nietknięty, a źródłem wybuchu były zbiorniki wody. Taką wersję usłyszeli przełożeni w Kijowie i Moskwie. O szóstej rano o wypadku dowiedział się sowiecki premier Nikołaj Ryżkow, który z kolei zatelefonował do Michaiła Gorbaczowa, sekretarza generalnego Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego (pełniącego tę funkcję od roku). Ten zwołał posiedzenie Biura Politycznego, ale dopiero na poniedziałek 28 kwietnia – widocznie informacje, jakie wtedy miał, nie nakazywały pośpiechu i przerywania weekendu członkom Politbiura. Sam we wspomnieniach podkreślał, że w pierwszym dniu po wybuchu nie miał świadomości, iż reaktor eksplodował. Dopiero w kolejnych kilkunastu godzinach przed sowieckim kierownictwem odsłaniała się skala katastrofy i dramatyzm sytuacji.

Podjęto decyzję, że reaktor zostanie zasypany tonami piasku i boru, zrzucanymi z wojskowych śmigłowców. Na razie jednak przez kilkanaście kolejnych dni wiatr roznosił radioaktywny pył po Europie. W pierwszym rzędzie w kierunku północno-zachodnim, skażając tereny białoruskiej republiki i Polski, i docierając w końcu do Skandynawii. Tamtejsze służby wykryły promieniowanie i zaczęły dociekać, co jest jego źródłem.

Pierwsze oficjalne informacje o wypadku Kreml przekazał rządom innych państw dopiero trzy dni po awarii.

Niepokojące wieści

Władze w Warszawie dowiedziały się o podwyższonym skażeniu w Polsce dopiero po południu 28 kwietnia. Co prawda służby monitorujące sytuację radiologiczną wykryły niepokojący wzrost skażenia powietrza już nocą z 27 na 28 kwietnia, ale wskutek braku procedur nie od razu informacja dotarła do kierownictwa partyjno-rządowego.

Centralne Laboratorium Ochrony Radiologicznej (CLOR), „mózg" systemu monitoringu radiologicznego PRL, dopiero rankiem 28 kwietnia odebrało meldunek ze stacji w Mikołajkach o wysokim poziomie skażenia powietrza. To właśnie nad północno-wschodni skrawek Polski dotarły najpierw masy skażonego powietrza znad Czarnobyla, nazywane potocznie „chmurą radioaktywną". W istocie żadnej chmury nie było widać, a znajdujące się w powietrzu radionuklidy nie były widoczne dla ludzkiego oka – ich wykrycie było możliwe tylko za pomocą specjalistycznej aparatury.

Po odebraniu niepokojących wieści z Mazur pracownicy CLOR pobrali

KRZYSZTOF SITEK / PAP

Otwarcie wystawy fotograficznej upamiętniającej ofiary tragedii w Czarnobylu, Warszawa, 26 kwietnia 2006 r.

próbki w Warszawie. Okazało się, że także w stolicy powietrze jest skażone. Wykryto w nim pierwiastki telluru, jodu, cezu, strontu. „Kiedy rano tego dnia przyjechałem do CLOR, przed budynkiem czekała na mnie zdenerwowana asystentka. Do końca życia nie zapomnę jej słów: Słuchaj, przyszedł teleks ze stacji pomiarowej w Mikołajkach. Radioaktywność powietrza jest tam 550 tys. razy wyższa niż wczoraj. Nasz parking też jest silnie skażony!" – wspominał w 2006 r. (w rozmowie z tygodnikiem „Polityka") prof. Zbigniew Jaworowski, kierujący wtedy Zakładem Higieny Radiacyjnej CLOR.

Wielka improwizacja

Jaworowski zwrócił się do dyrektora CLOR, prosząc o powiadomienie prezesa Państwowej Agencji Atomistyki i rządu. Ten odparł, że „nikogo zawiadamiać nie będzie". Jaworowski na własną rękę skontaktował się więc z prezesem PAA Mieczysławem Sowińskim, alarmując, że o tak wielkim skażeniu trzeba poinformować rząd. Sowiński miał tylko nakazać: „Mierzcie dalej i informujcie mnie o wynikach". O jego lekceważącym stosunku do sytuacji świadczyć może też fakt, że od godziny piętnastej uczestniczył w posiedzeniu Forum Młodego Pokolenia Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego (fasadowej organizacji utworzonej po ogłoszeniu stanu wojennego i mającej dowodzić społecznego poparcia dla ekipy Jaruzelskiego) i nie było z nim kontaktu.

Jaworowski był w kropce. Nie mógł liczyć na przełożonych, brakowało też procedur, jak działać w sytuacji skażenia radiologicznego. Przede wszystkim nie istniał kanał komunikacyjny między CLOR a ośrodkiem władzy, którym można byłoby przekazać informację. W tej sytuacji Jaworowskiemu pozostał kanał nieformalny: po południu przekazał wieść prof. Zdzisławowi Kaczmarkowi, sekretarzowi naukowemu PAN, który zobowiązał się powiadomić premiera Zbigniewa Messnera. W ten sposób rząd PRL został poinformowany o zagrożeniu promieniowaniem.

Na tym zamieszanie się nie skończyło. Brak regulacji prawnych sprawił, że nadal królowała improwizacja. Naprędce zwołano nocne posiedzenie w Komitecie Centralnym PZPR, na które zjechali przedstawiciele kierownictwa partii i rządu. W gabinecie sekretarza KC Mariana Woźniaka, gospodarza spotkania, zjawili się ↦

↦ też premier Messner, wicepremier Zbigniew Szałajda, rzecznik prasowy rządu Jerzy Urban, sekretarz KC Jan Główczyk i wiceminister obrony gen. Tadeusz Tuczapski. Około czwartej nad ranem postanowiono wezwać specjalistów z dziedziny skażeń promieniotwórczych: prof. Jaworowskiego, prezesa Sowińskiego i prof. Zenona Bałtrukiewicza z Szefostwa Służby Zdrowia MON.

Zebrani uznali, że należy uzyskać z Moskwy maksimum informacji. Jaworowski wspominał: „Głos zabrał prowadzący naradę Marian Woźniak: To ja zadzwonię do mojego *counterpart* w Moskwie. Zapamiętałem dokładnie jego wypowiedź, bo użył angielskiego słówka *counterpart*, czyli odpowiednik. I grzecznie wyprosił wszystkich ze swojego gabinetu. Minęło jakieś 10 minut, gdy Woźniak, wyraźnie poruszony, wyszedł do zebranych. On mi powiedział, że nic nie wie – oznajmił grobowym głosem sekretarz KC".

Nikołaj, szto u was słucziłos?

Między szóstą i siódmą do gmachu Komitetu Centralnego PZPR przyjechał obudzony wcześniej Wojciech Jaruzelski, najważniejsza osoba w państwie – przewodniczący Rady Państwa (odpowiednik prezydenta) i równocześnie pierwszy sekretarz PZPR. Zamknął się w gabinecie Główczyka na dalszą naradę w ścisłym gronie, już bez udziału specjalistów.

Jej przebieg możemy jednak częściowo odtworzyć dzięki wspomnieniom wicepremiera Szałajdy (opublikowanym w 2020 r. pt. „Człowiek do zadań specjalnych"): „Woźniak wrócił do nas z informacją, że niczego konkretnego się nie dowiedział. Generał [Jaruzelski – red.] stwierdził wtedy, że ja mam tam dobre kontakty, znam ludzi w rządzie i mam do nich zadzwonić. Postanowiłem skontaktować się z premierem Nikołajem Ryżkowem. Dobrze się znaliśmy przez wiele lat, byliśmy po imieniu, jeszcze z czasów, gdy byłem dyrektorem Huty Katowice, bo z jego zakładu do huty dostarczano wiele urządzeń. Później został zastępcą kierownika Gospłanu, następnie sekretarzem KC i w końcu premierem. Zadzwoniłem z telefonu WCZ, aparatu bezpośredniej łączności. Ochrona Ryżkowa w jego willi połączyła mnie i mówię: *Nikołaj, szto to u Was słucziłos?* Jest katastrofa, my nie wiemy co robić, nie mamy się z kim połączyć. Czy ty coś o tym wiesz? Odpowiedział, że wie tylko, że ileś godzin temu w Czarnobylu coś się stało i nie ma więcej żadnych wiadomości. Nie wiedzieliśmy, co mamy robić, zatem poprosiłem go, by przysłali do nas swoich specjalistów. I na polecenie Ryżkowa w tym samym dniu specjalny samolot z nimi przyleciał w godzinach południowych. Ale oni nie powiedzieli dużo więcej, tyle, że jest radioaktywna chmura i badają przyczyny katastrofy w elektrowni. Zostaliśmy zostawieni sami sobie".

Najważniejszą decyzją z nocnego posiedzeniu w gmachu KC było powołanie komisji rządowej pod przewodnictwem Szałajdy. Było to prowizorium, ale wobec braku regulacji najlepsze z możliwych – komisja otrzymała bowiem szerokie uprawnienia i mogła komenderować wszystkimi resortami i instytucjami centralnymi w zakresie przeciwdziałania skażeniu radiologicznemu. Była to jedna z przyczyn późniejszej skuteczności rządu PRL w radzeniu sobie ze skutkami katastrofy, umożliwiająca prowadzenie akcji o zasięgu ogólnopolskim. Najważniejszą z nich było podanie płynu Lugola prawie wszystkim dzieciom.

Obrzydliwa ciecz

Większość dzisiejszych pięćdziesięcio- i czterdziestolatków ma zapewne to skojarzenie z katastrofą w Czarnobylu: obrzydliwy smak płynu Lugola. „Miałam dziewięć lat. Pamiętam, że mama zabrała nas do przychodni. Ten płyn był chyba ciemnobrązowy, a na pewno smakował obrzydliwie". „Miałam wtedy 14 lat i do dziś pamiętam ten obrzydliwy smak ciemnobrązowej cieczy, łeeeeeeee" – piszą anonimowi forumowicze na portalu Onet.pl. Charakterystyczny kolor płynu sprawił, że szybko zaczął być ironicznie określany jako „ruska coca-cola". Oczywiście miało to związek z miejscem pochodzenia skażonego powietrza.

Czy była to akcja potrzebna i skuteczna? Aby odpowiedzieć na to pytanie, trzeba przypomnieć przesłanki, które stały za decyzją o jej przeprowadzeniu. Specjaliści z komisji rządowej, którzy po raz pierwszy zebrali się 29 kwietnia, rozważali kilka wariantów rozwoju sytuacji. Przyjęli, że istnieje ryzyko dalszego napływania skażonego powietrza nad Polskę.

Ponadto mieli już wiedzę na temat składu izotopowego powietrza, co pozwoliło określić, że największe zagrożenie stanowi radioaktywny jod. Był on niebezpieczny zwłaszcza dla dzieci ze względu na „jodochwytność" ich tarczyc. Istniało ryzyko, że gruczoł ten będzie pochłaniał radioaktywny jod z powietrza, co może stać się przyczyną schorzeń tarczycy, z nowotworem włącznie.

Zapobiec temu miało właśnie podanie płynu Lugola, w którym obecny był jod nieradioaktywny. W ten sposób „blokowano" tarczyce dzieci, aby nie pochłaniały pierwiastka radioaktywnego, który pojawiał się w ich organizmie wraz ze skażonym powietrzem i pożywieniem.

Polskie doświadczenie

Sama akcja została przeprowadzona niezwykle sprawnie, głównie dzięki ofiarnej pracy personelu służby zdrowia i farmaceutów. Nie oznacza to jednak, że nie było niedociągnięć. Sceny z tłumem matek i dzieci czekających godzinami pod przychodniami na płyn Lugola nie należały do rzadkości. Jednak w ciągu kilku dni stabilny jod podano w Polsce ok. 17,5 mln ludzi. Było wśród nich również ok. 7 mln dorosłych, co oznacza, że akcja objęła ponad 95 proc. dzieci oraz – choć nie było to obligatoryjne – 23 proc. dorosłych. Warto też dodać, że nigdy dotąd nie zastosowano takiego działania na taką skalę; w literaturze światowej określano je jako „*Polish Experience*". Polskie doświadczenie Światowa Organizacja Zdrowia wykorzystała do sformułowania rekomendacji działań profilaktycznych w razie wystąpienia skażenia radiologicznego.

Pojawili się też krytycy wskazujący, że było to działanie na wyrost, nieuzasadnione wielkością i okresem występowania skażenia. Trzeba jednak zaznaczyć, że polscy specjaliści nie wiedzieli, jak długo będzie ono trwało, i w tej sytuacji woleli dmuchać na zimne. Poza tym porównanie liczby przypadków schorzeń tarczycy u dzieci na pograniczu polsko-białoruskim wykazało, że wśród polskich dzieci występują one zdecydowanie rzadziej, co

RADIO KRAKÓW
Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM www.radiokrakow.pl

KRZYSZTOF SITEK / PAP

Płyn Lugola podawany w szkolnym gabinecie lekarskim, Polska, 30 kwietnia 1986 r.

SŁAWOMIR WOJNO / PAP

Pochód pierwszomajowy, Warszawa, 1986 r.

może wiązać się z przyjęciem przez nie w 1986 r. płynu Lugola.

Pochody muszą pójść

Rząd PRL zareagował na problem „jodochwytności" dziecięcych tarczyc szybko i zdecydowanie. Z drugiej jednak strony nie podjął innych działań, które mogłyby zminimalizować ryzyko. Do takich należałoby zwłaszcza odwołanie pochodów pierwszomajowych albo choćby wykluczenie z nich dzieci. Postulat ten wysuwali zresztą niektórzy eksperci z komisji rządowej. Ale rządzący uznali najwyraźniej, że nie mogą sobie na to pozwolić. Podobnie jak w Kijowie i innych miastach Związku Sowieckiego, także w Polsce pochody musiały się odbyć. Miał to być sygnał dla świata i własnych społeczeństw, że sytuacja nie jest na tyle groźna, by sięgać po drastyczne środki. Poza tym w kręgach władzy żywa była obawa przed wybuchem paniki, stąd niezwykła ostrożność w podejmowaniu radykalniejszych kroków oraz bardzo oszczędna i zdawkowa polityka informacyjna prowadzona w tamtych dniach.

Brak wyczerpujących i rzetelnych informacji powodował jednak efekt odwrotny od zamierzonego. Dawał pole plotkom, głównie tym wyolbrzymiającym zagrożenie, co z kolei potęgowało obawy i wywoływało niekiedy panikę. Jej najbardziej widocznym przejawem było masowe wykupowanie artykułów spożywczych. Najbardziej pożądane były rzecz jasna te wyprodukowane jeszcze przed katastrofą.

Brak informacji i związana z tym frustracja znalazły ujście w licznych dowcipach i parafrazach sloganów propagandowych, np.: „Spełniło się marzenie Lenina – komunizm promieniuje na cały świat", „Niech się świeci 1 Maja!", „Napromieniowani całego świata, łączcie się!".

■■■

Polacy przestraszyli się elektrowni jądrowych i nie chcieli budowy jednej z nich w kraju. Była to jedna z głównych przyczyn upadku polskiego projektu atomowego i odstąpienia w 1990 r. od budowy Elektrowni Jądrowej „Żarnowiec".

W istocie jednak katastrofa czarnobylska i jej skutki nigdy nie stały się tematem przepracowanym. Polacy nie dowiedzieli się, jakie było rzeczywiste zagrożenie i czy decyzja o rezygnacji z własnej elektrowni jądrowej miała uzasadnienie. Tematy te, pozornie dotyczące dalekiej przeszłości, w wymiarze psychologicznym są wciąż aktualne choćby w kontekście obecnych planów budowy polskiej siłowni jądrowej. © KAMIL DWORACZEK

Autor jest historykiem, pracuje w Oddziale IPN we Wrocławiu. Specjalizuje się w najnowszych dziejach Polski. Autor książek, m.in. „Niezależne Zrzeszenie Studentów 1980–1981", „NSZZ Solidarność w PKP w latach 1980-1989. Przykład Dolnośląskiej Dyrekcji Okręgowej Kolei Państwowych"; redaktor tomu 3 i 4 „Encyklopedii Solidarności". Obecnie pisze książkę o skutkach katastrofy czarnobylskiej w Polsce, która ukaże się w 2022 r.

NAUKA

JAK ZBADAĆ BADANIA

W czasie pandemii zaufanie do nauki i jej odkryć może być sprawą życia i śmierci. Nadszedł czas, by usprawnić sam proces uprawiania nauki.

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Hans-Ulrich Wittchen był gwiazdą niemieckiej psychiatrii i psychologii. Jednym z najbardziej znanych i szanowanych specjalistów od zdrowia psychicznego, autorem podręczników dla lekarzy i terapeutów, poradników dla pacjentów oraz artykułów naukowych, które cytowano blisko 70 tys. razy. Ale jego dziedzictwo właśnie się zachwiało.

Dwuletnie śledztwo, które na jego macierzystym Uniwersytecie Technicznym w Dreźnie przeprowadzono w sprawie jednego z jego badań, ujawniło dowody na manipulację i próby zatarcia jej śladów. Dochodzenie skupiło się na badaniu jakości opieki w niemieckich instytucjach zdrowia psychicznego. Kierowany przez prof. Wittchena projekt miał zaowocować planami rozwoju niemieckiej psychiatrii na najbliższe lata. Kosztował podatnika 2,4 mln euro. Według doniesień sygnalistów Wittchen miał naciskać na członków zespołu i zmuszać ich do fabrykowania danych. Komisja dyscyplinarna uznała, że faktycznie zebrano je tylko w 73 z 93 jednostek, które miały zostać ocenione, a „naruszenia były celowe i nie wynikały z zaniedbań".

Sprawą zajęła się już drezdeńska prokuratura. To jedno śledztwo może być zaledwie początkiem – naturalnie pojawia się pytanie o jakość realizacji innych projektów. „Kolejne bomby zegarowe mogą już tykać" – mówił magazynowi „Science" prof. Thomas Pollmächer, dyrektor centrum zdrowia psychicznego szpitala w Ingolstadt.

Prof. Wittchen nie odpowiada na pytania dziennikarzy, zasłaniając się trwającym dochodzeniem karnym, ale zaprzecza zarzutom i podkreśla, że badanie było „naukowo poprawne". Do raportu uniwersyteckiej komisji dołączono jego 70-stronicowy list odpierający zarzuty. Niemieckie Stowarzyszenie Psychologiczne w oficjalnym oświadczeniu poinformowało o powołaniu sądu koleżeńskiego, który może podjąć decyzję o unieważnieniu członkostwa Wittchena. Stowarzyszenie podkreśla, że w ciągu 25 lat swojego istnienia „nie spotkało się z niczym podobnym".

O skandalu może być głośno nie tylko ze względu na postać samego Wittchena – ale także z powodu narastających problemów, z którymi boryka się cała akademicka psychologia.

Przyszłość do przewidzenia

– Zjawisko fabrykowania danych istnieje od zawsze, ale dotyczy bardzo niewielkiego odsetka wszystkich badań – mówi „Tygodnikowi" dr Katarzyna Jaśko, psycholożka społeczna i popularyzatorka tzw. otwartej nauki. – Problemy częściej dotyczą zachowań, które nie są fałszerstwem, ale działaniem w swoistej szarej strefie. Chodzi np. o naginanie danych czy tak długie poszukiwanie w nich wyników istotnych statystycznie, by dało się na tej podstawie opublikować artykuł naukowy – dodaje dr Jaśko.

Jedną z podstawowych zasad nauki jest to, że wyniki badań powinny dawać się replikować – w założeniu, jeśli jeden zespół naukowców coś ustali, to każdy inny naukowiec, gdziekolwiek na świecie, powinien być w stanie powtórzyć badanie i otrzymać identyczne, albo przynajmniej bardzo zbliżone rezultaty. O tym zresztą mówi kryterium istotności statystycznej – wskazuje ono na prawdopodobieństwo, że uzyskany w badaniu rezultat nie jest wyłącznie dziełem przypadku.

Pewnie nawet jasnowidz nie przewidziałby, że tzw. kryzys replikacyjny w nauce rozpocznie się właśnie od badań nad jasnowidzeniem. W 2011 r. prof. Daryl Bem, szanowany psycholog społeczny z Uniwersytetu Cornella, opublikował w prestiżowym czasopiśmie „Journal of Personality and Social Psychology" wyniki prowadzonych od dekady badań, które miały wykazywać, że przewidywanie przyszłości (fachowy termin to „prekognicja") jest statystycznie możliwe. Publikacja wywołała niewielki skandal, a inni naukowcy postanowili powtórzyć eksperymenty. Nie było dla nikogo dużym zaskoczeniem, kiedy ich próby replikacji nie przyniosły przełomu w parapsychologii. Przyszłość uparcie nie dawała się przewidywać.

Próba replikacji wyników Bema stanowiła jednak katalizator do podjęcia

Mural walijskiego artysty Phlegma, budynek starej elektrowni w Sheffield, 2013 r.

DAVID HATFIELD / ALAMY STOCK PHOTO / BEW

na szerszą skalę prób weryfikacji i replikacji wyników badań prowadzonych przez nawet uznanych psychologów.

W 2015 r. zespół prof. Briana Noseka spróbował dokonać replikacji stu badań psychologicznych. Udało się to tylko w 39 przypadkach. W trzy lata później Nosek przygotował kolejny, międzynarodowy projekt replikacyjny. Dwustu naukowców z całego świata wzięło na celownik 28 badań. W eksperymentach uczestniczyło aż 15 tys. badanych – 60 razy więcej niż w badaniach, które miały być weryfikowane. Wyniki zgodne z oryginalnymi uzyskano w 14 przypadkach.

Mit Lady Makbet

Upadły m.in. badania sugerujące, że ludzie wychowujący się w większych rodzinach są bardziej altruistyczni, albo te wskazujące, że naruszenia moralnych standardów wywołują potrzebę fizycznej czystości – jak u Lady Makbet. Prof. Simine Vazire z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Davis podsumowała wyniki badania, pisząc: „Psychologowie powinni przyznać, że nasze wyniki nie są tak mocne, jak sądziliśmy, ani jak zapewniliśmy media czy polityków. To grozi w krótkim okresie podminowaniem naszej wiarygodności, ale zaprzeczanie istnieniu tego problemu w obliczu tak mocnych dowodów w długim okresie wyrządziłoby o wiele większe szkody".

Zgadza się z tym sam Brian Nosek. „To powinno przypomnieć nam o naszych wartościach – tłumaczył magazynowi „The Atlantic". – Lekcja, którą powinniśmy wyciągnąć z naszego projektu, ↦

↦ jest bardzo pozytywna. To reformacja. Nauka stanie się lepsza".

Nosek jest dyrektorem Center for Open Science (Centrum na rzecz Otwartej Nauki). I to właśnie ruch otwartej nauki zmierza do odnowy i uzdrowienia całego naukowego systemu, m.in. dzięki projektom replikacyjnym i zwiększaniu transparentności. – Ruch na rzecz reformowania nauki pojawił się, bo wspólnie zdaliśmy sobie sprawę, że sposób, w jaki nauka jest uprawiana, nie tylko często nie jest zgodny z naszymi wartościami, ale jest nieefektywny – tłumaczy dr Jaśko. – W ramach ruchu otwartej nauki próbujemy opisać wszystkie naciski, które funkcjonują wewnątrz systemu. To dążenie do tego, by naukę uprawiać w sposób bardziej transparentny, rzetelny i inkluzywny. Jeśli wiemy, że można zrobić coś lepiej, to po prostu róbmy to lepiej.

Naukowcy wskazują na wiele przyczyn, które doprowadziły do kryzysu. Jedną z najważniejszych może być nacisk, jakiemu podlegają badacze, by stale publikować. Często ze szkodą dla wartości samych badań. – Autorzy i autorki mają poczucie, że trzeba przedstawiać statystycznie istotne wyniki, i że udane badania to tylko takie, które przynoszą wyniki zgodne z przyjmowanymi na wstępie hipotezami, które wyprowadzono z jakiejś teorii. Ale informacja, że coś nie działa tak, jak oczekiwaliśmy, też jest ważna i powinna być publikowana – wyjaśnia psycholożka. – Są również inne problemy. To zwykłe, ludzkie błędy, które zawsze będą się zdarzać, bo np. ktoś źle policzył wyniki. To mogłoby być bardzo łatwe do skorygowania systemowego, gdyby inni badacze mieli w moje dane wgląd. Niestety, niska transparentność całego procesu utrudnia wychwytywanie błędów.

28 miliardów dolarów

Naprawa procesu weryfikacji jest ważna, bo dotyczy on nie tylko psychologii. Fakt, że kryzys replikacyjny jest kojarzony przede wszystkim z tą dziedziną, paradoksalnie może wynikać z tego, że to psychologowie jako pierwsi postanowili posprzątać swoje podwórko. Takie próby w innych dziedzinach są wciąż stosunkowo rzadkie. W 2019 r. przegląd literatury z zakresu ekologii i biologii ewolucyjnej znalazł zaledwie 11 badań replikacyjnych na 40 tys. opublikowanych prac naukowych. Z tej grupy zaledwie cztery zdołały pozytywnie zweryfikować oryginalne wyniki.

Kryzys replikacyjny wykracza poza psychologię. Jeden z raportów pokazał, że 50 proc. wszystkich badań nad rakiem nie przyniosło żadnych użytecznych danych.

Bardziej niepokojące są jednak wyniki prób replikacji eksperymentów medycznych. W 2012 r. prof. Glenn Begley, były szef badań nad nowotworami w firmie biomedycznej Amgen, opisał w komentarzu przesłanym „Nature" wyniki 10-letnich badań prowadzonych w tej firmie. Zespół Begleya spróbował w tym czasie replikować wyniki 53 badań z zakresu biologii nowotworów. Udało się to w zaledwie sześciu wypadkach. W 2011 r. podobne wyniki opublikowali naukowcy firmy Bayer – im udało się odtworzyć wyniki zaledwie 20-25 proc. wszystkich powtarzanych przez nich badań. Według opublikowanego w 2015 r. przez prof. Leonarda Freedmana z Global Biological Standards Institute opracowania 50 proc. wszystkich badań nad rakiem nie przyniosło żadnych użytecznych danych. Freedman szacuje, że w ten sposób zmarnowano aż 28 miliardów dolarów.

W tym samym okresie nauka dokonała rzeczywistych przełomów. Najlepszym przykładem jej efektywności są prace nad szczepionkami na SARS-CoV-2: dzięki bezprecedensowej mobilizacji w ciągu roku udało się opracować nie jedną, ale kilka różnych szczepionek na nowego wirusa. Ale kryzys replikacyjny, obecny ciągle w tle, przypomina, że cały system uprawiania nauki mógłby być o wiele bardziej efektywny i przejrzysty. Co w obliczu pandemii, kryzysu klimatycznego czy galopujących postępów technologii cyfrowych jest ważniejsze niż kiedykolwiek wcześniej.

Produkcja kiełbasy

Ważniejsze niż kiedykolwiek wcześniej jest też skuteczne informowanie społeczeństwa o stanie naukowej wiedzy i nowych odkryciach – i zaufanie do badaczy. Bezprecedensowe tempo badań naukowych towarzyszących pandemii – w styczniu 2021 r. naukowa baza PubMed zawierała już 90 tys. publikacji z hasłem „COVID-19" – rodziło też dezorientację u odbiorców, którzy nie wiedzieli, jak proces naukowy przebiega w praktyce. Dla naukowców normą jest to, że nowe ustalenia mogą z dnia na dzień wywrócić nasz stan wiedzy. W pandemii, gdy ten stan wiedzy przekładał się bezpośrednio na zmieniające się wskazania i decyzje, kształtujące życie milionów nienaukowców, takie zmiany nie były często wystarczająco jasno komunikowane. Wywoływały dezorientację i frustrację.

„Nagle wszyscy zaczęli patrzeć na pracę naukowców i zobaczyli na własne oczy, jak nieuporządkowanym procesem jest nauka" – mówi magazynowi „Chemical & Engineering News" prof. Kasisomayajula Viswanath, specjalista od komunikacji medycznej Uniwersytetu Harvarda. „Ludzie zobaczyli, jak produkuje się kiełbasę, i nie podoba im się to, co widzą" – kwituje w tym samym magazynie prof. Timothy Caulfield z Uniwersytetu Alberty.

To jednak wielka szansa i na wyjaśnienie laikom tego, jak w rzeczywistości tworzy się naukę – ze wszystkimi sporami towarzyszącymi każdemu naukowemu odkryciu – i na stworzenie lepszego, bardziej otwartego modelu nauki, który byłby i efektywniejszy, i budziłby większe zaufanie do jej odkryć.

– Wyprodukowanie szczepionek w rok po rozpoczęciu pandemii może zwiększyć zaufanie do naukowców – mówi dr Jaśko. – Pozytywnym efektem może być też lepsze zrozumienie tego, jak działa nauka. Ludzie zaczęli się orientować, czym są artykuły naukowe czekające na recenzję, tzw. preprinty, i dlaczego jednego dnia pojawia się preprint, a drugiego jego krytyka. Ten proces uruchomił też refleksję wśród samych naukowców odnośnie do tego, jak działa nauka w dobie kryzysu. To, co jedni nazywają kryzysem, dla innych może okazać się renesansem.

Na szczęście nauka pozostaje dla większości ludzi jedną z najbardziej wiarygodnych dziedzin. W 2018 r. fundacja Wellcome przeprowadziła globalny sondaż, w którym w 140 krajach wzięło udział 140 tys. badanych. Aż 72 proc. zadeklarowało zaufanie do naukowców. 73 proc. ufa lekarzom i pielęgniarkom. To bezcenny kapitał, zwłaszcza w czasach galopującej dezinformacji.

© WOJCIECH BRZEŹIŃSKI

Nie masz czasu czytać? Słuchaj!

W nowym cyklu

„Tygodnik” na ucho

co tydzień 5 wybranych tekstów z bieżącego wydania – do odsłuchania w dowolnym czasie, miejscu i na dowolnym nośniku.

Pobierz aplikację Audioteki z GooglePlay lub AppStore i słuchaj w dostępie dla Klubowiczów – dla nowych abonentów 14 dni gratis!

TYGODNIK POWSZECHNY

audioteka

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY

Podkast Powszechny

Zapraszamy do słuchania autorskich cyklów podkastów „Tygodnika Powszechnego”

Własny pokój
rozmowy Katarzyny Kubisiowskiej o kobiecej niezależności

#DOM
rozmowy Krzysztofa Storego o małej ojczyźnie

Miesiąc w nauce
z autorskim przeglądem newsów naukowych Łukasza Lamży

Punkt zwrotny
Katarzyna Kubisiowska i jej goście

Opowieści z Izraela
korespondencje Karoliny Przewrockiej-Aderet

Sztuka powszechnie nieznana
Magdalena Łanuszka odkrywa dla nas na nowo średniowieczne dzieła

Więcej bezpłatnych podkastów do odsłuchania na **powszech.net/podkast**

SALESmanago marketing automation

weź, słuchaj!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

KULTURA

KAPITAN AMERYKA

Może to znak czasu, że zabraknie go w tym roku na Oscarach? Ale przecież bardzo by się tam przydał taki dobry człowiek. Czy ktoś może nie lubić Toma Hanksa?

SEBASTIAN SMOLIŃSKI

Pod koniec „Mostu szpiegów" w reżyserii Stevena Spielberga (2015) amerykański prawnik grany przez Toma Hanksa wraca do domu po wypełnieniu misji dyplomatycznej w Berlinie Wschodnim. Mija pochłoniętą wiadomościami telewizyjnymi rodzinę i idzie na górę. Kiedy po chwili żona bohatera zagląda do pokoju, on leży plackiem w ubraniu na łóżku; jego stopy zwisają z materaca. Spielberg celebruje ten moment – kilkanaście długich sekund, w których skarb narodowy Ameryki śpi po wycieńczającej podróży do obcego kraju.

Oto wreszcie Tom Hanks jawi się nam jako człowiek zasługujący na bezwarunkowy odpoczynek, który czeka na niego po przekroczeniu progu domu. Zdecydowana większość jego ekranowych przygód to bowiem ciągły ruch i tułaczka – wymuszona lub dobrowolna ucieczka z amerykańskich przedmieść. Widać ten kontrast w „Kapitanie Phillipsie" (2013) Paula Greengrassa. Jedno cięcie przenosi nas z nowoczesnego amerykańskiego lotniska do ubogiej somalijskiej wsi. Wkrótce jako kapitan Hanks będzie musiał bronić kontenerowca „Maersk Alabama" i jego załogi przed atakiem piratów.

Mit uosabiany przez aktora to w dużej mierze mit dobrej Ameryki – mocarstwa z zasadami i rzekomo uniwersalnymi wartościami. W tej opowieści o USA – tak nośnej, odpornej na krytykę i kuszącej pomimo geopolitycznych zmian – nie brak sprzeczności i niedopowiedzeń; musimy ją ciągle uwspółcześniać. Tom Hanks jako wierny, szlachetny żołnierz imperium i zarazem „miły gość" już dawno wziął na swoje barki rolę prawdziwego Kapitana Ameryki. W podzielonym i skłóconym kraju jest dzisiaj wyjątkowo potrzebny, choć – jak sugeruje Spielberg – nawet superbohaterom czasami zwyczajnie brakuje sił.

Tom Hanks, 2019 r.

DANIEL DORSA / THE NEW YORK TIMES AGENCY / EAST NEWS

Hanks wyobrażony

Przypięta do Hanksa łatka „miłego gościa" (Mr. Nice Guy) to zarówno jego atut, jak i słodkie przekleństwo. Powszechnie uważa się go za najsympatyczniejszego mężczyznę w Hollywood i może dlatego rzadko wciela się w czarne charaktery. Chociaż nie czyni swojego pozaekranowego życia przedmiotem masowej konsumpcji, to i tak sprawia wrażenie człowieka niezwykle bliskiego, swojskiego i dostępnego, kogoś, do kogo zagadalibyśmy bez wahania.

Na wyobrażoną osobowość Hanksa składają się jego kreacje w najważniejszych filmach lat 90., opowieści świadków o jego dobrodusznej naturze i szczodrości; ujmujący wizerunek milionera, który nie obnosi się ze swoim bogactwem i władzą; obrazek szczęśliwej rodziny, jaką tworzy z aktorką i piosenkarką Ritą Wilson oraz dziećmi; a także nieautoryzowany przez gwiazdora przemysł wytwarzający jego mityczny status – status najlepszego, co przydarzyło się Ameryce w ostatnich dekadach.

Jego wizerunek jest większy niż jego życie, ale nie większy niż sama Ameryka. W postaciach, w które się wciela, odbija się powojenny *pax americana* i rojenia o końcu historii; sentymentalne opowieści o sprawiedliwym państwie i kraju, w którym prawo do poszukiwania szczęścia zostało wpisane w deklarację niepodległości. Do otaczającego aktora przemysłu „fajności" powinniśmy jednak podchodzić ze sceptycyzmem. „The World According to Tom Hanks: The Life, the Obsessions, the Good Deeds of America's Most Decent Guy" Gavina Edwardsa, skrzyżowanie biografii z poradnikiem, może nam dodać otuchy w trudnych chwilach, ale skręca w stronę naiwnego coachingu.

Edwards ułożył „Dziesięcioro Przykazań Toma Hanksa", które balansują między oczywistymi („Podążaj za swoimi pasjami", „Traktuj kobiety z szacunkiem") a takimi, które pachną poppsychologią („Ceń swoich przyjaciół, ale zaakceptuj własną samotność"). Hanks zostaje zamieniony w nieszkodliwą maskotkę i everymana, który wie, jak zachować się w każdej sytuacji, i od którego możemy dowiedzieć się, jak żyć. To się sprzedaje. Tymczasem jeśli postaci, z którymi kojarzymy gwiazdora, mają dla nas jakiś morał, to brzmi on bardziej prozaicznie: wszystkiego musimy doświadczyć na własnej skórze.

To po prostu miły gość

Po rozwodzie rodziców mały Tom (ur. 1956) spędzał godziny przed telewizorem. Dorastał w cieple kalifornijskiego słońca, ale w rodzinach zastępczych. Ominęła go kontrkultura, choć zakochał się ↦

↦ w „2001: Odysei kosmicznej" Stanleya Kubricka z 1968 r. i później nazwał swoją firmę producencką na cześć tego filmu. Wkroczył w dorosłość, kiedy dobiegał końca złoty okres Nowego Hollywoodu – wysypu autorskich arcydzieł pokroju „Ojca chrzestnego" Coppoli i „Chinatown" Polańskiego. Dekadą, w której zaczął wykuwać swój wizerunek, były lata 80., czyli epoka republikańskiego prezydenta Ronalda Reagana.

Reaganomatografię najczęściej kojarzymy z siłaczami pokroju Arnolda Schwarzeneggera i Sylvestra Stallone'a, ewentualnie ze skierowanymi do jak najszerszej widowni filmami o przygodach chłopców zamieszkujących przedmieścia dla białych. Ale artystycznych korzeni Hanksa powinniśmy szukać gdzie indziej – na płodnym i zwariowanym terenie amerykańskiej komedii, która w latach 80. przeżywała renesans. Grono wykonawców, w tym Steve Martin, bracia Belushi, Chevy Chase i Eddie Murphy, ożywiało coraz bardziej skonwencjonalizowany i konserwatywny świat amerykańskiej rozrywki, wprowadzając do filmów elementy anarchii, wygłupu i szczeniackiej zgrywy. Hanks wystąpił wówczas u boku dwóch lubianych przez publiczność komików: Dana Aykroyda i Johna Candy'ego. Brał wszystkie zlecenia, jakie pojawiały się na horyzoncie.

W „Dużym" (1988) Penny Marshall udało się schwytać paradoks dojrzewającego Hanksa: dziecka poruszającego się w ciele mężczyzny. Życzenie dwunastolatka, by zamienić się w dorosłego, spełnia się – a Tom wykorzystuje swój urok osobisty i trzpiotowatość, żeby nasycić fantastyczny koncept wiarygodnością. Na ekranie prezentuje się wystarczająco okazale: burza kręconych, ciemnych włosów przypominająca brokuł; wydatny nos, wysokie czoło i lekko odstające uszy. Nie jest to aparycja amanta, ale pierwszorzędnego hultaja. W tych rozmiękczonych rysach, zadowolonej, rumianej twarzy, ufnych oczach i niskim, ironicznym głosie jest coś ujmującego – chłopięca, zaraźliwa radość z psot i dobrej zabawy, kalifornijski luz oraz nienachalna pewność siebie. Hanks rozkwitał równolegle z wielkomiejską kulturą dynamicznych *yuppie* i pęczniejącym rynkiem dla najmłodszych konsumentów, rozkochanych w „E.T." i „Gwiezdnych wojnach".

Podsumowanie tego okresu stanowi zapomniana komedia „Na przedmieściach" (1989) Joego Dantego, mistrza od przekuwania amerykańskiego kiczu w satyrę. Hanks jako Ray Peterson, trochę arogancki *yuppie*, woli spędzić urlop w swoim domu z przystrzyżonym trawnikiem, niż wyjechać na łono przyrody. Wkrótce razem z sąsiadami trafia na trop intrygi z pograniczna horroru i kryminału. To amerykańska Nibylandia zamieszkana przez beztroskich Piotrusiów Panów, obiecująca frajdę i dreszczyk emocji bez ruszania się z sennych przedmieść.

Choć rys bezczelności i pedanterii prześwituje czasem z postaci granych przez Hanksa na wczesnym etapie kariery, pozostawał on sympatycznym, „miłym gościem". Miłym, czyli typowym, nijakim, bez wyrazistej tożsamości i mocnego charakteru. Być może najbardziej zaskakującą decyzją w jego karierze było odpuszczenie roli prezentera pogody w „Dniu świstaka" (1993) Harolda Ramisa, komediowym arcydziele, w którym nieśmiertelną kreację stworzył w końcu Bill Murray. Hanks wiedział, że widownia błyskawicznie rozpozna w nim dobrodusznego gościa, co czyniłoby film przewidywalnym: byłoby od początku oczywiste, że pyszałkowaty pan od pogody nawróci się na ścieżkę empatii i zrozumienia. Murraya nikt o to nawet nie posądzał.

Koniec historii – na chwilę

Nie wszystkie wczesne filmy Hanksa odniosły sukces, ale nawet z legendarnych porażek („Fajerwerki próżności" Briana De Palmy z 1990 r.) wychodził bez większego szwanku. Dopiero gdy trafił w ręce reżyserów, których filmy cieszyły się rekordową popularnością, jego wizerunek okrzepł na dobre. W latach 90. aktor zaczął uosabiać szlachetne wartości i stał się najważniejszym narzędziem hollywoodzkiej *soft power*, podobnie jak przed laty James Stewart, do którego był często porównywany. Robert Zemeckis, Ron Howard i Spielberg urobili, niczym z gliny, Amerykanina nowej generacji. Obywatela wolnego świata, który potrafi przekroczyć zimnowojenne fobie i stanąć na czele pochodu demokracji sprzymierzonej z liberalizmem – pochodu, który miał przypieczętować klęskę komunizmu.

„Filadelfia" (1993) Jonathana Demme'a i „Forrest Gump" (1994) Zemeckisa – dwa filmy, za które Hanks, rok po roku, otrzymał Oscary (przed nim udało się to tylko Spencerowi Tracy'emu) – nie były jeszcze wychylone w przyszłość. Pierwszy rozlicza Stany Zjednoczone z obojętności wobec epidemii AIDS (Hanks gra umierającego prawnika-geja, który pozywa własną kancelarię za bezprawne zwolnienie), drugi stanowi przyśpieszony kurs amerykańskiej historii, opowiadanej przez niewinnego Forresta, który lubi biegać i ma złote serce, ale nie jest w stanie pojąć zmian społecznych, które uformowały jego pokolenie. Uważany przez jednych za nieznośnie prymitywną wizję XX wieku, ceniony przez innych za epicki rozmach i porywający warsztat, „Forrest Gump" pozostaje świadectwem niewiarygodnej uniwersalności Hanksa, który potrafi w sentymentalnej przypowieści zagrać bez fałszywej nuty.

Człowiek Hanksowski to zatem w dużej mierze dzieło Zemeckisa. Korzystając z talentu aktora, reżyser w dwóch filmach przerobił na amerykańską modłę dwie kluczowe figury nowożytnej literatury europejskiej: wolterowskiego Kandyda (doświadczający przypadkowości dziejów Forrest Gump) i Robinsona Crusoe. Rozbitkiem na bezludnej wyspie staje się pracujący dla firmy FedEx inżynier w „Cast Away: Poza światem" z 2000 r. To bodaj najbardziej korzystająca z fizyczności rola Hanksa, który rzadko odsłania na ekranie swoje ciało.

W pierwszych scenach aktor powraca do swojego wcielenia z lat 80. Jesteśmy w Rosji, w centrum logistycznym FedEx, a ogarnięty obsesją wydajności bohater poucza lokalnych pracowników o znaczeniu każdej sekundy i konieczności jak najszybszego rozdzielania paczek. Część sortowania odbywa się na placu Czerwonym, jak mówi bohater: „w cieniu grobu Lenina". Patrząc z dzisiejszej perspektywy, wizja nieskrępowanego, pokojowego przepływu towarów i amerykanizacji całego świata wydaje się nie tylko fałszywa, ale też obraźliwa, biorąca makdonaldyzację za dobrą monetę i nielicząca się z jej społecznymi kosztami. Pamiętajmy jednak, że człowiek Hanksowski jest przede wszystkim Amerykaninem – wysiłki ku chwale imperium i własnej gospodarki napawają go dumą.

Uniwersum Toma Hanksa

Mimo ról przykładnych dowódców w „Apollo 13" (1995) Howarda i „Szeregowcu Ryanie" (1998) Spielberga, Hanks nigdy nie portretował samców alfa. W latach 90., dzięki współpracy ze scenarzystką i reżyserką Norą Ephron i roz-

kosznym sparowaniu z Meg Ryan, stał się kluczowym aktorem komedii romantycznych. W „Bezsenności w Seattle" (1993) i „Masz wiadomość" (1998) dostaliśmy najbardziej apetycznego Hanksa, jakiego mogliśmy sobie wyobrazić: wrażliwego, uroczo niezdarnego, ale – kiedy sytuacja tego wymaga – przebojowego i przejmującego inicjatywę.

Anthony Lane, jeden z najlepszych krytyków lat 90., zanotował: „Najlepszy powód, żeby obejrzeć »Bezsenność w Seattle« to Tom Hanks, ale przecież on zawsze jest najlepszym powodem, żeby obejrzeć jakiś film". Hanks staje się jakością samą w sobie – to synonim nowoczesnego mężczyzny, wzór do naśladowania i obiekt westchnień. Fani i fanki komedii romantycznych mogą przeczytać pełną nawiązań do kina popularnego powieść Kerry Winfrey „Waiting for Tom Hanks" („Czekając na Toma Hanksa"), w której celem bohaterki jest znalezienie miłości i mężczyzny jak najbliższego ekranowemu ideałowi. Każdemu jego Hanks – i oby na wieki wieków.

Jesteśmy o krok od samowystarczalnego Hanksowskiego uniwersum. Obowiązują w nim inne prawa fizyki: świat napędzają uśmiech, spontaniczność i życzliwość. Świadkujemy też zbiegom okoliczności, które łatwo pomylić z przeznaczeniem. Ostatnią nominację do Oscara Hanks otrzymał w zeszłym roku za rolę w filmie „Cóż za piękny dzień" – o Fredzie Rogersie, autorze słynnych programów telewizyjnych dla dzieci. Cofnijmy się 30 lat i spójrzmy na wspomniane wcześniej „Na przedmieściach", a zobaczymy, jak *yuppie* grany przez Hanksa ogląda właśnie program Pana Rogersa.

Pierwszą ważną rolą aktora był występ w wyprodukowanym przez Disneya „Plusku" (1984) u boku syreny granej przez Daryl Hannah. Trzydzieści lat później Hanks wciela się w Walta Disneya w „Ratując pana Banksa". W „Cast Away" bohater pije w samolocie Dr. Peppera, ulubiony napój Forresta Gumpa. Hanks pojawia się też w innych filmach i książkach: upokorzona przez przyjaciółki bohaterka „Druhen" (2011) Paula Feiga wzrusza się na kulminacyjnych scenach „Cast Away"; Barack Obama w autobiografii „Ziemia obiecana" wspomina, jak podczas porannych ćwiczeń w Białym Domu rozpraszał swojego trenera dyskusjami w rodzaju „Tom Hanks vs. Denzel Washington".

> Fotografuje się z małymi samochodami. **Szczególną miłością zapałał ponoć do polskiego fiata 126p.** Hanks jest więc też trochę nasz, udomowiony dzięki językowi motoryzacji.

Nie zapominajmy też o kabale: inicjał imienia aktora tworzy wraz z nazwiskiem słowo *thanks*, a oprócz Święta Dziękczynienia (*Thanksgiving*) można też obchodzić *Hanksgiving*. I ostateczny dowód na to, że Hanks jest najprawdziwszym Amerykaninem: wśród jego przodków znajdziemy prezydenta Abrahama Lincolna, którego, o dziwo, nigdy nie zagrał. Na razie.

Bohater podzielonej Ameryki

Po 11 września optymistyczny wizerunek aktora musiał ulec zmianie. Trudniej było mu tworzyć zapadające w pamięć kreacje, choć jego występ w „Terminalu" (2004) Spielberga skłonił Matta Zollera Seitza do refleksji nad tym, jak Hanks wchodzi w komiczną interakcję z przedmiotami: „tak radośnie (i może z równą elegancją) jak [Jacques] Tati, Charlie Chaplin i Fred Astaire". Od lat 30. nie ma większego komplementu, niż zostać porównanym do Astaire'a – Tom może więc spać spokojnie.

W nowym stuleciu Hanks wykorzystał sytuację, w której nic nie musi, a może prawie wszystko: ma pokaźny i godny podziwu dorobek producencki, wyreżyserował swój drugi film fabularny, pisze opowiadania i kolekcjonuje maszyny do pisania – ma ich ponad sto. Robi zdjęcia porzuconym na ulicy rękawiczkom (spójrzcie na jego Instagram) i fotografuje się z małymi samochodami. Szczególną miłością zapałał ponoć do polskiego „malucha", czyli fiata 126p. Hanks jest więc też trochę nasz, udomowiony dzięki przekraczającemu granice językowi motoryzacji.

Dla miłośników starego Hanksa – uroczego spryciarza i dzielnego amerykańskiego obywatela – nowa odsłona aktora, skupionego na rolach w różnej maści biografiach, może wywoływać niedosyt. Tak jak w finale „Mostu szpiegów", Tom pozwala sobie coraz częściej na zmęczenie i słabości. W swoim ostatnim jak dotąd filmie, westernie „Nowiny ze świata" (2020) Paula Greengrassa, stworzył postać naznaczoną melancholią. Kapitan Jefferson Kyle Kidd, weteran wojny secesyjnej, nie tyle celebruje amerykańską solidarność, ile boleje nad toczącymi kraj podziałami i plagami: rasizmem, chciwością, okrucieństwem wobec słabszych, biedą, rozłamem na Północ i Południe. To adekwatna, choć cierpka wizja Ameryki, która goi rany po populizmie i niszczącym języku Trumpa oraz nie radzi sobie z zasypywaniem ideologicznych podziałów.

Hanks nie ma możliwości, by w pojedynkę zjednoczyć Amerykanów, którzy towarzyszyli mu w kosmosie, na morzu, podczas inwazji na Normandię i flirtu z Meg Ryan. Może natomiast wciąż uosabiać amerykańskie marzenie o przyzwoitości i życiu dobrze przeżytym – i odpocząć dopiero wtedy, kiedy zakończy misję.

© SEBASTIAN SMOLIŃSKI

TP CONRAD FESTIVAL

Z przyczyn niezależnych od redakcji pierwszy numer „Magazynu Conrad" ukaże się w następnym wydaniu „Tygodnika Powszechnego". Przedstawimy w nim hasło i ideę przewodnią tegorocznej edycji Festiwalu Conrada, a także wybranych gości. Największy w Polsce festiwal literacki – współorganizowany przez Fundację Tygodnika Powszechnego, Krakowskie Biuro Festiwalowe oraz Miasto Kraków – odbędzie się w tym roku w dniach 18–24 października.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Ludożerka z ludzką twarzą

ROBERT KASPRZYCKI

Głos, niegdyś drapieżny i seksowny, zmienił mu się w ciepły, lekko schrypnięty, jak miękka poducha z wina i nikotyny. Głos dający otuchę i nadzieję.

Trudno pożegnać kogoś, kogo znasz od zarania swego świadomego życia, od pierwszego włączenia czarno-białego ametysta, radia czy adapteru Bambino. W połowie lat 70. XX wieku Krzysztof Krawczyk był dosłownie wszędzie. Może z wyjątkiem lodówki, bo tę niełatwo było zdobyć – władza po to przecież inwestowała w rozrywkę, by odwracać uwagę od „bolączek i przestojów w pracy".

Pan bosman

Urodził się 8 września 1946 r. w Katowicach. Jako dziecko muzykalnych rodziców, Januarego i Anny (on – baryton „włoski", ona – sopranistka), zwiedził kulisy teatrów muzycznych Katowic, Białegostoku i Poznania. Na koniec wylądował w Łodzi i tam właśnie zadebiutował, jak to nazwał jego przyjaciel Marian Lichtman, „piosenką aktorską" pod tytułem „Boli mnie ząb".

Łódź miała artystowsko-dekadencki klimat, a przy Piotrkowskiej, „»Pietrynie«, najdłuższej ulicy świata", pod numerem 77 zaczął w roku 1963 grać zespół znany później jako Trubadurzy. Krzysztof Krawczyk, Marian Lichtman, Sławomir Kowalewski i Jerzy Krzemiński, do których dołączył wkrótce Ryszard Poznakowski, byli obok Czerwonych Gitar jednym z najpopularniejszych zespołów bigbitowych, łączącym elementy rocka z polską muzyką ludową. Ubiory sceniczne mieli swoiste, jakby ktoś pomylił trubadurów z muszkieterami. Wylansowali kilka sporych przebojów: „Kasia", „Znamy się tylko z widzenia", „Krajobrazy", „Cóż wiemy o miłości" czy „Przyjedź, mamo, na przysięgę", które pomogły im zwiedzić kawałek świata i pół Sowietskowo Sojuza.

Po dziesięciu latach grania w Trubadurach Krawczyk poczuł, że czas ruszyć własną drogą. Solowa kariera byłego członka lubianego zespołu nigdy nie jest prostym przełożeniem uprzedniej popularności – doskonale wiedzą o tym Peter Gabriel, Phil Collins czy Ryszard Rynkowski. Wychodząc z Trubadurów miał Krawczyk nadzieję, że przeniesie tę energię, jednak, jak wspomina, przyszło mu błądzić między rzeczami ambitnymi – pieśniami rosyjskimi, cygańskimi, żydowskimi, inspiracjami biblijnymi a, jak to sam określał, „ludożerką".

Przez pewien czas grał w warszawskich lokalach „do kotleta", śpiewał poezję Jesienina wplecioną w spektakl „Staroświecka komedia" w Teatrze Polskim w Poznaniu. Niedługo potem nawiązał współpracę z orkiestrą Alex Band Aleksandra Maliszewskiego i od tego momentu można mówić o fali wznoszącej. Współpraca ze znakomitymi kompozytorami i aranżerami: Maliszewskim, Jerzym Milianem, Wojciechem Trzcińskim, sprawiła, że i teksty zaczęły pisać dla niego znakomitości: Jonasz Kofta, Jerzy Kleyny, Wojciech Młynarski, Janusz Kondratowicz, ba, nawet Wojciech Mann. Niezmiennie wspiera go menadżer – Andrzej Kosmala, który, rzecz w branży niezwykła, zostanie z nim przez ponad 40 lat.

Z perspektywy czasu najmocniejszym punktem wydaje się „Parostatek" (1975), do słów – uwaga – Tadeusza Drozdy. Rzecz napisaną podobno w 15 minut przez Miliana, zagraną na festiwalu w Opolu, firmował przystojny wąsacz z szelmowskim uśmiechem, odziany w szykowny, marynarski strój. Smaczny miks energii i nostalgii, mocarny aranż oparty na dęciakach, podparty „bosmańskim" barytonem Krawczyka, brzmiały jak apoteoza czystej radości. Szkoda tylko, że, jak się okaże, będzie to bal na Titanicu.

Posiadając tak świetne zaplecze muzyczne, mógł Krawczyk eksplorować różnorodne gatunki, od bigbandowego „Parostatku", przez pościelowe „Pamiętam ciebie z tamtych lat" (tekst Bogdana Olewicza, proszę Państwa) po świetnie brzmiący „Rysunek na szkle", z rasowym tremolem buzuki, i to jeszcze zanim zawitał do nas Demis Roussos.

Były to czasy, kiedy nad kształtem piosenek pracował sztab ludzi – preferowano podział obowiązków, pojawiał się autor muzyki, autor słów, aranżer, który

TOMASZ JASTRZĘBOWSKI / REPORTER

Finał ostatniej trasy koncertowej Krzysztofa Krawczyka. Warszawa, 15 grudnia 2019 r.

bywał też często producentem albumów. Niekiedy zespoły posiadały formalnych bądź nieformalnych dyrektorów literackich – *vide* Marek Grechuta (Leszek Aleksander Moczulski), Skaldowie (Leszek Aleksander Moczulski i Agnieszka Osiecka) czy krakowscy Wawele, których dyrektorem „lirycznym" była sama Ewa Lipska. Muszkieterskie kostiumy Trubadurów, dziś łatwe do obśmiania, stanowiły element *show*, skoro zespół stawiał na rozpoznawalność wizualną. Dodać należy, że stroje sceniczne zaprojektował Trubadurom ponoć sam Szymon Kobyliński.

Jeśli chodzi o reakcję części krytyków, nasz bohater miał pecha, nie brał bowiem pod uwagę faktu, że o muzyce popowej często pisują ludzie, którzy jej otwarcie nie lubią, a ideałem zdają się im być wykonawca lub kapela tak niszowi, że szanuje ich jedynie recenzent i jego dwóch kolegów. W tej stawce Krzysztof Krawczyk nie miał szans, popełniając w ich oczach dwa największe przestępstwa, jakie może popełnić artysta estradowy – po pierwsze umiał śpiewać (ale nie śpiewał „ambitnie"), a po drugie kochała go publiczność, co jak wiadomo jest skazą, świadczącą o tym, że ktoś „się sprzedał".

Huśtawka

A Krawczyk właśnie chciał się sprzedać, uczony przez ojca, że opera, zanim stała się intelektualnym high lifem, była ułatwioną formą teatru, w której – by podtrzymać uwagę publiczności – śpiewano. Gdzieś w głębi kryło się też straszne słowo na „w" – wesele, brzmiące okropnie w uszach zarówno muzycznych decydentów, jak i samych muzyków, których jak wiemy Bóg stworzył do wyższych celów. A przecież wesele w samym swoim źródle oznacza wspólnotę, czystą radość wynikającą z kontaktu z ludźmi, bawienia ich, dania im chwili wytchnienia i odpoczynku. Tak przynajmniej sądził nasz bohater.

Niestety, przed jego oczami zamigotało marzenie o karierze międzynarodowej – pojawiła się propozycja niemieckiego Polydoru, który jako Krystoffa chciał go obsadzić w roli dyskotekowego samca alfa – a warto dodać, że sznyt niemiecki wkrótce zacznie dominować w naszej części Europy, dość stwierdzić, iż z krainy Goethego przyjechało do nas Boney M., a dekadę później Modern Talking. Nie dowiemy się, dlaczego zachodnioniemiecka eskapada spaliła na panewce. Ponoć maczał w tym swe krwawe paluchy Maciej Szczepański, ówczesny dyktator mediów, jedynowładca Telewizji Polskiej, który po przegraniu przez Krawczyka sopockiego Konkursu o Bursztynowego Słowika (1978) skutecznie uniemożliwiał mu obecność w radiu i telewizji.

Mający w zanadrzu zestaw przebojów, ale zmęczony boksowaniem się z polskim rynkiem i cenzurowaniem twórczości w polskich mediach, Krzysztof Krawczyk w 1979 r. wyemigrował do Stanów, gdzie przez kolejne lata koncertował m.in. w klubach Chicago, Las Vegas i Indianapolis. Od tej pory, rozdarty między Polską i Ameryką, skazany był na wieczne zaczynanie od nowa, pojawiając ↦

ZDZISŁAW NIEWĘGŁOWSKI / FORUM

Jeszcze raz z Trubadurami. Od lewej: Ryszard Poznakowski, Piotr Kuźniak, Krzysztof Krawczyk, Sławomir Kowalewski i Marian Lichtman. Teatr Wielki w Łodzi, kwiecień 1998 r.

↦ się i znikając – to harując w USA, to próbując naładować akumulatory w kraju.

Zagraniczne losy jego kariery powtarzają jakby schemat związany z karierami naszych rodaków – Czesława Niemena, Maryli Rodowicz, Czerwonych Gitar, Lady Pank, Maanamu, Republiki, TSA, Edyty Górniak czy Edyty Bartosiewicz – komuś się nie chciało, ktoś robił wbrew, ktoś chciał dać komuś nauczkę albo odebrać paszport. I *de facto* mało wiemy o mrocznej stronie tych lat, o upokorzeniach, o tym, jak musiał się czuć: tutaj noszony na rękach, tam łapiący pracę za barem, za kierownicą limuzyny, na dachu czy, jak się poszczęściło, u jubilera, gdzie pracował jako *diamond setter*.

Po pierwszym powrocie do Polski Krawczyk odbudowywał swoją karierę, jednak dobrą passę przerwał wypadek samochodowy, w którym odniósł poważne obrażenia – miał pękniętą żuchwę, uszkodzone kości policzkowe, złamaną szczękę, centralne zwichnięcie stawu biodrowego i złamaną nogę. Nie poddaje się, walczy, i od nowa zaczyna zdobywać pozycję. Ale jakiś czas później znów wyjedzie do Stanów, podpisze kontrakt z Hallmarkiem, zagra masę koncertów, nagra parę płyt i... wróci do Polski.

Wracając do kraju w latach 90. zapłaci frycowe za PRL-owskie *dolce vita*, kiedy stał się, chcąc nie chcąc, uosobieniem gierkowskiej propagandy sukcesu. Drzwi telewizji rządzonej przez ekipę młodych gniewnych, zwanych złośliwie „pampersami", są dla Krawczyka zamknięte. Ponownie „przyjmuje to na klatę". Ten fan Ala Jarreau, Tony'ego Bennetta, Franka Sinatry, Kenny'ego Rogersa pójdzie do Polsatu, by w „Disco Relax" zdobyć nową publiczność – proponując nie tyle „czyste" disco polo, co swoiste politalo disco. Szczęśliwie uniknął mrocznych związków z niesławną Blue Star, wydając swe płyty w konkurencyjnej Omega Music.

Brat łata

Dbając o publiczność, szanował swoich muzyków – po prostu grał, biorąc odpowiedzialność na siebie i za siebie, co swego czasu ujął brutalnie: musi dbać o swoją wagę, bo kiedy nie dba o wagę, pada mu kolano, a kiedy pada mu kolano – pada dwadzieścia osób, które są na jego utrzymaniu. Na dobrą sprawę nigdy nie miał zaplecza, był człowiekiem znikąd, człowiekiem z Łodzi, boatmanem dryfującym o własnych siłach, który chce zrobić karierę, bo wszystko mówi mu, że umie śpiewać, że potrafi bawić ludzi, że potrafi ich wzruszyć.

Potrafił zresztą także wzruszyć dystansem do siebie – w wywiadach obśmiewał często swe *emploi* z początków kariery – tego „cacusia" z rozszerzonymi nozdrzami, futrem na klacie, koszulą rozpiętą do połowy mostka, w obcisłych dzwonach i butach na wysokim obcasie. Część z nas pamięta też pewnie pastisz piosenki śpiewanej w oryginale przez megaprzystojniaka Julio Iglesiasa z gwiazdą country Willie Nelsonem – „Dziewczyny, które mam na myśli", w której jako Nelson towarzyszył Krawczykowi Bohdan Smoleń.

Czasy discopolowego czyśćca zakończy gest Niny Terentiew, która wpuści go do telewizji publicznej, oraz świetna płyta z Goranem Bregoviciem, która faktycznie da mu drugie życie. Album promowany był zabawnym teledyskiem, ukazującym Krawczyka w komicznej parodii Marlona Brando jako Vita Corleone, a sam utwór „Mój przyjacielu", galopujący w bałkańskim stylu, podkreślał odmienność tamtego rynku, gdzie umowna „weselność" nie wyklucza artystycznej prawdy.

Pokłosiem sukcesu z Bregoviciem będzie współpraca z producentem Andrzejem Smolikiem oraz m.in. Katarzyną Nosowską, Maciejem Maleńczukiem i Robertem Gawlińskim – czyli elitą naszego piosenkopisarstwa, dzięki której wydał album „...Bo marzę i śnię", rychło opromieniony platyną. Znalazł się tam również *cover* „Papa Was a Rolling Stone", z repertuaru The Temptations, a także hity, które przez wiele miesięcy grasowały na listach przebojów: „Bo jesteś ty", „Mijamy", „Chciałem być", „Jestem sobą".

Idąc za ciosem nagrał kolejną płytę, „To, co w życiu ważne", którą promował singiel „Lekarze dusz", nagrany z Muńkiem Staszczykiem, jednak zdecydowanie największym przebojem z płyty było „Trudno tak (razem być nam ze sobą...)", nagrane w duecie z Edytą Bartosiewicz – pewnie jeden z najlepszych polskich duetów, jakie kiedykolwiek nagrano.

Pójście drogą profesjonalistów, Elvisa Presleya, Sinatry czy Johnny'ego Casha, i skorzystanie z piosenek songwriterów, niekiedy „nadwornych", którzy potrafią – wiem, marny to kalambur – skroić piosenkę dokładnie pod Krawczyka, umożliwiło mu dotarcie do publiczności młodszej o całe dekady. Co zabawne, spotkało się to z ostracyzmem części środowiska, które zarzuciło autorom zaprzedanie się Bestii, najgłośniej zaś krzyczeli ci, co nigdy nie mieli okazji się sprzedać. Do chóru dołączyli krytycy muzyczni – ze szczególnym uwzględnieniem Roberta Sankowskiego z „Gazety Wyborczej", który nazwał Krawczyka „symbolem estradowego obciachu" tudzież „bratem łatą show-biznesu". Swoją drogą trudno o większy komplement dla gwiazdy

– w świecie rocka takim bratem łatą był chyba jedynie Ryszard Riedel.

Z ludźmi, wśród ludzi

W wypowiedziach Krawczyka często pojawiało się słowo „diapazon" – oznaczające osiągnięcie niezmiernie szerokiego zestawu środków stylistycznych, Śpiewał i nagrywał piosenki rhythm and blues, swingujące, soulowe, rockandrollowe, country, dance, funky; sięgał także po reggae, kolędy, muzykę cygańską i biesiadną. Widać było w tym geście wolność wyboru, brak podział na „ambitne" i „ludożerkę", a wśród gatunków hołubionych przez Krawczyka pojawiało się „odkowbojone" country, znane z eksperymentów Elvisa, country flirtujące z gospel, skąd blisko już do duchowego zaplecza Arethy Franklin, do zachłyśnięcia duchem muzyki afroamerykańskiej.

Głos, niegdyś drapieżny i seksowny, zmienił mu się w ciepły, lekko schrypnięty, jak miękka poducha z wina i nikotyny. Amerykanie mają na takich wokalistów stosowne określenie *crooner* – ciepły, męski głos, dający oparcie, otuchę, nadzieję, owijający w strumień powietrza cały mrok tego świata.

Nie można mówiąc o Krzysztofie Krawczyku nie wspomnieć o niezwykłym nie tylko jak na polskie realia wątku duchowym. Wieczne poszukiwania stylu sprawiły, że przez lata był jak ronin, jak samuraj szukający pana, a oto stał się wojownikiem, który odnalazł Pana. Nie nam osądzać, czy jego nawrócenie (porzucił wiarę, kiedy jako szesnastoletniego chłopaka odumarł go ojciec) związane było z jego trzecią żoną, Ewą, czy sam uzmysłowił sobie kruchość i nieważkość naszego życia. Już wcześniej lubił wchodzić w tłum jak idol, jak charyzmatyk, jak *healer*, czerpiący siłę z ludzi. Od pewnego momentu jednak zachowywał się, jakby zrozumiał literalne znaczenie swego imię, Kristoforos – niosący Chrystusa, mówiąc o Nim bez wstydu i egzaltacji, ze sceny, w wywiadach, nie dzieląc ludzi na złych i dobrych. I bił z niego przedziwny spokój, dobroć, wyrozumiałość, współczucie.

MAREK LASYK / REPORTER

Podczas odsłonięcia gwiazdy ze swoim nazwiskiem w Alei Gwiazd na bulwarach wiślanych w Krakowie, lipiec 2008 r.

Jak sam mówił:
musiał dbać o swoją wagę,
bo kiedy nie dbał o wagę,
padało mu kolano,
a kiedy padało mu kolano – padało dwadzieścia osób, które miał na utrzymaniu.

Grał dla wszystkich – dla Jana Pawła II, dla Rodziny Radia Maryja, dla AWS, ale także dla fundacji TVN i Polsatu, dla kibiców i dla studentów, którzy chcieli go posłuchać na juwenaliach. I gdzieś pod powieką zostanie ten piękny obraz – on i tysiące młodych śpiewających twarzy. Czy ktokolwiek z jego pokolenia miał możliwość zagrania dla tysięcy młodych ludzi niebędących rówieśnikami?

Często mawiał, że koncert to zastrzyk energii dający większego kopa niż narkotyki, które pochłaniał w „grzesznych czasach". Żal zatem, że pandemiczny wir odebrał mu możliwość pożegnania się z ludźmi, których tak kochał.

I tak go zapamiętamy, z ludźmi, wśród ludzi, kogoś, kto był, zanim się pojawiliśmy, a potem walczył na naszych oczach, i jeśli już szukamy w naszej pamięci skojarzeń, to nie z jakimś wydumanym cesarzem popu, tylko z ulubionym wujkiem, który figlarnie podkręcał wąs, z wujkiem, który z piekielną witalnością zaśpiewał, opowiedział dowcip, wypił kielonek, zakąsił, okiem strzelił do dziewczyn, kiedy ciocia nie patrzyła, a potem zanosił się zaraźliwym śmiechem przechodzącym w kaszel. I musieliśmy się z nim zaśmiać, bo w czasach, kiedy nasz ojciec jakiś martenowski stawiał piec, to on nas uczył pływać, jeździć na rowerze, łapać ryby i jabłka kraść z księżego sadu.

I tym bardziej boli jego nagła śmierć. Jakbyśmy dostali okrutny, staromodny telegram, napisany kopiowym ołówkiem na wyblakłym blankiecie: Wujek Krzysiek zmarł. Stop. Przyjeżdżaj. Stop.

© ROBERT KASPRZYCKI

REKLAMA

MATERIAŁY PRASOWE

Sarah Jones w drugim sezonie serialu „For All Mankind”

Uciec jak najbliżej

JAKUB MAJMUREK

Nostalgia za heroizmem ery kosmicznej karmi się naszym lękiem przed katastrofą klimatyczną. Ale uciec się nie da – wie to nawet Elon Musk.

Gdy w 1969 r. człowiek postawił stopę na Księżycu, wydawało się, że przed ludzkością otwiera się nowa era podboju kosmosu. Stało się inaczej, lot na Księżyc okazał się raczej końcem niż początkiem przygody ludzkości z kosmosem. Ostatni człowiek stanął na powierzchni Księżyca w grudniu 1972 r. Od tego czasu nikt nie opuścił niskiej orbity Ziemi. Perspektywa powrotu na Księżyc czy załogowej misji na Marsa pozostaje, mimo planów, wciąż odległa.

Czy załogowe loty na Księżyc faktycznie musiały skończyć się zaledwie po trzech latach? Jak mógłby zmienić historię wyścig kosmiczny, gdyby trwał przez kolejne lata? Na te pytania próbuje odpowiedzieć serial fabularny „For All Mankind” (Apple TV), którego drugi sezon możemy właśnie oglądać także w Polsce.

Gdyby Sowieci byli pierwsi

Serial zaczyna się pod koniec lat 60. Jesteśmy w Houston, trwają przygotowania do pierwszej misji mającej wysłać człowieka na Księżyc. Wszystko wydaje się iść zgodnie z planem. I tu Houston ma problem: na Księżyc jako pierwsi docierają Sowieci. To wydarzenie staje się punktem wyjścia do alternatywnej historii przedstawianej w serialu.

Zwycięstwo Związku Radzieckiego w wyścigu o Księżyc upokarza Amerykanów. Fakt, że także w tym komunistyczna Moskwa jest w stanie dotrzymać kroku Stanom, przyspiesza i intensyfikuje wyścig kosmiczny. W pierwszym sezonie jego stawką staje się założenie stałej bazy na Księżycu. W drugim, rozgrywającym się na początku lat 80., amerykańska baza księżycowa – Jamestown – początkowo obsługiwana przez trójkę astronautów, jest już solidną placówką badawczą z licznym personelem.

Toczący się przez całe lata 70. wyścig kosmiczny zmienia w serialu nie tylko historię nauki, ale także historię społeczną i polityczną Stanów, którym twórcy poświęcają sporo uwagi. W prawie każdym odcinku normalną fabularną narrację uzupełnia montaż archiwów, wprowadzających w polityczny kontekst epoki – im bardziej historia przedstawiana w serialu odbiega od rzeczywistej, tym bardziej są one spreparowane. Drugi sezon otwiera bardzo sprawny montaż takich łże-archiwów: Reagan wygrywa wybory już w 1976 r., książę Karol zamiast Diany poślubia Camillę Parker-Bowles, Roman Polański zostaje aresztowany w trakcie próby ucieczki przed amerykańskim wymiarem sprawiedliwości, John Lennon przeżywa zamach na swoje życie, a Jan Paweł II – nie.

W „For All Mandkind” Sowieci jako pierwsi umieszczają na Księżycu również

kobietę. W efekcie, by pokazać, że Stany nie stoją w kwestii praw kobiet w tyle za ZSRR, Nixon otwiera program kosmiczny dla astronautek: dekadę wcześniej niż w rzeczywistości. Co być może popycha do przodu kwestię równouprawnienia. W „For All Mankind" poprawka do amerykańskiej konstytucji zakazująca dyskryminacji ze względu na płeć zostaje błyskawicznie ratyfikowana. W rzeczywistości udało się ją zablokować ruchowi społecznemu konserwatywnych kobiet, kierowanemu przez aktywistkę Phyllis Schlafly.

Zmiany obyczajowe mają jednak granice. Jedna z bohaterek, homoseksualna astronautka Ellen Wilson, ukrywa swoją orientację. Doskonale wie, że kobieta i lesbijka w kosmosie to byłoby zbyt wiele dla Ameryki początków lat 70. By wzajemnie chronić swoje kariery w NASA, Ellen i jej przyjaciel, pracujący dla agencji inżynier, który także ukrywa swoją orientację, zawierają fikcyjne małżeństwo.

Kto zabrał nam kosmos?

„For All Mankind" pokazuje wszystkie koszty, z jakimi dla astronautów łączy się udział w wyścigu kosmicznym. Stres, napięcia psychiczne, strzaskane relacje rodzinne, ciągłe zagrożenie zdrowia i życia. W zestawieniu z kosmicznym żywiołem ludzka technologia, a jeszcze bardziej ludzkie ciało i psychika, okazują się często zawodne. Bohaterowie, do których zaczynamy się przywiązywać – giną, często za sprawą tyleż idiotycznych, co śmiertelnie groźnych w kosmosie usterek. Inni zwyczajnie nie wytrzymują psychicznie. Pierwszy, przeciągający się przez kolejne tygodnie pobyt trójki astronautów w księżycowej bazie kończy się psychicznym załamaniem jednego z nich.

Mimo to kosmos jest w tej produkcji ekscytującym miejscem, które – jakkolwiek byłoby to trudne – warto badać i poznawać. Nawet jeśli jego eksploracja nie przynosi na razie żadnych wymiernych korzyści. Oglądając dziś tę opowieść czujemy nostalgię za czasami wyścigu kosmicznego, za jej szlachetną ciekawością, gotowością do zmierzenia się z nieznanym, za realnie przesuwającym się horyzontem poznania. Za nauką, która dosłownie sięga gwiazd, a nie tylko dostarcza kolejnych konsumpcyjnych gadżetów. Serial rymuje się z sieciowymi memami, gdzie kadry ze starych filmów *science fiction* opatrzone są komentarzem: „Obiecywali nam miasta kosmiczne i latające samochody, dostaliśmy nowego smartfona".

„For All Mankind" nie jest jedynym dziełem zanurzonym w tej nostalgii. Kino w ostatnich latach wracało do heroicznej ery podboju kosmosu. „Pierwszy człowiek" (2018) Damiena Chazelle'a opowiadał historię pierwszego lądowania na Księżycu. „Ukryte działania" (2016) Theodore'a Melfiego przypominały zapomniany wkład w wyścig kosmiczny Afroamerykanek pracujących dla NASA jako matematyczki, programistki i inżynierki. Etos epoki kosmicznego wyścigu z przełomu lat 60. i 70. wskrzesza też w swoim „Marsjaninie" (2015) Ridley Scott – przedstawiając historię pozostawionego przypadkowo na eksplorowanym przez ludzkość Marsie astronauty, który staje się Robinsonem Crusoe Czerwonej Planety.

Oglądając wszystkie te obrazy zadajemy sobie pytanie, kto zabrał nam kosmos. Co sprawiło lub kto sprawił, że od lat 70. ludzkość nie posunęła się spektakularnie na tym froncie? Dlaczego w internecie kwitną pseudonaukowe teorie, których autorzy wyjaśniają, że lądowania na Księżycu nigdy nie było, są tylko zdjęcia zainscenizowane przez NASA z pomocą Stanley Kubricka, który rok wcześniej pokazał w „2001: Odysei kosmicznej", że przekonująco potrafi przedstawiać pozaziemskie przestrzenie? Czemu planów eksploracji kosmosu nie snują dziś instytucje odpowiedzialne przed demokratycznymi rządami, ale ekscentryczni miliarderzy, szukający raczej kolejnej przestrzeni do autopromocji i akumulacji kapitału niż wiedzy mającej poszerzyć nasze horyzonty?

Księżycowa polityka

Punkt wyjścia w „For All Mankind" pośrednio udziela odpowiedzi na te pytania. Trwanie wyścigu kosmicznego jest w nim funkcją zimnej wojny. W serialu radziecka kosmonautyka okazała się dość silna, by realnie podjąć rywalizację z amerykańską. W rzeczywistości było inaczej – wraz z kolejnymi misjami Apollo stawało się jasne, że wyścig kosmiczny Stany wygrały z ZSRR nokautem. I zabrakło politycznego powodu, by dalej finansować kosztowną obecność człowieka na Księżycu – nie wspominając o bardziej oddalonych od Ziemi ciałach niebieskich. Tym bardziej że po 30 latach fantastycznego powojennego rozwoju gospodarka Stanów weszła w połowie lat 70. w okres stagflacji: rosnących cen, wolnego wzrostu gospodarczego, względnie wysokiego bezrobocia.

Serial umieszcza alternatywą historię wyścigu kosmicznego w polu politycznym. Cały kolektywny wysiłek, dążący do kolonizacji Księżyca, który widzimy na przestrzeni dwóch sezonów, toczy się w czworokącie astronauci – inżynierowie – fachowcy kierujący NASA – politycy. Jego wierzchołki nie zawsze współpracują ze sobą zgodnie. Logika odkrycia naukowego wchodzi w konflikt z logiką polityczną, praktyczne potrzeby organizacji misji kosmicznej z potrzebami zapewnienia jej odpowiedniego PR.

Administracja Nixona naciska, by zamiast najbardziej kompetentnej astronautki wybrać taką, która najlepiej będzie wyglądała jako uosobienie „amerykańskiego stylu życia" na okładkach kolorowych pism i przemówi do kobiet z przedmieść głosujących na Republikanów. Kontrakty dla NASA to lukratywne zamówienia publiczne, tworzące dobrze płatne miejsca pracy – politycy używają ich do ubijania partyjnych interesów, co w przynajmniej jednym wypadku kończy się tragedią. Naukowcy i inżynierowie nieustannie muszą walczyć o swoją autonomię z politykami; by mieć szansę ją obronić, sami muszą nauczyć się szybko grać w polityczną grę. Często brudną.

Głównym tematem sporu naukowców i polityków jest w „For All Mankind" to, komu powinien służyć odkrywany przez człowieka Księżyc i przestrzeń kosmiczna – czy, jak w tytule serialu, całej ludzkości, czy twardym amerykańskim interesom? Wojsko od początku serialu postrzega Srebrny Glob jako potencjalny nowy obszar zimnowojennego konfliktu, domaga się militaryzacji Księżyca, zanim zrobią to Rosjanie. Prezydent Nixon jest przychylny takim sugestiom, w serialu przegrywa jednak wybory w 1972 r. Młody, idealistyczny prezydent Ed Kennedy wierzy raczej naukowcom niż wojskowym, ale w środku kadencji wikła się w seksualny skandal i przegrywa walkę o reelekcję z Reaganem.

Drugi sezon pokazuje, jak w czasie prezydentury Reagana orbita Ziemi i Księżyc stają się główną areną zimnej wojny. Na tyle angażującą, że Sowieci rezygnują z inwazji na Afganistan. Choć radzieccy i amerykańscy eksperci są ze sobą zdolni ↦

↦ współpracować, choć obie strony wiedzą, że skorzystałyby na wspólnym badaniu i kolonizacji Księżyca, to polityczna dynamika zmienia naszego satelitę w przestrzeń bezsensownej konfrontacji. Zimna wojna w „For All Mankind" paradoksalnie tyleż umożliwia trwanie kosmicznego wyścigu, co uniemożliwia racjonalną, opartą na globalnej współpracy eksplorację Księżyca.

Czy kosmos jest odpowiedzią?

Widoczna nie tylko w „For All Mankind" nostalgia za heroizmem ery kosmicznej karmi się jeszcze jednym istotnym czynnikiem – naszym lękiem przed katastrofą klimatyczną. Popkultura ponownie odkrywa kosmos, gdy zaczynamy zdawać sobie sprawę, jak bardzo zdewastowaliśmy własną planetę. Współczesne fantazje o kolonizacji Marsa często brzmią jak próba ucieczki od zmierzenia się z realnymi problemami tu, na Ziemi – gdzie potrzebujemy kolektywnego wysiłku polityków i naukowców znacznie większego niż ten, który kiedyś wysłał człowieka na Księżyc. Potrzebujemy go, by powstrzymać zmiany klimatu, których znana nam cywilizacja może nie przetrwać.

Świat po takiej katastrofie przedstawia jeszcze jeden film, o którym trzeba tu wspomnieć – „Interstellar" (2014) Christophera Nolana. Rozgrywa się w nieodległej przyszłości, gdy ludzkość porzuciła loty kosmiczne, przeciętny Amerykanin wierzy, że od początku były one oszustwem, a NASA działa jako tajna organizacja. U Nolana to właśnie kosmos okazuje się być ostatecznie rozwiązaniem pozwalającym ludzkości uratować się i uciec z umierającej, coraz bardziej jałowej Ziemi.

Wielką zaletą „For All Mandkind" jest to, że przy całym swoim optymizmie nie oferuje takich łatwych fantazji. Wskrzeszając nostalgię za heroiczną erą podróży kosmicznych, zachwycając wspaniale ukazaną na ekranie melancholijną pustką księżycowych krajobrazów, serial przypomina, że kosmos niekoniecznie musi być odpowiedzią na trapiące nas pytania, że nie tam znajdziemy rozwiązania ziemskich problemów – wymagają one zmiany sposobu życia na naszej planecie.

© JAKUB MAJMUREK

Łączenie kropek

ANITA PIOTROWSKA

Opowieść Svena Lindqvista i Raoula Pecka dotyczy białej supremacji, z kluczowym dla niej pojęciem czystości rasowej, podszytym religijną ideą wybraństwa i potępienia.

Rzadko się zdarza, by polskie tłumaczenie było celniejsze od oryginału. „Wytępić całe to bydło" to cytat z „Jądra ciemności" i zarazem tytuł reportażu historycznego Svena Lindqvista, z którego wyrósł miniserial Raoula Pecka. Conradowska „eksterminacja" brzmi jednak trochę inaczej niż nasze „wytępienie", z jego kontekstem zwierzęcym, odbierającym „bydłu" wszelki metaforyczny sens.

Właśnie o programowej dehumanizacji innych ras czy mniejszości opowiada w żarliwym tonie czteroczęściowy esej dokumentalny HBO. Peck znajduje wspólny mianownik w podbojach kolonialnych, niewolnictwie, ludobójstwie rdzennych mieszkańców Ameryki, w krematoriach Auschwitz i wojnie w Rwandzie, o której nakręcił kiedyś fabularny film „Czasem w kwietniu". Dzisiaj rozwinięciem tej postawy ma być grabieżcza eksploatacja planety, prowadząca do wymierania całych gatunków.

„Wytępić..." pokazuje, jak przenikają się ze sobą polityka, ideologia, technologia i ekonomia. Pomija w tych skojarzeniach nazwisko Hannah Arendt, choć jej duch unosi się nad filmem. Haitański reżyser, znany głównie ze świetnego dokumentu „Nie jestem twoim murzynem" (2016), czerpie z tekstów kultury popularnej i właściwej dla danego okresu historycznego ikonografii. Albowiem „Wytępić całe to bydło" nie ukrywa swoich edukacyjnych zapędów.

W finałowym odcinku twórca serialu tłumaczy to zresztą wprost: co z tego, że mamy taki dostęp do wiedzy, skoro rządzą nami emocje i przekłamania. Obecnie dobrem najbardziej deficytowym okazuje się odwaga, by stanąć w prawdzie. Eksterminację całych grup etnicznych firmował pozornie racjonalny geniusz, dlatego tak wiele znaczy krytyczna świadomość tego, co zdarzyło się kiedyś, co naprawdę wydarza się dziś i co dana informacja z nami robi. Stąd nie mniej ważny od historycznych faktów staje się dla Pecka komentarz – odautorski, subiektywny, gniewny, służący mocnemu wypunktowaniu treści, które wypadły ongiś z annałów bądź zatarły się w zbiorowej pamięci. „Odpomina" takie zdarzenia, jak zwycięska rewolucja haitańska czy ludobójstwo południowoafrykańskich Hererów dokonane przez Niemców raptem cztery dekady przed Holokaustem. Jednakże podstawowym celem filmu jest zwrócenie naszej uwagi na ludzkie koszty tego, co zwykło się nazywać postępem, rozwojem, odkryciem.

Opowieść dotyczy przede wszystkim białej supremacji na różnych kontynentach, z kluczowym dla niej pojęciem czystości rasowej, podszytym religijną ideą wybraństwa i potępienia. Dla Pecka, człowieka o złożonej tożsamości, ten warunek brzmi wyjątkowo absurdalnie. Jest czarny, urodził się w Port-au-Prince, wychował w Afryce, mieszkał we Francji, czuje się obywatelem świata. Pochodzi z wykształconej, dobrze sytuowanej rodziny, sporo zresztą w „Wytępić..." domowych wideo pokazujących ich „europejski" styl życia. Kino studiował w Berlinie Zachodnim, pod okiem m.in. Agnieszki Holland i Krzysztofa Kieślowskiego, a przez dwa lata piastował funkcję ministra kultury Haiti. Obecnie dzieli życie między ojczystą wyspą i USA. Dlaczego nawet ktoś taki jak on – powszechnie uznany i utytułowany – musi ciągle wypracowywać sobie strategie przetrwania związane ze swoją rasą? Reżyser odpowiada na to pytanie dekonstruując na różne sposoby dominujące mitologie i narracje.

Oczywiście, że bywa tendencyjny. Prócz osobistych przeżyć twórcy, profil filmu wyznacza już sam dobór lektur. Pierwowzór napisany przez szwedzkiego intelektualistę (Lindqvist zmarł w 2019 r.) nawiązuje do Conrada,

MATERIAŁY PRASOWE

Kard z pierwszej części miniserialu „Wytępić całe to bydło”

de Tocqueville'a i kontrowersyjnych teorii ewolucji, a z nowszych tytułów uzupełnia ją „Ludowa Historia Stanów Zjednoczonych” Howarda Zinna czy „Rdzenni Amerykanie” Roxanne Dunbar-Ortiz. Za sprawą owych lektur następuje w filmie połączenie kropek rozsianych po różnych miejscach globu i sześciu wiekach historii. W przypadku USA korespondują ze sobą tak różne zdarzenia, jak masakra plemienia Lakotów nad Wounded Knee i schwytanie Osamy bin Ladena – bo przecież nie może być przypadkiem, że ta ostatnia operacja nosiła kryptonim „Geronimo”, od nazwiska nieuchwytnego przez lata wodza Apaczów.

Na tej podstawie tworzą się też uniwersalne siatki pojęć stojących za podporządkowaniem i wyzyskiem, za każdą próbą „ostatecznego rozwiązania” – wszak wiele źródeł upodlenia i manipulacji nadal tkwi w języku. Peck traktuje te pojęcia wręcz hasłowo, bombardując widza infografikami i oczywistościami, jakby sądził, że w czasach wyuczonej ignorancji bez odrobiny łopatologii ani rusz. Pytanie, czy serwowana w takim nadmiarze nie staje się przeciwskuteczna.

Najlepszy jest Peck wtedy, gdy chcąc zilustrować tezy Lindqvista sięga do audiowizualnego archiwum niekoniecznie spod znaku Leni Riefenstahl albo „Shoah”. Dokonuje demontażu niewinnych z pozoru musicali typu „Na przepustce” Stanleya Donena i starych dobrych westernów z Johnem Waynem. Podejrzany okazuje się „Czas Apokalipsy” Coppoli, ale i „Park Jurajski” czy „Tarzan: Legenda”. Tym wypisom z historii kina towarzyszą materiały amatorskie, pożółkłe fotografie, ryciny, płótna, makiety bitew i animacje, a nawet dwuznacznie dzisiaj brzmiące popularne piosenki. Są też fragmenty wcześniejszych filmów Pecka.

Najwyraźniej mu to nie wystarcza, produkuje więc własne inscenizacje z różnych miejsc i epok, w których rolę „złego białego” odgrywa za każdym razem hollywoodzki aktor Josh Hartnett. Czasem reżyser próbuje być jeszcze bardziej prowokacyjny i odwraca tradycyjne role białych i czarnych, to znów żywe obrazy kolonialnej przemocy zderza z kiczowatymi klipami niosącymi antyrasistowskie przesłanie, niczym z dawnych reklam Benettona. Gęstość tej retoryki i jej silny ładunek perswazyjny chwilami obezwładniają, toteż miniserial Pecka powinno się aplikować raczej w niewielkich dawkach.

Lecz nawet jeśli w demonizowaniu białej rasy i dekolonizacji ekranu Peck za bardzo się rozpędza, to warto przypomnieć sobie, kto u Conrada wyrzekł tytułowe słowa o wytępieniu bydła oraz w jakich okolicznościach. I że dzisiaj podobne sformułowania, owinięte w patriotyczną czy sanitarną troskę, znaleźć można równie dobrze w internetowych rynsztokach, co usłyszeć na mównicach, ambonach i w świetle kamer. ©

WYTĘPIĆ CAŁE TO BYDŁO *(Exterminate All the Brutes) – reż. Raoul Peck. Prod. USA 2021. Dostępny na HBO GO.*

WARTO ZOBACZYĆ

1. Oscary 2021

Gala, CANAL+ Premium, 25/26 IV, 2.00, skrót 26 IV, 21.45, CANAL+ 1, 25/26 IV, 3.00, skrót 26 IV, 22.45

Czy wyśmienity „Nomadland” Chloé Zhao rozbije tegoroczny bank? Czy antydyskryminacyjne zmiany w regulaminie oscarowym znajdą odbicie w werdykcie? Jak największe targowisko próżności, transmitowane na cały świat, będzie wyglądać w reżimie sanitarnym? O tym wszystkim przekonamy się już za chwilę.

2. Nie obchodzi mnie, czy przejdziemy do historii jako barbarzyńcy

Komediodramat, reż. Radu Jude, Rumunia i inne 2018, Nowe Horyzonty VOD

Rumuni też mają swoje rekonstrukcje historyczne i tzw. pedagogikę wstydu. Jej filmowym mistrzem jest twórca „Aferim!” i dokumentu „The Dead Nation”, gdzie odważnie mierzy się z kwestią romską czy żydowską w historii swego kraju. Tym razem Jude podsuwa rodakom krzywe zwierciadło, by pokazać, jak dzisiaj odnoszą się do zbrodni marszałka Iona Antonescu z 1941 r.

3. Sekret wilczej gromady

Animowany, reż. Tomm Moore, Ross Stewart, Irlandia 2020, Apple TV+

Nawet bez oscarowej nominacji ten film byłby wydarzeniem, nie tylko w kategorii filmów dla dzieci (uwaga: brak polskiego dubbingu). Twórcy „Sekretu księgi z Kells” i „Sekretów morza” raz jeszcze łączą w swojej animacji wizualną szlachetność i narracyjny nerw, a motywy irlandzkiej kultury z rozumnym przesłaniem.

4. Pięć Smaków w Domu

Przegląd filmowy, piecsmakow.pl/wdomu

Ruszyła całoroczna platforma internetowa festiwalu kina azjatyckiego. Prócz stałego repertuaru będzie prezentować czasowe cykle tematyczne. Pierwszy z nich to „Koreanki” – zestaw sześciu współczesnych tytułów, które opowiadają o niezwykłych kobietach. Dostępny do 19 maja.

JAN

Klata:
Partyzanci pandemii

O, niezmożona inwencjo narodu partyzantów, pozwalająca przetrwać najgorsze opresje, zrzucić najbardziej racjonalne tudzież najbardziej absurdalne chomąta przepisów, strzaskać okowy regulacji, pandemiczne kajdany, daj mi się opiewać!

Ludzie chcą przetrwać, umieją liczyć, więc liczą na siebie. Może nie jest to wyższa matematyka, ale czasem bardzo finezyjna. Ot, kapliczka na stoku narciarskim, nadająca zjazdom charakter pielgrzymki, bądź Kościół Zdrowego Ciała ze świątynią w kształcie siłowni. Oto służby państwowe w Koziegłowach natknęły się w spontanicznie skontrolowanej pizzerii na „testerów jakości smaku". Ucztujący nie dawali się wyprosić, mając usta pełne roboty, natomiast właściciele lokalu argumentowali, że właśnie przeprowadzają rekrutację na stanowisko „testera jakości smaku". Policjanci zareagowali z niesmakiem i niedowierzaniem, wzywając sanepid.

Nie rozumiem stróżów porządku: była niedziela, około 19, dobra pora na casting, nic dziwnego, że testerzy nie dawali się wyprosić – zażarcie walczyli o swą przyszłość w wielce konkurencyjnych czasach. Było ich siedmiu, a przecież nawet największa pizzeria nie potrzebuje aż tylu testerów produktów. Właściciele lokalu ze świętym oburzeniem zareagowali na sugestię przedstawicieli władz, jakoby omijali przepisy: przecież jak okiem sięgnąć, wokół nie ma żadnych klientów, jeno sami kandydaci na testerów. Potencjalni pracownicy, zwabieni sławą Luisa de Funèsa z filmu „Skrzydełko czy nóżka", pobudzali kubki smakowe, próbując zaprezentować ich subtelność w konfrontacji w produktami lokalu. Żuli nie dla przyjemności, tylko dla chleba. Łatwo jest mundurowym rzucać oskarżenia kładące się cieniem, zwłaszcza w niedzielę wieczorem, w marcu.

Degustatorzy oburzeni, że im przerwano, właściciele oburzeni, że nie zrozumiano ich strategii biznesowej, walki o podniesienie jakości produktów, kolejne radiowozy u płota, sanepid, a pizza stygnie... Sporządzono wnioski z interwencji, do sądu, do prokuratury, niesmaczne to wszystko.

Kto doniósł? Komu nie smakowała pizza? ©

Lektor:
Tryptyk

▪ *Brian Porter-Szűcs*
CAŁKIEM ZWYCZAJNY KRAJ. HISTORIA POLSKI BEZ MARTYROLOGII
Przełożyli Anna Dzierzgowska i Jan Dzierzgowski, Wydawnictwo Filtry, Warszawa 2021, ss. 608.

Jak wygląda przekaz dotyczący przeszłości Polski, który chłoniemy, najpierw bezrefleksyjnie, od czasów dzieciństwa? Polega on na budowaniu spójnej opowieści – od Mieszka I po Solidarność – wspierającej poczucie narodowej identyfikacji i wyrażającej podszyte mesjanizmem przekonanie o wyjątkowości naszej historii, w złym (nikt tak nie cierpiał, jak my) i w dobrym (nikt nie był równie szlachetny). Że jest to wizja cokolwiek anachroniczna, przekonywać chyba nie muszę, zresztą współcześni polscy historycy sporo czasu poświęcili jej dekonstruowaniu. Teraz mamy sposobność przeczytać książkę autorstwa Amerykanina, przystępną i napisaną z popularyzatorskim zacięciem, a przy tym opatrzoną dłuuugą listą lektur pomocniczych. Kontrującą nie tylko stereotypy, ale i sądy poważnych badaczy, a przede wszystkim proponującą odmienny punkt obserwacyjny. „Chciałbym – pisze Porter-Szűcs, profesor historii University of Michigan, badacz problematyki polskiej władający biegle naszym językiem – umieścić Polskę w najszerszym możliwym kontekście, tak by pokazać, w jaki sposób przeszłość tego konkretnego kraju może dostarczać przykładów działania sił, które ukształtowały cały świat nowoczesny". Wspomnianą wyżej kontrę zapowiada już prowokacyjny tytuł, potem zaś bywa równie mocno. Zostawmy na boku chrzest księcia Polan, zwłaszcza że opowieść autora zaczyna się od roku 1795 – z podkreśleniem, że byt, który został wtedy zniszczony, nie był „Polską", ale Rzecząpospolitą szlachecką, państwem polsko-litewskim. A potem same pytania. Co z pojęciem „naród", od kiedy możemy mówić o ukształtowaniu się narodu polskiego i czy naród może cierpieć? O co właściwie walczyli powstańcy listopadowi? Czy do wydarzeń roku 1918 na ziemiach polskich nie można by zastosować terminu „rewolucja"? Jak ocenić głównych aktorów tamtych wydarzeń – Piłsudskiego, Dmowskiego i pozostającego w ich cieniu Daszyńskiego? Im dalej, tym więcej pytań, a że autor doprowadza swoją narrację do lat ostatnich – to i więcej gorących wciąż kontrowersji. Anna Dzierzgowska przypomina w posłowiu rzecz dosyć oczywistą: „Otwieranie przestrzeni sporów jest cechą każdej dobrej książki historycznej". Książka Portera-Szűcsa taką przestrzeń otwiera. Bardzo to odświeżająca lektura. Prysznic może nie zimny – ale chłodny. ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Pytania z lodówki

Towarzystwo obecnie sprawujące w Polsce rządy na poziomie państwa (bo na poziomie gmin bywa inaczej) jest zajęte samowystarczalną kłótnią, która niczym *perpetuum mobile* już nie potrzebuje zewnętrznego paliwa. Nigdy nie było mnie stać na bilet wstępu do wyższej loży klasy gadającej, którym jest zdolność udawania, że zaskakują kogoś zdarzenia równie oczywiste, co następstwo pór roku. Jedyne, czego człowiek rozumny chciałby dociekać, obserwując finalne konwulsje partii, koalicji czy formacji ustrojowych, to zalążki czegoś nowego.

Trudno nawet orzec, czy kryzys pandemiczny raczej przyspiesza rozpad czy przedłuża trwanie. Warunki zewnętrzne, które przykładają ciśnienie do coraz mniej zamkniętego układu, są zaiste nietypowe. Świetnie to ujął twórca zabawnej etykiety wcale poważnych win, które winnica Miłosz spod Zielonej Góry wypuściła pod nazwą „pandemicznej bieli", „czerwieni" i „różu" (jest też wino pomarańczowe, czyli białe długo macerowane na skórkach, ale nie udało mi się go spróbować). Przekopiowana ze starych rycin postać w charakterystycznej dziobatej masce, jaką nosili dawni medycy w czasach zarazy, kroczy trzymając w dłoni tzw. *selfie stick* z przymocowanym telefonem, skierowanym narcystycznie na siebie. Opróżniwszy butelkę (z rocznika 2020 miałem tylko biel, doprawdy dobrze zbudowane, czysty jabłkowy i cytrusowy owoc, i zaskakująca mineralność – jakby się trzymało na języku chłodny, gładki kamień ze strumyka), zostawiłem ją sobie na stole, bo doceniam tę metaforę. Przez szybkę nowych gadżetów gapimy się na siebie takich, jakimi byliśmy 500 lat temu. Władni zwalczyć wirusa, bezwładni wobec lęków i zaskoczeń zgotowanych przez los.

Lepiej uważać z tym słowem. Jeśli nadużywane – albo nieżyczliwie odczytane – zalatuje sceptycyzmem, czy to covidowym, czy też klimatycznym. Dużo o tym się ostatnio dyskutuje, od kiedy wiele winiarskich regionów Francji i Włoch dotknęły w zeszłym tygodniu fatalne przymrozki niszczące zawiązki. Doszło do tego także w miejscach zupełnie na to nieprzygotowanych, jak Dolina Rodanu czy słoneczna Langwedocja – zawiódł mistral, który nie przewiał lodowatego powietrza osiadającego przy gruncie.

Na pewno widzieliście w sieci efektowne zdjęcia z Burgundii czy Szampanii, gdzie przymrozki to znany wróg, i gdzie ludzkość stosuje metody tępe, acz skuteczne (o ile mróz nie spadnie poniżej -5 st. C – wtedy nic nie pomoże): tysiące płonących między rzędami winorośli ogników, magiczny widok, jak u nas cmentarze w Zaduszki. To takie duże kaganki, czy raczej naczynia z parafiną lub podobną substancją – chodzi nie tylko o to, by ogrzać powietrze, ale też by je maksymalnie zadymić, rozpostrzeć kołdrę pyłu nad winnicą. Co skutkuje potem tym, że miasto Lyon, położone nieco na południe, budzi się rano zaduszone smogiem.

Albo spryskiwanie upraw wodą. Przydają się zapomniane lekcje z podstaw fizyki. Zamarzając, woda wydziela tzw. ciepło krzepnięcia (dziś to zjawisko służy do ogrzewania domów pompą cieplną), więc podnosi lekko temperaturę gałązek i otaczającego je bezpośrednio powietrza, a poza tym, tworząc cienką lodowatą powłokę o temperaturze zera stopni, chroni pączki przed dalszym spadkiem. Stosuje się jeszcze wiatraki, młócące powietrze tak, by to najzimniejsze nie mogło osiąść. Lub – zwłaszcza w Bordeaux – śmigłowce krążące godzinami nad winnicą.

Nie jest to wszystko tanie, dlatego z takiej ochrony korzystają tylko najlepsze parcele w najdroższych okolicach. Ochrony zresztą pojętej dość wąsko: pączki winorośli da się uratować, ale jakim kosztem dla środowiska, dla powietrza i wody! A to zresztą dopiero początek dalszej przygody winiarza z pogodą, trwającej aż do września. Dość powiedzieć, że poprzedni ciężki przymrozek w Chablis (pisaliśmy o nim tutaj w 2017 r.) zniweczył 30 proc. plonów, ale to, co przetrwało, okazało się, dzięki korzystnemu przebiegowi reszty sezonu, znakomite (a więc i uzyskało wysokie ceny). Lepsze na pewno od rocznika 2016, który wiosną przymrozków nie zaznał, za to przeszedł wczesnym latem fatalne gradobicia.

Stąd ostatnio coraz głośniej mowa o tym, żeby winiarze przestali zgrywać męczenników losu walczących z kaprysami pogody, zwłaszcza w miejscach, gdzie zmiany klimatyczne znacznie pogorszyły te zjawiska. Do jakiego momentu ich samozaparcie i trud są godne podziwu, a od kiedy są tylko szkodliwym dla ogółu lukratywnym uporem? A do jakiego momentu jesteśmy gotowi płacić – wprost, w cenie butelki, albo pośrednio – za złudzenie, że nad wszystkim da się zapanować? Może wam się to wyda mało poważne, bo świetnie sobie tu radzimy bez chablis albo szampana, ale takie pytania czekają także i w waszej lodówce. ©℗

Dwa tygodnie od ostatniego przymrozka – tak powiedziała mi moja znajoma plantatorka na pytanie, kiedy mogę się wybrać po szparagi. Ponieważ na jej ziemi pod Pułtuskiem przymrozków już nie ma od tygodnia, oczekiwanie robi się coraz trudniejsze. Tymczasem zgrzeszyłem, kupując takie z importu – były oczywiście mniej jędrne i smakowite, musiałem zatem trochę podrasować smakowo i wizualnie. Do zielonych szparagów pasuje bardzo słona odmiana sosu zabajone – z parmezanem zamiast cukru (i koniecznie wytrwanym winem). Albo lekki beszamel podkręcony kurkumą: robimy zasmażkę z 50 g masła i 50 g mąki i rozprowadzamy ze 100 ml mleka. Kiedy trochę zgęstnieje, dodajemy ok. pół łyżeczki kurkumy. Możemy ugotować duży makaron, połączyć go z tym sosem na ciepło i uprzednio ugotowanymi i pokrojonymi szparagami. Na wierzch koniecznie coś chrupiącego: uprażone i z grubsza posiekane migdały albo orzechy laskowe.

OLEKSANDR PROKOPENKO / ADOBE STOCK

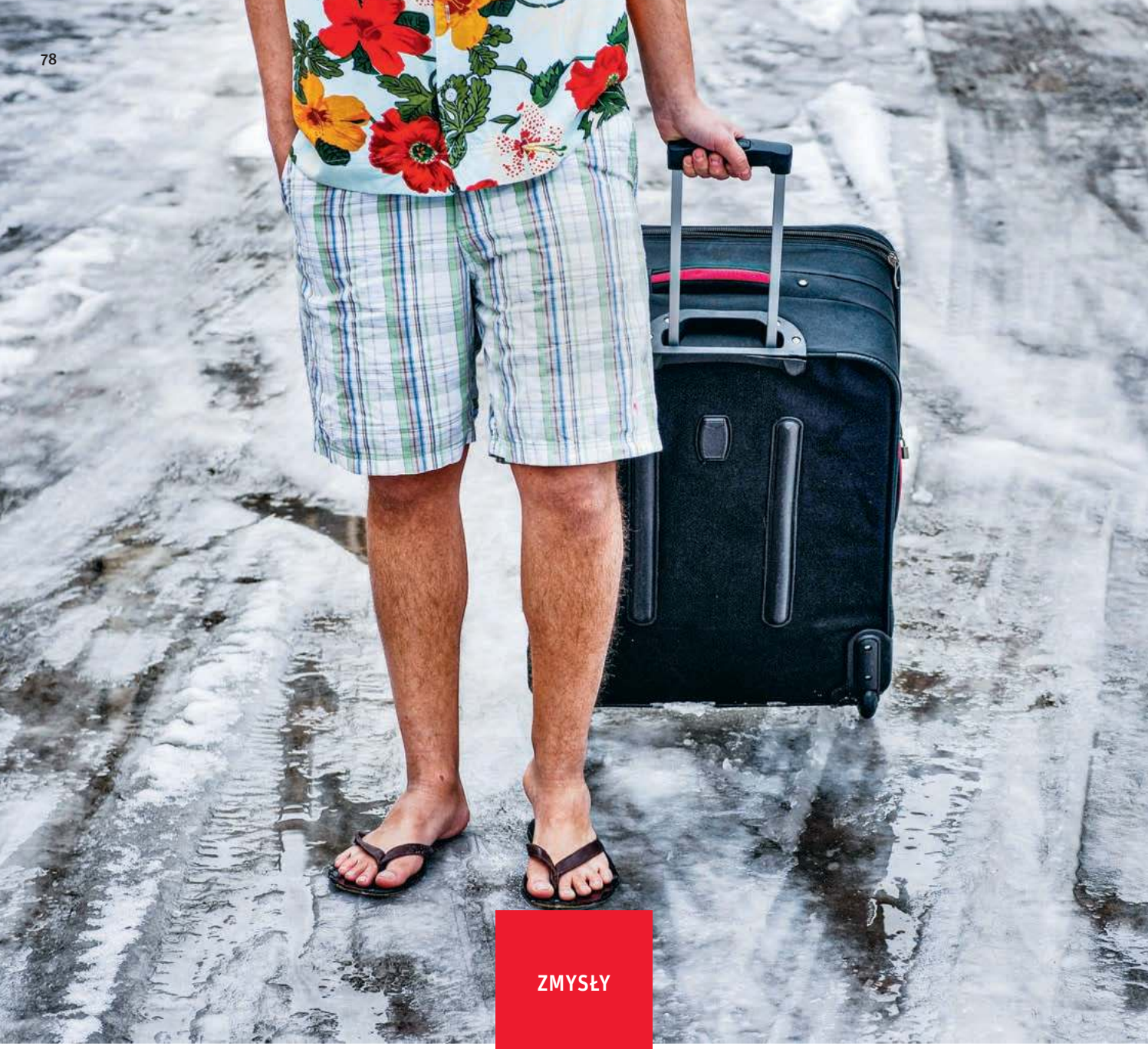

ZMYSŁY

PRZEMYSŁ LETNIEJ POGARDY

„Wolę, gdy mi zimno" – współczesna meteorologiczna poprawność nie przewiduje, niestety, takiej odpowiedzi na dobiegające zewsząd deklaracje miłości do wysokich temperatur.

MAREK RABIJ

COLIN HAWKINS / GETTY IMAGES

Śnieżyca zaczęła się niespodziewanie. Wprawdzie prognozy od rana ostrzegały przed wieczornym opadem, ale lakoniczny komunikat aplikacji meteo w telefonie nie zwiastował aż takiej nawałnicy. Wielkie płatki śniegu, niesione przez wiatr dujący prosto w twarz, poruszały się niemal poziomo i w świetle latarki czołowej, którą zabrałem na nocne bieganie, przypominały gwiazdy ze słynnej sceny przekraczania prędkości światła w „Gwiezdnych wojnach". Cieszyłem się zresztą tym osobliwym widokiem może z pół minuty, aż mokry śnieg zalepił mi okulary. Przestałem widzieć cokolwiek poza własnym korpusem, który również błyskawicznie pokryła warstwa lodowatego białego osadu.

– Halo, kolego, w porządku? – przez ścianę wiatru dobiegł do mnie najpierw dźwięk zatrzymującego się opodal auta, a tuż potem głos jego kierowcy. – Nie potrzebujesz pomocy?

– Wszystko gra – odkrzyknąłem z grubsza w kierunku, z którego dochodził głos, strzepnąłem lodowy garnirunek i ruszyłem dalej. Po kilkunastu minutach wiatr zaczął słabnąć, przestało też padać. Byłem przemoczony do suchej nitki, straciłem czucie w dłoniach, mięśnie mimiczne zmarzniętej twarzy wszczęły strajk, ale paradoksalnie dopiero teraz biegło mi się cudownie lekko, do tego w tempie, jakiego dawno nie widziałem na zegarku.

Wspominam tamten trening jako jedno z najciekawszych doświadczeń. Uczucie balansowania na granicy hipotermii kontrolowanej tempem biegu było po prostu przyjemne. Byłem na swoim miejscu zgrany z mroźnym otoczeniem, które przeszło na moją stronę. Tamtej lutowej nocy zdałem sobie sprawę, że choć nie mam ulubionej pory roku, nad ciepło zdecydowanie przedkładam chłód. I że wielu ludzi – podobnie jak napotkany kierowca – nie rozumie, że doświadczenie zimna może być równie przyjemne, jak przebywanie w cieple. Podczas biegania w upalne letnie wieczory zdarzało mi się zdychać ze zmęczenia i odwodnienia na poboczu jezdni.

Nie zatrzymał się nikt.

My, chłodna mniejszość

Sondaż przeprowadzony dwa lata temu na Wyspach przez prestiżowy instytut ICM przyniósł zaskakujące rezultaty – otóż statystyczny Brytyjczyk co roku poświęca aż 49 godzin na rozmowy o pogodzie! Owszem, narzekania na barwę nieba, trafność prognoz czy przewidywanie tempa nadchodzących frontów oraz przejaśnień należą do tradycyjnych budulców brytyjskiego small talku, nikt jednak nie spodziewał się, że zajmują statystycznemu poddanemu królowej Elżbiety aż pół roku z całego życia! A skoro nawet Brytyjczycy – nacja tradycyjnie przykładająca wielką wagę do wszelkich zagadnień związanych z etykietą – warunki meteo traktują jako coś wykraczającego poza sferę jednostkowych preferencji, zatem i my możemy zrobić wyjątek od reguły zakazującej rozmawiać kulturalnym ludziom o gustach. Zwłaszcza że w kwestii pogody pozwalamy sobie na to już od dawna.

Kiedy piszę te słowa, znany mi wycinek przestrzeni mediów społecznościowych wypełniają jęki licznych miłośników ciepła truchlejących pod butem przedłużającego się przedwiośnia. Ci sami ludzie będą wkrótce kręcić nosem na za mało słoneczne lato, by jesienią płynnie wejść w doroczny rytuał załamywania rąk nad zimą, która „już nie jest taka jak kiedyś" – co oczywiście nie przeszkodzi im ogłosić stanu klęski żywiołowej już po pierwszym przymrozku. W takim otoczeniu my, miłośnicy chłodu, wolimy pozostać w ukryciu ze swoim uczuciem termicznego niedopasowania, bo choć nikogo nie pytamy o źródło miłości do upałów, sami musimy się gęsto tłumaczyć, dlaczego wolimy zimno.

Machinę popkultury i biznesu również nastrojono pod wymagania ciepłolubnej większości. Jeśli lubisz festiwale muzyczne, w pakiecie dostajesz także spalony kark i bąble od ukąszeń komarów, bo największe takie imprezy odbywają się oczywiście latem. Zimą możesz posłuchać najwyżej ryku wuwuzeli podczas turnieju skoków narciarskich. Kalendarz również nie gra na naszą korzyść, rzucając nam w okresie najładniejszej dla nas pogody jeno ochłap kilkunastu dni ferii ↦

↦ zimowych i przerwę bożonarodzeniową. Prawdziwe wakacje są oczywiście latem. Z ograniczonym zaufaniem musimy traktować nawet cykl liturgiczny Kościoła katolickiego, który podejrzanie majstruje przy dacie Wielkanocy, przesuwając ją co jakiś czas niebezpiecznie blisko maja.

A przecież zbieg ewolucyjnych okoliczności, który sprawił, że temperatura ludzkiego ciała wynosi 36,6 stopni Celsjusza, nie stanowi żadnego usprawiedliwienia dla takiego faworyzowania ciepła. Całą rzecz dałoby się sprowadzić do trywialnych uwag o przewagach jednej pory roku nad drugą – gdyby nie fakt, że przekonanie o wyższości upału nad zimnem staje się z roku na rok czymś w rodzaju dogmatu. Żyjemy w epoce meteorologicznego manicheizmu, który zadowolenie z odczuwania ciepła utożsamił, nie wiedzieć czemu, ze światem jasności i dobroci, akceptację zaś dla chłodu, będącego w wymiarze czysto zmysłowym dokładnie takim samym doświadczeniem, traktuje w najlepszym razie jako nieszkodliwe dziwactwo.

Przewagą ciepłych pór roku nad chłodnymi ma być rzekomo większa przydatność tych pierwszych do uprawiania sportów, ale już rzut oka na listę dyscyplin letnich i zimowych igrzysk olimpijskich uzmysłowi, że jest dokładnie na odwrót. Biegać, grać w piłkę, skakać w dal lub wzwyż, podnosić ciężary czy pchać kulą, ba, nawet pływać, można przecież przez okrągły rok i w dowolnym miejscu; wystarczy w tym celu jedynie odrobina samozaparcia. Ciepłe pory roku zawężają tymczasem spektrum aktywności do dyscyplin typowo letnich. O nartach w lipcu w Polsce, sierpniowym wypadzie na łyżwy czy majówce na bojerach na zamarzniętym Zalewie Wiślanym nie ma co marzyć. I nikt na to nie narzeka – w odróżnieniu od fanów letnich dyscyplin, którzy chcieliby je uprawiać okrągły rok, ale pod warunkiem, że mowa o roku złożonym z dwunastu lipców lub sierpniów.

Pobrzmiewają w tych pretensjach nutki znane wszystkim rodzicom dzieci niejadków, które nad talerzem potrafią mnożyć problemy tak długo, aż dostaną w końcu od znękanych opiekunów swój ulubiony makaron lub kromkę suchego chleba. Próby wymuszania posłuszeństwa na pogodzie w podobny sposób skazane są jednak na porażkę, natura bowiem jest nam matką jedynie w przypowieściach Grety Thunberg i wcale nie zamierza się o nas troszczyć.

Zwłaszcza w strefie klimatu tropikalnego.

Klątwa Arystotelesa

Średniej rocznej temperaturze kuli ziemskiej, która nie przekracza 15 stopni Celsjusza, daleko do stanu, który miłośnicy upałów mogliby nazwać zadowalającym. Strefa, w której średnioroczne wskazania termometru przekraczają 20 stopni, ogranicza się z grubsza do Afryki międzyzwrotnikowej, Azji Południowo-Wschodniej, centrum Ameryki Południowej oraz północnej Australii. Są to również obszary zazwyczaj gęsto zaludnione – choć stoi za tym głównie duże nasłonecznienie w połączeniu z solidnymi opadami deszczu, które razem sprzyjają wegetacji roślin, a tym samym dostarczają dostatecznie dużo pożywienia. Odczytywanie klimatycznych predylekcji rodzaju ludzkiego z map gęstości zaludnienia będzie więc podróżą w ślepą uliczkę.

Z czysto medycznego punktu widzenia obszary tropikalne uznać należy wręcz za mniej przyjazne dla ludzkiego organizmu, któremu grozi tam nie tylko przegrzanie, odwodnienie lub czerniak, ale też poczet jadowitych gadzin i chorób wywoływanych przez pasożyty oraz bakterie lubujące się w wysokich temperaturach. Tymczasem po stronie obiektywnych zagrożeń czyhających w świecie wiecznego śniegu znajdziemy tylko hipotermię, odmrożenia – a gdzieniegdzie także głodne niedźwiedzie polarne.

Dysproporcje w gęstości zaludnienia globu zaintrygowały już Arystotelesa, Stagiryta wyciągnął zeń jednak dość pobieżne wnioski, dostrzegając jedynie związek między liczbą ludności a temperaturą. Dalej rzuciło go już w stronę taniej jak na obecne standardy antropologii, bo z uporem godnym lepszej sprawy doszukiwał się związku pomiędzy kreatywnością jednostki a warunkami pogodowymi, w których przyszło jej funkcjonować. Słabo rozwinięte – według greckiej miary – więzi społeczne barbarzyńców zamieszkujących zimne północne rubieże Europy oraz plemienna „anarchia" ludów Sahelu skłoniły go do konkluzji, że klimat strefy umiarkowanej, jakim cieszyła się Grecja, wydaje się optymalny dla ludzkiego organizmu.

Greckie lato, które tak cenił Arystoteles, było i nadal jest faktycznie gorętsze od polskiego, ale przedwcześnie się radujecie, drodzy zwolennicy upałów. W dość chaotycznej arystotelesowskiej wykładni kluczem do zrozumienia mechanizmu, który sprawia, że dane warunki atmosferyczne sprzyjają ludzkiej aktywności, było bowiem właśnie... zimno. Funkcjonowanie organizmu założyciel Lykeionu utożsamiał z ciepłem – ale również z dojrzewaniem. Im wyższa była temperatura, w jakiej zachodziły procesy życiowe, tym szybsze stawało się tempo ich przebiegu. Brak czynnika chłodzącego (za taki uważał również pożywienie) prowadził zatem zdaniem Arystotelesa do przegrzania i w efekcie nawet do śmierci. A stąd już było blisko nauczycielowi Aleksandra Wielkiego do konstatacji, że jednostki pozbawione dostatecznej dawki czynnika chłodzącego nie będą w stanie rozwinąć pełni swoich możliwości, podobnie jak te, które mają go za dużo. Klimat zimny – uczył Arystoteles – rodzi ludy brutalne i niezdolne do głębszej refleksji. Zbyt gorący będzie z kolei sprzyjać gnuśności.

Moglibyśmy potraktować tamte wywody jedynie jako odbicie ówczesnego stanu wiedzy o świecie, gdyby nie fakt, że myśl Stagiryty stała się jednym z filarów cywilizacji europejskiej. Jak brzemienne było to w skutkach, pokazuje chociażby korespondencja brytyjskich urzędników słana na przełomie XVIII i XIX w. z Indii do Londynu. Opracowując listę ludów, które zdaniem wysłanników króla mogłyby się łatwo zasymilować z kulturą europejską, administracja kolonialna posługiwała się dokładnie tym samym kluczem, co Arystoteles. Za najgorzej rokujących uznano „gnuśnych" mieszkańców gorącego drawidyjskiego południa i „nieokrzesanych" górali zamieszkujących Sikkim oraz podnóża Himalajów.

Czyżby powszechna polska miłość do tak niepolskiego zjawiska atmosferycznego, jakim jest upał, była podszyta identycznym kompleksem pochodzenia?

Bitwa nad termostatem

Jednego możemy być pewni. Czym dla barbarzyńskich ludów z północy wczesnośredniowiecznej Europy był korpus cywilizacyjnych zdobyczy świata grecko-rzymskiego, tym dla

ich współczesnych potomków bywa śródziemnomorski styl życia. Sałatka caprese w wielu polskich domach skutecznie konkuruje z warzywną, a karp dawno przegrał z krewetkami i labraksem. Po dobrej kolacji miło byłoby oddać się południowemu rytuałowi wieczornej passeggiaty, ale w klimacie północnej Europy da się zrealizować ten plan jedynie przez dwa-trzy letnie miesiące. Chyba że warunki południowej ulicy odtworzymy sobie w mieszkaniu.

Jak podaje Building Research Establishment, brytyjska instytucja zajmująca się m.in. certyfikowaniem materiałów i technologii budowlanych, średnia roczna temperatura dobowa w domu na Wyspach Brytyjskich przekracza obecnie 22 stopnie Celsjusza. Identyczny wynik otrzymali w ubiegłym roku autorzy ankiety przygotowanej na zlecenie Izby Gospodarczej Ciepłownictwo Polskie. To jakieś trzy stopnie powyżej zalecanej przez lekarzy temperatury komfortu i aż sześć ponad to, co powinniśmy widzieć na termometrze sypialni, kładąc się do łóżka z nadzieją na długi i zdrowy sen. Szokujące wydają się w tym kontekście historyczne statystyki tego samego Building Research Establishment, z których wynika, że jeszcze w 1970 r. średnia dobowa temperatura w brytyjskim domu nie przekraczała 12 stopni, a termofor czy szkandela wkładane zimą do pościeli należały do obowiązkowego wyposażenia niemal każdego gospodarstwa domowego.

Błyskawiczna poprawa warunków bytowych, jakiej zaznał bogaty świat po II wojnie światowej, w kwestii ciepłoty mieszkań zaszła więc zdecydowanie za daleko, zamieniając je w duszne terraria, z atmosferą sprzyjającą rozwojowi roztoczy i pleśni, ale nie *Homo sapiens*. W łeb wzięła nawet odwieczna enologiczna mądrość nakazująca podawać ciężkie czerwone wina „w temperaturze pokojowej": chodziło o flaszki serwowane w temperaturze około 15-17 stopni, która podkreśla smakowe i zapachowe walory takich trunków, a nie letnią zupę, z której wystaje głównie alkohol.

Większość z nas w przegrzanych mieszkaniach czuje się jednak jak ryba w wodzie, bo od niemowlęctwa jesteśmy do nich hartowani. Na nic apele pediatrów, by nie przetrzymywać noworodków w temperaturze i wilgotności właściwej raczej dla palmiarni; większości świeżo upieczonych rodziców (nie wspominając o dziadkach) nie mieści się po prostu w głowie, że dziecku w zupełności wystarczy 18 stopni w nocy i 20 w dzień. Próby obniżenia temperatury prowadzą nieuchronnie do rodzinnych awantur i „bitwy nad termostatem".

W ten oto sposób termiczna fiksacja obejmuje kolejne pokolenia, które przekażą ją dalej swoim dzieciom, a nawet przedostaje się na obce kulturowo dla nas obszary. W Japonii, gdzie większość domów nie ma w ogóle ogrzewania, rząd musiał w 2005 r. wydać nakaz wyłączania pieców w budynkach administracji centralnej, gdy termometry wewnątrz pokażą 20 stopni – tak bardzo urzędnicy zapalili się, *nomen omen*, do nowego zwyczaju włączania kaloryferów opłacanych ze środków publicznych.

> Poprawa warunków bytowych po II wojnie światowej w kwestii ciepłoty mieszkań zaszła za daleko. Zamieniła je w duszne **terraria sprzyjające rozwojowi roztoczy i pleśni,** ale nie Homo sapiens.

W ciszy kolebce

Śmiem więc twierdzić, że z dwóch różnych miłości, jakimi darzymy zimno lub upały, ta druga jest bardziej bezrefleksyjna. Zamiłowania do chłodu właściwie nigdy nie wynosimy z domu rodzinnego. Więcej, droga do odkrycia własnej klimatycznej tożsamości w wielu przypadkach prowadzi przez odrzucenie góry nawyków i stereotypów tłoczonych przez ciepłolubne społeczeństwo. Już dzieci w przedszkolu tresuje się w oczekiwaniu na wiosnę, której nadejściu towarzyszy rytuał topienia marzanny. Gdy kilka lat temu pewien dobrze mi znany i niezwykle rezolutny pięciolatek zapytał panie przedszkolanki, dlaczego dla równowagi nigdy nie chodzą z przedszkolem utopić czegoś, co symbolizowałoby koniec upałów, nauczycielki omal nie wezwały rodziców. Niewinne pytanie dziecka zapachniało im prowokacją, bo przecież lato i zima to – jak mówi jedno z polskich przysłów – „jak lato a zima".

Uroki ciepła w gruncie rzeczy sprowadzają się jednak do palety dość trywialnych doznań, które można by zrównać ze słodyczą. W reakcji na bodziec, jakim jest ciepło, mięśnie ulegają rozluźnieniu, a umysł przełącza się w roszczeniowy tryb nagród. Z badania ogłoszonego kilka lat temu na łamach magazynu „Trends in Endocrinology & Metabolism" wynika, że ograniczenie ekspozycji na temperaturę poniżej 17 stopni Celsjusza do mniej niż trzech godzin dziennie prowadzi do zmian funkcjonowania metabolizmu, które mogą skutkować wzrostem masy ciała.

Ciepło łatwo zatem przedawkować. Z chłodem – który w tej konwencji można uznać za odpowiednik umami – raczej nie będzie tego problemu. Ciepło to wielość i ruch. Zimno – z punktu widzenia fizyki efekt spowolnienia prędkości atomów – to jedyny *ersatz* nieśmiertelności, jakim natura była łaskawa się z nami podzielić.

Poeci rzadko gadają z fizykami, dlatego nie wiem, jakim cudem udało się Jarosławowi Iwaszkiewiczowi utrafić w ten stan hamowania wszechświata w wierszu „Nim przyjdzie wiosna". W późnojesiennej „ciszy kolebce", przerywanej jedynie przez cichą melodię brzozowych witek poruszanych wiatrem, poeta zrozumiał, że jest „w nieskończoności, / w morzu miłości do ludzi".

Spróbujcie wykrzesać z siebie równie gorące uczucie gatunkowego solidaryzmu w lipcu, na zatłoczonej bałtyckiej plaży!

©℗ MAREK RABIJ

RDC POLSKIE RADIO **AUTOR** będzie gościem Grzegorza Chlasty w środę 21 kwietnia o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia.
| Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM
| Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
oraz na Mazowszu i w Warszawie – **www.rdc.pl**

STANISŁAW

Mancewicz:
Rytualnie

Tu i ówdzie powiada się, że czasy tradycyjnie pojmowanej demokracji już się zakończyły, i że lud woli być chwyconym za tzw. mordę. Po pierwsze: używamy tego kapitalnego określenia, oddaje ono bowiem sens, smak i piękno mowy ojczystej. Pielęgnowanie tych walorów jest przecież naszą misją i psim obowiązkiem. Po drugie: ruszamy ten temat, bo jest on nieustannie świeży, choć wciąż wydaje się nam, że omawiający błąkają się jednak w egipskich labiryntach pozbawionych oświetlenia. Oczywiście, można sobie cokolwiek twórczo pomniemać na temat upadku demokracji, dajmy na to, w Anglii, we Francji bądź w Niemczech. To znaczy wszędzie tam, gdzie jej obecność nie budzi niczyjej wątpliwości poza specyficznymi tam kręgami specyficznych osobników o specyficznej umysłowości.

Ktoś tu teraz ze łzami w oczach powie, że sugerowanie braku prawdziwie europejskiej demokracji w Polsce to klasyczna dla naszej formacji skłonność do pomniejszania naszej tzw. „drogi ku...", że w odwiecznym przyklęku traktujemy Zachód i jego idee jako coś lepszego, upokarzając na każdym kroku polską śródziemnomorskość, polski kapitał cywilizacyjny, polskie wniesienie ideowe i mityczne osiągnięcia polskich architektów w budowaniu Przedmurza. Otóż chcemy uspokoić wszystkich, że Przedmurze uważamy za fundament tutejszego dziedzictwa i póki sił starczy, będziemy walczyć, by znalazły się fundusze na odgrzybianie tego obiektu, a nazywanie jego obecnego strażnika Zmurszałkiem zawsze uznamy za grubiaństwo. Jakoś nam – jak widać – w chwilowej zapalczywości umknął na moment temat, którym jest wieszczony dziś upadek demokracji w świecie Zachodu i przewidywany rychły, a powszechny mordochwyt.

Oto nasze utwardzone życiowym doświadczeniem przekonanie jest takie, że tak, w tym stylu i w tym dukcie, to można sobie gwarzyć we Francji popijając burgunda, na Wyspach popijając dżin bądź to w Niemczech popijając piwo rzemieślnicze, u nas zaś rozmowa na ten temat musi wyglądać inaczej, i to nie tylko dlatego, że pijemy co innego, i że siedzimy oparci o Przedmurze, którego strzeże Zmurszałek z halabardą. Po prostu nadszedł czas, by rozwiać pewne złudzenia. Oto apelujemy, by uznać za fakt, iż model tzw. zachodniej demokracji nie przyjął się w Polsce w żadnym sensie, poza rytuałem. Można rzec więcej – że jest to oszałamiający i gdzie indziej na planecie niespotykany zbiór rytuałów, z najszczegółowszymi instrukcjami ich uprawiania. Można tę myśl skrzydlatą i skandaliczną niestety bardzo boleśnie rozwinąć. Oto popatrzmy trzeźwym okiem: wszystko, nawet głoszone tu idee, jest głoszone rytualnie z powodów wyłącznie rytualnych. Ktoś dramatycznie i rytualnie zawoła teraz: Jak tak można!? Dokąd ma nas zaprowadzić takie brzydkie rytualne gadanie!? Znów na klęcznik? Hańba! Trzeba jednak zachować spokój, spokojnie oprzeć się o Przedmurze, popatrzeć jak Zmurszałek patroluje blanki, jak macha halabardą, trzeba wreszcie rytualnie odbić flaszkę, posmarować skibkę chlebusia, rozpakować makrelkę, dziubnąć chrzaniku i zsumować: Kodeks drogowy – rytuał, system sprawiedliwości, edukacji, zdrowia, liczne tu wierzenia, liczenie głosów w parlamencie, piłka nożna... Wszystko to – popatrzmy – ma sens na poziomie tylko rytualnym. Każda głębsza próba wniknięcia, przeegzaminowania, urealnienia, zimnej oceny, wszystko to kończy się zawsze przykrościami i rozczarowaniem. Nie róbcie tego. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

weź, czytaj!

zanim zabraknie

Zamów nasze *the best of* – tematyczne numery „Tygodnika Powszechnego. Wydania Specjalnego", zanim ich nakłady się wyczerpią. Napisz na adres: **zamowienia@TygodnikPowszechny.pl**, my zajmiemy się resztą.

Do kompletu 4 wybranych wydań piąte dodajemy GRATIS*!

W ofercie dostępne są wydania: „Polska Żydowska", „Smak wolności", „Zwierzenia zwierząt", „Halo tu Ziemia", „Dobre życie", „Moc kobiet", „Święto spotkania".

* Cena pojedynczego wydania archiwalnego – 15 zł.

i w prenumeracie:

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO"

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym:
  Tygodnik Powszechny z siedzibą w Krakowie
  Bank Pekao SA
  nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 660 692 101 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	420 zł	540 zł
Półroczna (26 numerów)	240 zł	300 zł
Kwartalna (13 numerów)	130 zł	160 zł
Pokolenia*	365 zł	
Karta Dużej Rodziny**	365 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY. WYDANIE SPECJALNE" W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM"

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	490 zł	610 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	430 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	430 zł	
4 wydania specjalne	**75 zł**	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

PARTNER MARKETINGOWY

SALESmanago marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

REKLAMA
ZOBACZ
MNIE
PRZEKAŻ
1%
POMÓŻ NAM
CHRONIĆ
DZIECI
KRS 0000 056 901
SOS WIOSKI
DZIECIĘCE
www.dziecisos.org

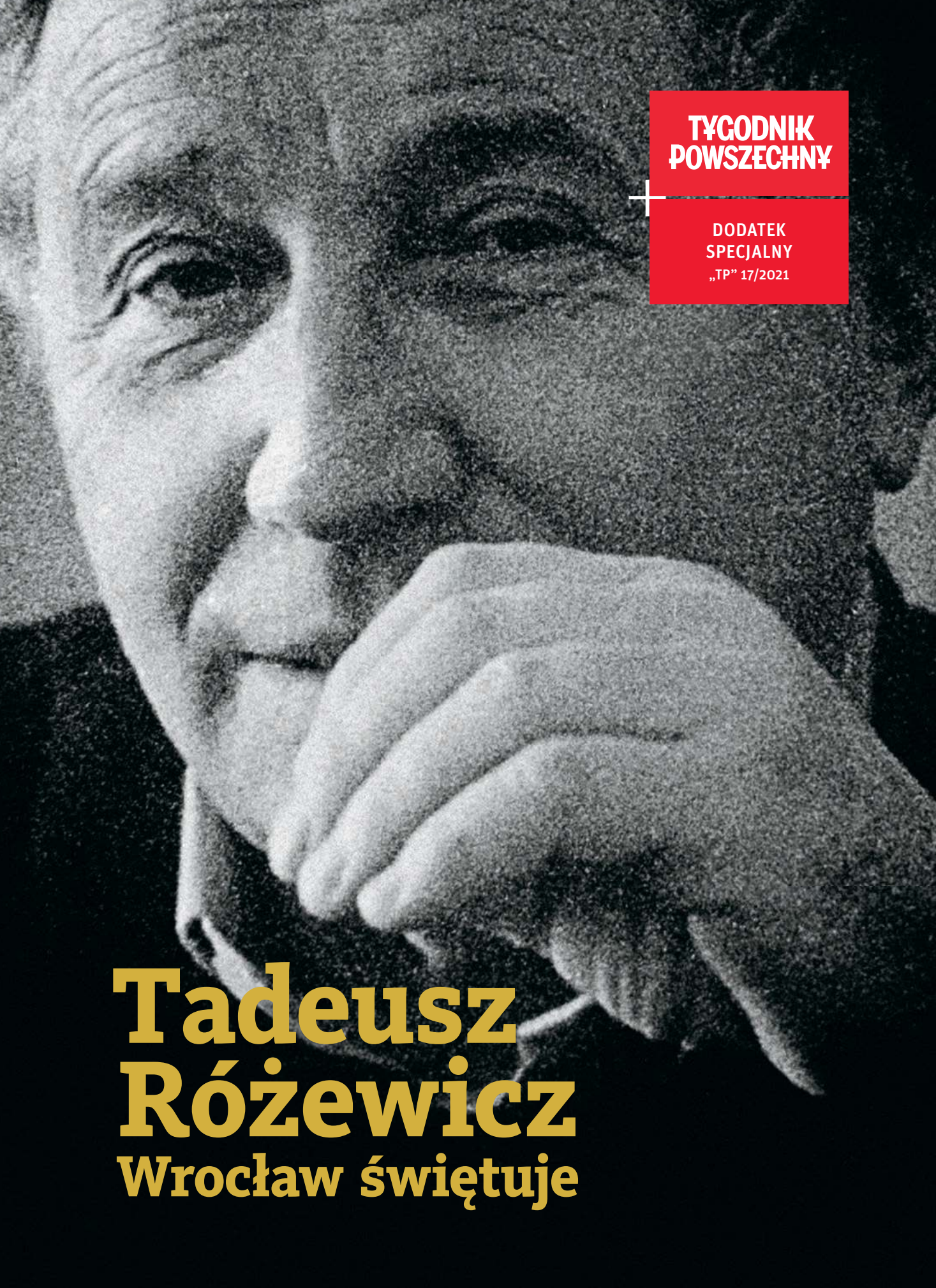

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP" 17/2021

Tadeusz Różewicz

Wrocław świętuje

WYBRANE WYDARZENIA W RAMACH OBCHODÓW ROKU TADEUSZA RÓŻEWICZA WE WROCŁAWIU

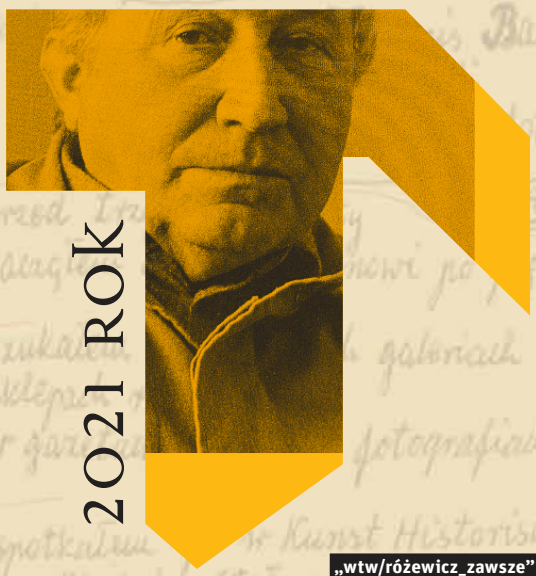

GRAFIKA: MARTA PŁONKA

Nadanie imienia Tadeusza Różewicza skwerowi u zbiegu ulic Powstańców Śląskich i Sztabowej
Rewitalizacja zieleńca przez Zarząd Zieleni Miejskiej. Inwestycja obejmuje remont ciągów komunikacyjnych, dokończenie oświetlenia, utworzenie sceny plenerowej i założenie zieleni.
▪ **ZAKOŃCZENIE REALIZACJI PRAC: przełom drugiego i trzeciego kwartału 2021 r.**

Monodram – tłumaczenie utworów T. Różewicza na język migowy na żywo, data premiery 20 listopada 2021 r., Wrocławski Teatr Współczesny
Prezentacja twórczości Tadeusza Różewicza na wszystkie sposoby i wszelkimi środkami. Działanie teatralne będzie skierowane do widzów zarówno słyszących, jak i niesłyszących. Plan operowania językiem migowym stanie się również planem pantomimicznej akcji teatralnej. Reżyserem monodramu jest Wojciech Ziemilski.

„Tu odbywa się karmienie słowem. Godzina karmienia: dziewiętnasta" – konferencja performatywna (Instytut im. Jerzego Grotowskiego)
Tytuł nawiązuje do fragmentu tekstu Tadeusza Różewicza poświęconego spektaklowi „Apocalypsis cum figuris" Jerzego Grotowskiego. Projekt dotyczy rekonstrukcji wspólnego zamysłu artystycznego tych twórców, mającego na celu przygotowanie przez Teatr Laboratorium przedstawienia opartego na tekstach poety.
▪ **22 KWIETNIA 2021 r.**

„Złowione" (Instytut im. Jerzego Grotowskiego)
Spektakl premierowy w reżyserii Jarosława Freta. Projekt wynika bezpośrednio z wyżej opisanego przedsięwzięcia „Tu odbywa się karmienie słowem".
▪ **7–8 PAŹDZIERNIKA 2021 r.**

„Zawsze Fragment" – przegląd teatralny (Instytut im. Jerzego Grotowskiego)
Kontynuacja prezentacji fragmentów (monologów, mikrokompozycji i scen ze spektakli) rozrzuconych po „nieteatralnych" przestrzeniach Wrocławia, takich jak przejście podziemne, kawiarnia, centrum handlowe czy parking. Tym razem proponujemy pięć spektakli na podstawie poematów Różewicza, m.in. trzy słynne adaptacje jego dzieł: „Duszyczkę" w reżyserii Jerzego Grzegorzewskiego (wciąż będącą częścią repertuaru Teatru Narodowego w Warszawie), „Odchodzi" Sceny Plastycznej KUL w reżyserii Leszka Mądzika oraz spektakl lalkowy „Śmieszny staruszek" w reżyserii Wiesława Hejny. Zostaną one zderzone z nowymi prezentacjami i językami teatralnymi – przedstawieniem przygotowywanym przez Wrocławski Teatr Pantomimy oraz spektaklem „Złowione" stworzonym przez Instytut Grotowskiego.
▪ **KWIECIEŃ–PAŹDZIERNIK 2021 r. (finał w okolicach rocznicy urodzin Różewicza).**

„Bohater.dok" (Instytut im. Jerzego Grotowskiego)
Projekt, w którym za pomocą technik teatru dokumentalnego powstanie portret dzisiejszego everymana – człowieka szarego, przeciętnego, „każdego" – stworzony na podstawie wywiadów, badań terenowych i pracy dramaturgicznej. Efektem będzie osiem spektakli – części mozaiki twórczo nawiązujących do dzieł Różewicza i do Różewiczowskiego bohatera. W przedsięwzięciu weźmie udział 40 artystów: aktorów, debiutujących i doświadczonych reżyserów, muzyków i ekspertów. Projekt jest kontynuacją rozpoczętego w 2018 r. programu „Teatr na faktach". Współpraca: Stowarzyszenie Garaże Kultury.
▪ **CZERWIEC–PAŹDZIERNIK 2021 r.**

„wtw/różewicz_zawsze" (Wrocławski Teatr Współczesny)
Pięć czytań performatywnych wybranych dramatów Różewicza przez pięć kolejnych dni. Każde prezentowane dwukrotnie – wieczorem dla widzów dorosłych, przed południem dla młodzieży (te drugie będą połączone z warsztatami teatralnymi). Współpraca: Instytut im. Jerzego Grotowskiego, Muzeum Teatru we Wrocławiu, Teatr Muzyczny Capitol oraz Teatr Polski w Podziemiu.
▪ **5–9 PAŹDZIERNIKA 2021 r.**

Różewiczowskie Jam Session „24'21 Różewicz" (Teatr Muzyczny Capitol)
Nieprzerwane, 24-godzinne *jam session* poetycko-muzyczne według pomysłu Konrada Imieli, z wykorzystaniem wierszy i poematów Tadeusza Różewicza. Co pół godziny zmieniają się aktor lub aktorka, którzy czytają, deklamują albo śpiewają jego utwory. Każdemu wejściu nowego wykonawcy towarzyszy wymiana jednego z muzyków w kilkuosobowym zespole improwizującym do kolejnych wierszy. Autor „Niepokoju" wydał 46 zbiorów poetyckich. Chcemy w 48 półgodzinnych blokach sięgnąć do wszystkich tomików, by tworzyć nieoczywiste zestawienia instrumentalne i aranżować inspirujące spotkania artystów skupionych na wspólnym przekazywaniu publiczności tekstów Różewicza. Cały koncert będzie transmitowany w internecie za pośrednictwem kilku kamer, a później zostanie podzielony na 48 fragmentów, które znajdą się na stałe na naszym kanale w serwisie YouTube.
▪ **2–3 PAŹDZIERNIKA 2021 r. na dziedzińcu teatru (patio pod szklanym dachem).**

Dzień Tadeusza Różewicza (Wrocławski Teatr Lalek)
Wrocławski Teatr Lalek planuje uczcić Rok Tadeusza Różewicza, organizując dzień edukacyjny. Za jego program i przebieg odpowiadają m.in. reżyserka Marta Streker i dramatopisarka Agnieszka Wolny-Hamkało, prowadzące młodzieżową grupę teatralną WTL „Robimy".
▪ **20 PAŹDZIERNIKA 2021 r.**

„Tadeusz Różewicz i inni" – wystawa autorska Elżbiety Wernio (Muzeum Miejskie Wrocławia)
Wystawa scenografii m.in. ze spektakli „Pułapka", „Kartoteka", „Stara kobieta wysiaduje", których autorką jest prof. Elżbieta Wernio – kierownik Katedry Scenografii na Wydziale Architektury Wnętrz, Wzornictwa i Scenografii Akademii Sztuk Pięknych im. Eugeniusza Gepperta we Wrocławiu. Jej dorobek jako scenografki obejmuje (od 1983 r.) ponad 70 realizacji w polskich teatrach dramatycznych, teatrze telewizji i filmach muzycznych.
▪ **11 CZERWCA – 10 PAŹDZIERNIKA 2021 r. w Muzeum Teatru im. Henryka Tomaszewskiego.**

Ławka – rzeźba kamienna (Muzeum Miejskie Wrocławia)
Ustawienie granitowej ławki w ulubionym miejscu Różewicza w parku Południowym, gdzie powstawały koncepcje jego utworów, a nawet całe teksty poetyckie.

Dzień Różewicza (Centrum Historii Zajezdnia)
Wydarzenie w ramach międzynarodowego projektu „Remembrance and Future Forum". Spotkanie wspomnieniowe z abp. Alfonsem Nossolem i z Richardem Demarco pt. „Art and healing of war wounds – Demarco, Kantor, Różewicz".
▪ **31 LIPCA 2021 r.**

„Szuflada Różewicza" – wystawa (Centrum Historii Zajezdnia)
Wystawa czasowa w postaci przeziernej konstrukcji, osnuta wokół osobistych pamiątek Różewicza ze zbiorów CH Zajezdnia. Ekspozycja mająca symboliczną formę pokoju poety ukaże zawartość jego „szuflady" i będzie pretekstem do przypomnienia jego twórczości.
▪ **LIPIEC–SIERPIEŃ 2021 r.**

Nocne czytanie tekstów Tadeusza Różewicza (Centrum Historii Zajezdnia)
Do czytania tekstów poety zaproszeni zostaną włodarze miasta oraz artyści i inni ludzie kultury. Wydarzenie odbędzie się w godzinach wieczornych i będzie transmitowane w internecie.
▪ **9 PAŹDZIERNIKA 2021 r.**

Wystawa i wydanie katalogu (Strefa Kultury Wrocław)
Prezentacja prac stworzonych przez Tadeusza Różewicza i Eugeniusza Geta-Stankiewicza oraz publikacja katalogu przedstawiającego ich współpracę. Kuratorem wystawy jest Marek Stanielewicz.

REKLAMA

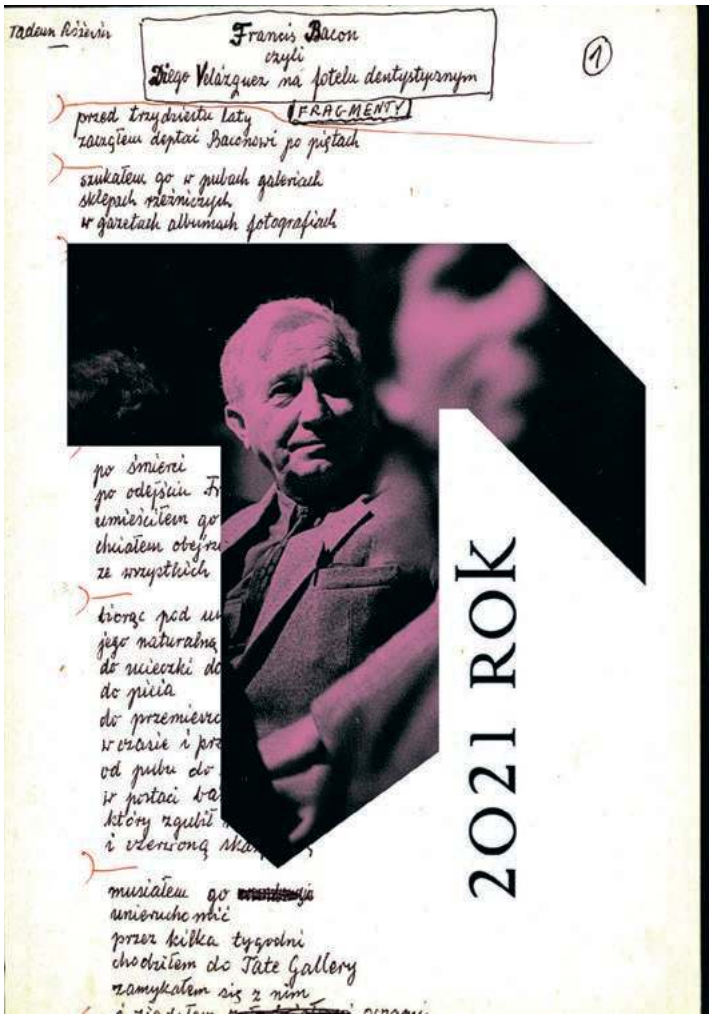

GRAFIKA: MARTA PŁONKA

GRAŻYNA MAKARA

W „Nowej szkole filozoficznej” Tadeusz Różewicz napisał: „Właściwie powinno się wymawiać tylko niezbędną do życia ilość słów”, postaram się więc być możliwie oszczędny. Dodatek, który oddajemy w Państwa ręce, poświęcony jest poecie, o którym powiedziano dotychczas wiele słów, być może niektóre z nich były nawet mądre. Ale cóż można jeszcze dodać do biografii i twórczości pisarza, który już za życia stał się klasykiem i chyba najważniejszym filarem polskiej poezji i polskiego dramatu XX wieku?

Setna rocznica urodzin i siódma śmierci to jedynie pretekst, by znów o Różewiczu pomyśleć, spróbować go sobie na nowo poukładać w głowie, zobaczyć, jak rezonuje z rzeczywistością tu i teraz. Literatury, a poezji w szczególności, nie należy przypominać (od tego są zakurzone gablotki), ale raczej nieustannie ją testować – sprawdzać, czy wciąż potrafi nam powiedzieć coś istotnego o świecie.

Dlatego w naszym dodatku podsuwamy różne tropy – biograficzne, teatralne czy poetyckie – aby każdy, na własną rękę, mógł sprawdzić, dokąd Różewicz jest w stanie go zaprowadzić. Wrocławskie obchody roku jego imienia są doskonałą ku temu okazją. A, i jeszcze jeden z moich ulubionych cytatów z poety: „Ja już może skończę, nie chcę państwa znudzić, to będzie wydrukowane, więc sobie przeczytacie”. ©℗

MICHAŁ SOWIŃSKI

4 Rozmowa z Julią Różewicz
TO JA PRZYNIOSŁEM

8 Andrzej Skrendo
ŚMIERĆ I NARODZINY POETY

10 **ZDJĘCIA ROZRZUCONE**

12 Józef Kelera
WROCŁAW UCZYŁ SIĘ RÓŻEWICZA

14 Wojciech Browarny
KSIĘŻYC I WYSPA

16 Jarosław Fret
TEGO SIĘ POECIE NIE ROBI

18 Jacek Sutryk
SZTUKA UKŁADANIA SŁÓW

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” NR 17/2021 | www.TygodnikPowszechny.pl
REDAKCJA: Michał Sowiński | OPIEKA WYDAWNICZA: Maja Kuczmińska, Marta Filipiuk-Michniewicz
PROMOCJA: Patryk Stanik, Monika Ochędowska
PROJ. GRAF. Marek Zalejski | FOTOEDYCJA: Grażyna Makara | OKŁADKA, SKŁAD: Anna Prusiewicz, Renata Surowiec / DoLasu
KOREKTA: Katarzyna Szkaradnik, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Grzegorz Bogdał

Dodatek powstał we współpracy z Wydziałem Komunikacji Społecznej i Wydziałem Kultury UMW

Na okładce: Tadeusz Różewicz w Teatrze Polskim we Wrocławiu (1986 rok) – pierwsze zdjęcie Poety wykonane przez fotografa Adama Hawałeja, który od tego momentu będzie towarzyszył Różewiczowi z obiektywem przez blisko 30 kolejnych lat

Autorem key visual Roku T. Różewicza we Wrocławiu jest:
Marta Płonka, prorektor Akademii Sztuk Pięknych we Wrocławiu

PARTNERZY

rok 2021 Różewicza TADEUSZA

Wrocław miasto spotkań

Strefa Kultury Wrocław

www.wroclaw.pl

ADAM HAWAŁEJ

W domu na Januszowickiej, Wrocław 1988 r.

To ja przyniosłem

JULIA RÓŻEWICZ, BOHEMISTKA, WNUCZKA TADEUSZA RÓŻEWICZA:

Nie był typem dziadka, który ciągle powtarza: „Za moich czasów...". Wolał komentować to, co tu i teraz. Lubił słuchać, co u mnie, co u „młodych", był ciekawy świata, nowinek. Z zainteresowaniem oglądał nawet reklamy telewizyjne.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Jak Pani dziadek czuł się we Wrocławiu? Tęsknił za swoimi poprzednimi domami?

JULIA RÓŻEWICZ: Kiedy się urodziłam, dziadkowie mieszkali we Wrocławiu już od czternastu lat, więc ja po prostu nie znałam dziadka jako obywatela innego miasta. Czasami opowiadał o ludziach czy sytuacjach z przeszłości, ale raczej nie o samych miejscach. Cała rodzina boleśnie wspominała przeprowadzkę z Gliwic, bo w jej trakcie uciekła im ukochana Psotka, kotka syjamska. Tak bardzo przeżyli tę stratę, że potem już nie chcieli mieć kolejnego zwierzęcia.

Dziadek sporo podróżował po świecie, często go nie było, ale im był starszy, tym mniej miał na to siły i chyba bardziej doceniał dom. Dużo chodził, potrzebował świeżego powietrza. Kiedy mieszkali na Krzykach, musiał codziennie wyjść na długi spacer do parku Południowego. Potem, gdy przenieśli się na Biskupin, przechadzał się aleją Dembowskiego i wałami nad Odrą. Właśnie przy tym ostatnim domu – który po raz pierwszy w jego życiu był faktycznie domem, a nie mieszkaniem w bloku czy kamienicy – nareszcie miał ogród, gdzie spędzał dużo czasu.

Został ogrodnikiem?

Chyba nigdy nie miał takich ciągot – nie pomagał w plewieniu grządek ani podlewaniu, tylko zakładał swoją odwieczną czapkę rybacką i siedział sobie na plastikowym, zielonym krześle. Coś czytał albo, ot tak, dumał. Obrywał też z krzaka poziomki albo maliny, które przynosił babci z taką dumą, jakby je co najmniej upolował. Kiedy babcia podawała je potem w galaretce, podkreślał: „To ja przyniosłem". Myślę, że w tym domu dziadek czuł się najlepiej, właśnie ze względu na ogród, biskupińską ciszę i brak sąsiadów z góry i z dołu.

Które jeszcze miejsca lubił we Wrocławiu?

Potrzebował zieleni, więc parki: park Południowy, Szczytnicki, wały przy parku Biskupińskim, Ogród Botaniczny i Japoński. Miał też kartę stałego bywalca zoo, często odwiedzał tam ulubione zwierzęta. O tygrysie czy nosorożcu nawet pisał. Lubię sesję zdjęciową dziadka z białym tygrysem. Fotograf Adam Hawałej uchwycił także moment, gdy dziadek wyjmuje grzebień i się przyczesuje. Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek tak poprawiał swój wygląd do zdjęć rodzinnych. Przypuszczam, że nie ludzie, ale właśnie tygrys czy drzewo byli według niego warci uczesania się. Spośród zdjęć swojego prawnuka też najbardziej lubił to z zoo, gdzie Mikołaj pozuje z kozą. Dziadek oprawił je w ramkę i postawił w swoim pokoju. Wolał to niż na przykład zdjęcie wnuczki z prawnuczkiem – kadr z kozą najwyraźniej podobał mu się bardziej. Uwielbiał też muzea – wszystkie, ale z wrocławskich najczęściej bywał w Narodowym. Studiował historię sztuki, a malarstwo było zawsze jego wielką pasją.

> Technologia była jego słabą stroną, mimo to bardzo dużo wiedział o współczesnym świecie. Na przykład napisał wiersz o blogerkach modowych. Dziadek, bez względu na wiek czy stan zdrowia, po prostu chłonął świat.

A restauracje?

Tego nie wiem, ale nie sądzę, by stołował się na mieście, mając w domu taką szefową kuchni jak babcia.

Wspominał przeszłość?

Nie był typem dziadka, który ciągle powtarza: „Za moich czasów...". Wolał, przynajmniej ze mną, komentować to, co tu i teraz. Lubił słuchać, co u mnie, co u „młodych", był ciekawy świata, nowinek. Z zainteresowaniem oglądał nawet reklamy telewizyjne. Kiedy pytałam go o coś konkretnego z przeszłości, odpowiadał, nie robił uników. Po prostu rzadko wychodził ze wspomnieniami sam z siebie. Specjalistką od historyjek, przedwojennych piosenek, powiedzonek i wiecznego porównywania „teraz" z „kiedyś" – oczywiście na korzyść tego drugiego – zawsze była babcia.

Dziadek komentował bieżące życie polityczne w Polsce?

Oj tak, zwykle dosyć zgryźliwie. Interesowało go wszystko: od polityki, przez piłkę nożną i skoki narciarskie, aż po Eurowizję. Nie wiem, dlaczego szczególnie zapadł mu w pamięć Ryszard Rynkowski – często, kiedy była mowa o sławie, śpiewaniu czy ogólnie o celebrytach, mówił: „jak Rynkowski". W końcu zwróciłam mu uwagę, że Rynkowski, wówczas chyba już sześćdziesięcioletni, niespecjalnie może uchodzić za symbol gwiazdy-skandalisty. Dziadek spytał więc, kto może, a ja mu podsunęłam Dodę. Potem wśród jego wycinków znalazłam sporo na jej temat. Chyba wziął to sobie do serca.

Fascynował się jeszcze innymi celebrytami?

Był wielbicielem Meryl Streep, między jego szpargałami znalazłam nawet adres do jej agenta. Ciekawe, po co go zdobył. Może napisał do niej list albo próbował umówić się na spotkanie? Chyba już się nie dowiemy. Ale sprawa dziadka i Meryl Streep na pewno jest tematem do zbadania. Podobno Streep nawet śpiewała w Nowym Jorku piosenkę do tekstu jednego z wierszy dziadka, niestety nie znam szczegółów.

Szkoda! Ponoć był także maniakiem prasy.

Namiętnie czytał gazety, podczytywał też kolorowe pisma babci, nawet „Życie na Gorąco". Niby oboje się z tego śmiali, ale kupowali je regularnie. Kiedy planował napisanie czegoś dłuższego, zbierał konkretne materiały (jak na przykład do wiersza o Wandzie Rutkiewicz), a czasami po prostu odkładał wycinki, które wydały mu się zabawne albo ważne. W wielu jego utworach wyraźnie wybrzmiewa drwina z różnych idiotycznych nagłówków – medialnego bełkotu, który go zawsze drażnił. Nigdy natomiast nie miał komputera ani dostępu do internetu. Technologia była jego słabą stroną, mimo to bardzo dużo wiedział o współczesnym świecie. Na przykład napisał wiersz o blogerkach modowych. Zadziwiały mnie jego wszechstronne zainteresowania i ciągły głód wiedzy. Dziadek, bez względu na wiek czy stan zdrowia, po prostu chłonął świat.

Jego gabinet musiał wyglądać inaczej, niż można by odruchowo założyć.

Dziadek lubił durnostojki, małe figurki, muszelki, wazoniki. Cieszyły go nawet zabawki z Kinder Niespodzianki. Uzbierał całkiem pokaźną kolekcję smerfów i wesołych hipopotamów. Uwielbiał wszelkie łapacze kurzu: pamiątki z podróży typu „powietrze z Paryża" ↦

Źle znosił każdy hałas, nawet muzykę. Właśnie w pogoni za ciszą często wyjeżdżał za granicę czy do Domu Pracy Twórczej ZAiKS-u. Była mu absolutnie niezbędna do pracy.

ARCHIWUM RODZINNE

Z żoną i wnuczką, 1985 r.

↦ w puszce, stateczek znad morza. Ustawiał to wszystko w jednym miejscu, taki ołtarzyk bibelotów. Jesienią zawsze przynosił ze spaceru kasztany, a że na spacery chodził codziennie, na kasztany można było się natknąć w wielu zakątkach domu. A w gabinecie miał ich mnóstwo.

Nad biurkiem dziadka wisiały dwa portrety: zdjęcie jego mamy, prababci Stefanii, oraz Adama Mickiewicza. Na ścianach – szkice botaniczne, małe obrazki. Niczego nie wyrzucał, dlatego w szufladach miał straszny bałagan. Babcia próbowała jakoś to porządkować, kupowała teczki, ale w papierach i tak nigdy nie udało się utrzymać ładu. Równo składał ubrania, zawsze ścielił łóżko, ogólnie był bardzo schludny. Chaos panował głównie w szufladach. Kolekcjonował też podkładki pod piwo i kartki pocztowe. Najbardziej lubił te z różnych galerii sztuki, z reprodukcjami malarstwa i rzeźb. Oczywiście w gabinecie była też masa książek, wiele z bardzo cennymi dedykacjami. Niemal cała biblioteczka i rzeczy z ostatniego gabinetu dziadka – meble, książki, zawartość biurka, obrazki – znajdują się teraz w zbiorach Ossolineum. Prawdopodobnie niebawem będą dostępne dla zwiedzających.

Widywała go Pani przy pracy?

Kiedy dziadek pracował, nie wolno było wchodzić do jego pokoju. Prosił, żeby mu nie przeszkadzać, albo po prostu zamykał się na klucz. Na pewno potrzebował ciszy, nie tylko podczas pracy. Źle znosił każdy hałas, nawet muzykę. Ironia losu, bo teraz dokładnie pod jego dawnym gabinetem nasz syn trzyma zestaw perkusyjny, w który wali po kilka godzin dziennie. Za życia dziadka raczej by do tego nie doszło. Mój tato wspominał, że dziadek terroryzował ich w domu ciszą. Teraz, próbując pracować zdalnie w czasie pandemii, trochę go rozumiem. Właśnie w pogoni za ciszą często wyjeżdżał za granicę czy do Domu Pracy Twórczej ZAiKS-u w Konstancinie. Była mu absolutnie niezbędna do pisania.

A niezbędne akcesoria?

Babcia robiła mu kawę w dużej, zaokrąglonej szklance, niekiedy też palił w trakcie pracy. Wcześniej papierosy, potem cygaretki. Nie był nałogowym palaczem, nawet się nie zaciągał. Chyba po prostu lubił otaczać się dymem podczas pisania.

Do końca życia pisał ręcznie?

Tak, długopisem albo cienkopisem. Babcia przez całe lata przepisywała jego teksty na maszynie. Bardzo oszczędzał papier, zapisywał każdy skrawek kartki, a notesy do samego końca, łącznie z wewnętrznymi stronami okładek. Robił masę notatek: w książkach, na serwetkach, kartkach z kalendarzyka, podkładkach pod piwo. Lubił też kolorowe kredki i flamastry. Ozdabiał nimi teczki i rękopisy – na przykład brał tytuł utworu w kolorową ramkę, często dorysowywał jakieś elementy. Zawsze było w nim coś z niespełnionego malarza.

W wywiadach i jego biografiach rzadko pojawiają się wątki rodzinne.

Być może wiele o tym nie opowiadał, bo babcia i dziadek byli tak zgodnym małżeństwem, że rozczarowałoby to głodnych sensacji czytelników. Byli ze sobą siedemdziesiąt pięć lat! Na początku babcia utrzymywała rodzinę. Pisanie, jak można się domyślać, nie przyniosło dziadkowi natychmiastowych korzyści materialnych. A rodzina nie była mała, bo mieszkały z nimi jeszcze obie mamy i Eliza, młodsza siostra babci. Potem na świat przyszło dwóch synów – starszy, Kamil, w roku 1950 i młodszy, Jan, mój tato, w 1953. W opowieściach dziadków nigdy nie było mowy o biedzie, używali raczej określenia „skromne życie". To podejście zostało im do końca, szanowali przedmioty i oszczędzali. Nigdy nie słyszałam, żeby dziadkowie się pokłócili, czy choćby podnieśli na siebie głos. Podział obowiązków w domu był jasny: babcia robiła wszystko, dziadek – nic...

Hmm...

Brzmi strasznie, ale wydaje mi się, że to też trochę wina babci, która krytykowała go za wszelkie próby samodzielności.

Zrobił sobie kanapkę, to zaraz było: „Dziadek osobnym nożem kroi chleb, osobnym nożem smaruje kromkę masłem, osobny nóż bierze do sera, osobny do pomidora. Jedną kanapkę zrobił, a cztery noże zabrudził!”. Chyba trochę bał się wychylać. Ale byli dla siebie bardzo czuli, zwracali się do siebie: „kociątko”, „kochanie”. Mieli swoje nieme gesty i spojrzenia, w których był ogrom miłości i szacunku. To dziadek zawsze przynosił na stół alkohol, ale zanim komukolwiek nalał, patrzył na babcię i działał dopiero, kiedy ta skinęła głową. Babcia miała bardzo sprytną metodę rządzenia w domu: stwarzała dziadkowi iluzję, że to on rządzi. A on chyba w to wierzył.

Jakim był ojcem?

Z opowieści mojego taty i wujka wynikało, że radził sobie na tyle, na ile potrafił. Choć na pewno nie był typem ojca, który spędza dużo czasu z synami, zabiera ich na ryby czy wycieczki rowerowe. Ale wspominali, że jeszcze w Gliwicach chodzili z nim na długie spacery, rozmawiali, strzelali z łuku i wiatrówki. Mieli też niedzielny rytuał: po obiedzie opowiadał synom historie o Sherlocku Holmesie, ale nie autorstwa Conana Doyle’a, tylko własne. W ich domu wychowywaniem dzieci zajmowały się głównie obie babcie – mama i teściowa dziadka. Na pewno starał się być dobrym tatą, skutecznie zachęcał synów do nauki, szczególnie języków obcych. Mnie również, też skutecznie. Bardzo się cieszył z prawnuka, mojego syna. Już od pierwszych miesięcy jego życia przepowiadał mu świetlaną przyszłość dyrektora Banku Światowego. Z kolei kiedy Mikołaj dał mu swoje dość wątpliwej urody dzieło z zajęć ceramicznych w przedszkolu, dziadek od razu chciał zanieść je do dyrektora Muzeum Narodowego, Mariusza Hermansdorfera... Nie był specjalnie wylewny, przynajmniej nie w słowach. Ale w towarzystwie bliskich osób miał tyle uśmiechu i troski w oczach, że wszystko było jasne.

Jak Pani wspomina go jako dziadka?

Nie miał sióstr ani córek, więc byłam pierwszą w jego życiu małą dziewczynką, a potem nastolatką. Myślę, że trochę się w tym gubił. Byłam dla niego czymś w rodzaju tajemniczego zjawiska, któremu przyglądał się ze zdumieniem i czułością, ale z którym nie bardzo wiedział, co zrobić. Nie byłam zresztą idealną wnuczką, szczególnie w tak zwanym okresie buntu miałam krnąbrny charakter. Nigdy też nie czciłam dziadka jako „wielkiego poety”, jego sława raczej mi ciążyła i mówiłam o nim dopiero, gdy ktoś sam skojarzył i zapytał.

Później doceniła Pani jego twórczość?

Tak na dobre dopiero wtedy, kiedy już nie mogłam mu o tym powiedzieć. Ale mimo to mieliśmy bardzo ciepłą, naturalną relację. Dziadek szanował moją znajomość czeskiego, często o coś pytał albo udawał, że zna czeski. Na przykład przytaczał jakieś zdanie zapamiętane z czeskiej telewizji. Uwielbiał Pragę – często tam jeździł – i lubił ciemne piwo, a te dwie sprawy zdecydowanie nas łączą.

Skoro rozmawiamy tuż przed Wielkanocą – lubił święta?

Spędzaliśmy wspólnie większość z nich. Babcia urządzała naprawdę wspaniałe, obfite święta, z mnóstwem potraw i ciast. Dziadek mocno trzymał się wszelkich tradycji, wydaje mi się wręcz, że to właśnie jemu najbardziej na nich zależało. Zawsze przed wigilią czytał fragment z Biblii. Wznosiliśmy toasty – jako dziecko dostawałam coś bezalkoholowego, ale do „dorosłego” kieliszka. Czekaliśmy na pierwszą gwiazdkę. Były prezenty i śpiewanie kolęd, choć wszyscy męscy reprezentanci rodziny Różewiczów są kompletnie pozbawieni słuchu muzycznego. Dziadek miał swój numer popisowy – „Gdy śliczna Panna” – ale jego „li, li, li, li, laaaj” było czymś okropnym. Niemniej zawsze śpiewaliśmy długo, ja na czymś przygrywałam. W Wielkanoc przed śniadaniem dzieliliśmy się jajkiem.

Opowiadał, że w dzieciństwie zjadł kiełbasę w Wielki Piątek i potem wiele lat był pewien, że pójdzie do piekła. Babcia często gotowała mięso, jednak dziadek na starość go nie lubił. Pewnie gdyby urodził się w innych czasach, miałby zadatki na wegetarianina. Poruszało go cierpienie zwierząt, ale też takie miał upodobania kulinarne. Przepadał za warzywami strączkowymi, uwielbiał zupy fasolową i grochową. Oraz bób. Na widok miski bobu dosłownie świeciły mu się oczy.

©℗ Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

Z żoną, wnuczką i prawnukiem. Ostatnie wspólne Boże Narodzenie, 2013 r.

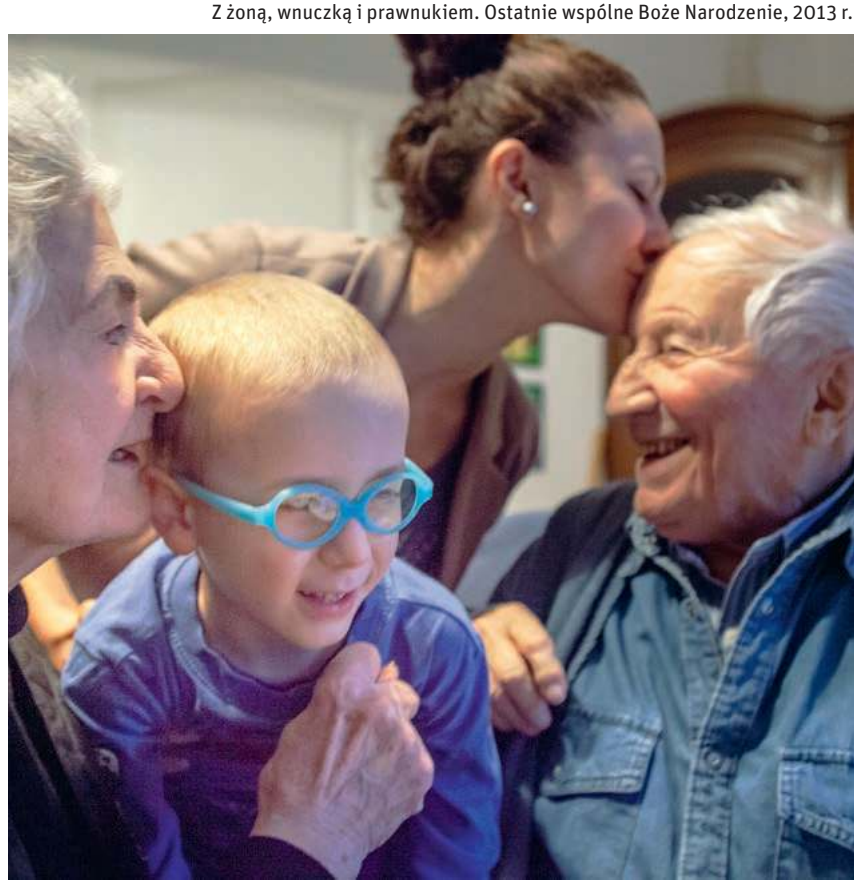

ARCHIWUM RODZINNE

KAMIENIE MILOWE

9 PAŹDZIERNIKA 1921
Tadeusz Różewicz urodził się w Radomsku jako czwarte z pięciorga dzieci Władysława Różewicza i Stefanii Marii z Gelbardów. W Radomsku zdał małą maturę, tam również jeszcze przed wojną debiutował na łamach prasy młodzieżowej.

1943–44
Walczył w oddziałach leśnych Armii Krajowej (pod pseudonimem „Satyr").

1944
Wydał swój właściwy debiut literacki, „Echa leśne", wspólnie z bratem Januszem, który później zginął z rąk Niemców.

1945–48
Mieszkał w Krakowie, gdzie studiował historię sztuki na Uniwersytecie Jagiellońskim. Związał się wtedy z neoawangardową II Grupą Krakowską, do której należeli m.in. Tadeusz Kantor, Jerzy Nowosielski, Andrzej Wróblewski i Andrzej Wajda.

1949–68
Mieszkał w Gliwicach, gdzie pracował jako kierownik literacki powołanego przezeń wspólnie z Wojciechem Pszoniakiem Studenckiego Teatru Poezji „STEP". W tym okresie Różewicz napisał m.in. „Kartotekę", która znajduje się w repertuarach teatrów na całym świecie.

1956–58
Podróżował m.in. do Mongolii, Francji i Chin, dzięki czemu zyskał przydomek „poety wędrownego".

1968
Przeprowadził się do Wrocławia, gdzie staraniem redakcji miesięcznika „Odra" i Związku Literatów Polskich otrzymał przydział na mieszkanie przy ul. Glinianej 53. Później przeniósł się do kamienicy przy ul. Januszowickiej 13, a ostatecznie do domu przy ul. Promień 16.

Śmierć i narodziny Poety

ANDRZEJ SKRENDO

Nigdy nie został na dobre Starym Mistrzem oraz Nauczycielem Życia. Z premedytacją psuł celebrę, a może nawet nie tyle psuł, ile nie potrafił z dobrą wiarą brać w niej udziału.

Data śmierci, w tym przypadku: siódma rocznica, oraz data urodzin, setna, wyznaczają dwa odmienne sposoby patrzenia na dzieło Tadeusza Różewicza. Pierwsza operuje figurą cięcia, druga – ciągłości. W pewnym zakresie wchodzą one w konflikt, w pewnym – uzupełniają się.

Mówiąc, że data śmierci to swego rodzaju cięcie, mam na myśli okoliczności historycznoliterackie. Zwykle bowiem bywa tak, że po odejściu wielkiego pisarza jego dzieło podlega przyspieszonej rewaloryzacji. Wynika to po części z faktu, że czytelnicy zaczynają postrzegać teksty literackie umarłego niedawno twórcy inaczej – jako poniekąd osierocone przez autora, który nie pośpieszy już w razie potrzeby z rozstrzygającym komentarzem. Po części zaś bierze się to stąd, że sami odbiorcy czują się osieroceni i opuszczeni. Najważniejsze jednak wydaje się coś innego: po śmierci pisarza – a im wyżej był ceniony za życia, tym bardziej jest to zjawisko dojmujące – jego dzieło nieuchronnie popada w tarapaty. Rzadko zachowuje swój jeszcze niedawny blask, często trafia do czyśćca, a nawet ulega szybkiemu zapomnieniu. Od śmierci Różewicza minęło siedem lat i jego dzieło próbę takiej rewaloryzacji właśnie przechodzi. Dopóki żył, pozostawał może zbyt blisko nas, abyśmy mogli spojrzeć na niego z odpowiednio szerokiej perspektywy. Dziś o to łatwiej, ale też nie do końca wiadomo, jakiego Różewicza ujrzymy za jakiś czas.

No właśnie – tu dochodzimy do drugiego widzenia, tego wyznaczanego przez stulecie urodzin autora „Kartoteki". Stąd można oglądać jego biografię, jego dzieło i nas samych, jego czytelników. Gdy chodzi o biografię: wciąż nie jesteśmy pewni, jakie znaczenie dla twórczości Różewicza ma fakt, że jest on synem żydowskiej matki, a przy tym głęboko wierzącej, zaangażowanej w kult maryjny katoliczki. Nadal zastanawiamy się, co dla jego twórczości znaczy fakt, że był żołnierzem legendarnego „Warszyca", który został w roku 1947 pojmany, osądzony w pokazowym procesie i stracony przez komunistów jako jeden, jak dziś byśmy powiedzieli (choć nieprecyzyjnie), z żołnierzy wyklętych. Przy czym Różewicz, oskarżony o komunistyczną dywersję i ostrzeżony przez „Warszyca", musiał uciekać z oddziału, a robił to wtedy, gdy do rodziny doszła wieść o zamordowaniu przez Gestapo jego starszego brata Janusza, bohatera zaangażowanego w konspirację.

I dalej – czym było dla niego wejście w komunizm i czy, pozostając chyba do końca życia piłsudczykiem, uważał się za socjalistę? Z jakiego powodu chciał być pochowany na cmentarzu Wang w Karkonoszach i czemu zapragnął, aby modły odprawili katolicki ksiądz i ewangelicki pastor? To tylko kilka z wielu pytań.

Gdy zaś mówimy o dziele Różewicza: dziś postrzegamy je jako głos w rozmowie, którą toczą najważniejsi polscy pisarze XX wieku, dramaturgowie i reżyserzy, malarze i filmowcy (pisał scenariusze do filmów swojego brata Stanisława). I nie jest to po prostu debata o sztuce, lecz raczej o tym, kim jesteśmy. Do jego partnerów w tej rozmowie należą – ograniczmy się tylko do pisarzy – między innymi Żeromski, Witkacy, Staff, Przyboś, Miłosz, Herbert. Są to wielce pouczające debaty.

ADAM HAWAŁEJ

Jatki, Wrocław 2002 r.

Na przykład debata z Miłoszem. Czasem mówi się, że Różewicz był anty-Miłoszem. Ale może odwrotnie: to Miłosz był anty-Różewiczem? Napisał przecież, że z Różewiczem trudno się uporać, bo jest on w każdym z nas. Zdanie to sugeruje, że uporać się jednak można i że Miłosz zdołał to uczynić; ale co, jeśli to tylko złudzenie – i piekło Różewicza (to własne Miłosza określenie) niósł on w sobie do samego końca? A co wtedy z samym Różewiczem – może przechowywał on w sobie tęsknotę do „drugiej przestrzeni" i wyrażał ją o wiele skuteczniej niż Miłosz?

W jednym z listów do Ryszarda Przybylskiego Różewicz pisał: „Dla mnie dwiema największymi przegranymi w życiu [byłoby]: gdybym znów uwierzył w poezję albo w Boga. To byłyby dwie absolutne klęski. Nie mogę tego »wyjaśnić«". Prawda, że nie jest to proste do wyjaśnienia, ale może chodzi o to, że wiara oznaczałaby utratę, bo byłaby ukojeniem pragnienia, niewiara zaś to rodzaj nieobecności bardziej realnej niż sama obecność?

Porównanie z Miłoszem pokazuje jeszcze jedno: Różewicz nigdy nie był tak bardzo „naszym" autorem jak Miłosz. Chyba cierpiał z tego powodu, ale też nie potrafił inaczej. Miłosz wielokrotnie narzekał, że ceną za porozumienie z czytelnikami jest w Polsce wydanie się na pastwę swego rodzaju bałwochwalczych obrzędów wyznawczych, czasem nawet otwarcie plemiennych. Ale chyba ostatecznie nie bronił się dość skutecznie i z wystarczającym samozaparciem. Różewicz był o wiele bardziej „skuteczny" – i chyba nigdy nie został na dobre Starym Mistrzem oraz Nauczycielem Życia. Z premedytacją psuł celebrę, a może nawet nie tyle psuł, ile nie potrafił z dobrą wiarą brać w niej udziału.

Było w nim coś takiego, co sprawiało, że nie dawał się przyswoić – i tym czymś bynajmniej nie był jego domniemamy nihilizm (słowo to więcej zakrywa, niż wyjaśnia). Zarazem pozostawał permanentnie jakby nieco z boku, zwłaszcza na uboczu sporów politycznych. Ostatecznie chyba znajdował się bliżej tego, co jest sercem rzeczywistości, niż ci, którzy chętnie wchodzili w rolę komentatorów doraźnych sporów. A może po prostu – i wystarczyłoby powiedzieć tylko tyle – nie był poetą spraw publicznych i pozostał poetą spraw prywatnych? Może tak, choć takie postawienie sprawy nadal wymagałoby wielu uściśleń.

Wreszcie – co dzieło Różewicza mówi o nas samych? W pytaniu tym nie chodzi o to, co sądził on o Polakach i polskiej kulturze, ale o to, jak czytaliśmy go przez te wszystkie lata od końca wojny do dziś. Historia owego czytania (oraz wystawiania i oglądania jego dramatów, a także filmów braci Różewiczów) jest doprawdy fascynująca i bogata. Któż o autorze „Białego małżeństwa" nie pisał – i czegóż o nim nie napisano? Długa historia odbioru Różewicza – sporów, w które wchodził i w które go wciągaliśmy – byłaby pasjonującą, pełną nieporozumień i zaskakujących zwrotów akcji, opowieścią o naszej kulturze. Czasem groźną, a czasem śmieszną – choć może i pokrzepiającą.

We wszystkim, co pisał, był Różewicz przede wszystkim poetą. Przez dziesięciolecia, lub może zawsze, uważał siebie za autora na ogół nieuważnie czytanego – i kto wie, czy nie miał racji. Ale też starał się bardzo nie zastygnąć w wyniosłej pozie i udowodnić, że wciąż nie wiemy o nim wszystkiego. Pragnął za każdym razem być inny, by dzięki temu pozostać sobą. Nie miał wątpliwości, że to, co się nie zmienia, wydrąża się z treści. Przydarzyła mu się rzecz niezwykła: zapisał w swoich książkach dzieje naszego niepokoju i historię naszych nadziei, a my nauczyliśmy się o tych niepokojach i nadziejach mówić jego słowami.

Być może jednak najważniejsze jest coś innego: to, aby – jak pisał Karol Maliszewski – „Różewicza w sobie nie zagadać, nie zmazać jedną czy drugą dyrdymałką", dopuścić poetę do głosu, „za bardzo nie myśleć o tym, co poeta chciał powiedzieć, bo tego poecie się nie robi, a już szczególnie Różewiczowi. Jakoś przy Różewiczu ból jakby większy". To prawda – wypada wyznać na końcu. Różewicz wciąż ma nam wiele do powiedzenia. ©

1.

6.

9.

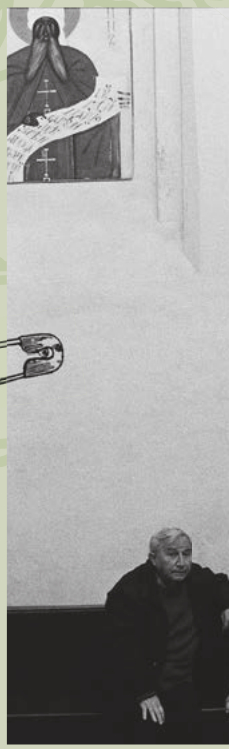

7.

10.

8.

11.

2.

3.

↖ 4.
← 5.

12.

13.

14.

Właściwie powinno się wymawiać tylko niezbędną do życia ilość słów.

(T. Różewicz, „Nowa szkoła filozoficzna")

1. Trzebnica, 2001 r.
2. 3. Happening Tadeusza Różewicza: „Śmietnik przy ulicy Januszowickiej we Wrocławiu", 1989 r.
4. Z żoną w domu, Wrocław 1999 r.
5. Wrocławskie Zoo 2001 r.
6. Z Leszkiem Kołakowskim, Targi Książki, Frankfurt n. Menem 2000 r.
7. Z Czesławem Miłoszem, Frankfurt n. Menem 2000 r.
8. Jubileusz 80-lecia, Teatr Polski, Wrocław 2001 r.
9. Z Jerzym Nowosielskim, Muzeum Narodowe, Wrocław 1993 r.
10. Z Karlem Dedeciusem, Opera Lipska 1993 r.
11. Z bratem Stanisławema Różewiczem, Teatr Polski, Wrocław 2001 r.
12. Z Jerzym Nowosielskim, cerkiew greckokatolicka w krypcie pod kościołem Św. Krzyża, Wrocław 1993 r.
13. Z Henrykiem Tomaszewskim, Karpacz 1995 r.
14. Trzebnica, 2001 r.

Autor zdjęć: Adam Hawałej

KAMIENIE MILOWE

1975
Premiera „Białego małżeństwa” rozpoczęła wielką serię legendarnych przedstawień Teatru Współczesnego we Wrocławiu. Współpraca pisarza z Kazimierzem Braunem, który wyreżyserował łącznie 19 sztuk do tekstów Różewicza, zapoczątkowała Drugą Reformę Teatru.

1976
W pamiętnej homilii na Skałce prymas Stefan Wyszyński nazwał spektakl Jerzego Grotowskiego „Apocalypsis cum figuris” oraz „Białe małżeństwo” Tadeusza Różewicza „obrzydliwością i świństwem”.

1991
Nadano Różewiczowi doktorat honoris causa Uniwersytetu Wrocławskiego.

1994
Uhonorowano go niemiecką Główną Nagrodą Kulturalną Śląska.

1996
Został odznaczony Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski za wybitne zasługi dla kultury narodowej.

1997
Przyznano mu Nagrodę Polskiego PEN Clubu im. Jana Parandowskiego.

2000
Uzyskał order „Ecce Homo”, polskie odznaczenie kościelne, za „odkrywanie mrocznej strony świata, pełnego chaosu i podziałów”.

2000
Zdobył Nagrodę Literacką „Nike” za książkę „Matka odchodzi”.

2008
Wręczono mu w Strasburgu Europejską Nagrodę Literacką za tomik „Nauka chodzenia / Gehen lernen”.

ADAM HAWAŁEJ

Inscenizacja „Kartoteki rozrzuconej”, Teatr Kameralny, Wrocław 1992 r. Tadeusz Różewicz, Elżbieta Czaplińska i Igor Przegrodzki

Wrocław uczył się Różewicza

JÓZEF KELERA

Wrocław lat 60. i 70. minionego wieku stał się poligonem doświadczalnym polskiego teatru. Właśnie wtedy Różewicz postanowił osiąść w tym mieście na stałe.

Kiedy Tadeusz Różewicz zamieszkał we Wrocławiu – a było to akurat w tym najgorzej wspominanym roku 1968 – wrocławskie teatry wkraczały w najszczęśliwszy i najbogatszy okres w całej swojej historii. U szczytu możliwości był wtedy Jerzy Grotowski: zamykał etap przedstawień dziełem „Apocalypsis cum figuris” (1968). Podobnie Henryk Tomaszewski z jeszcze afabularnymi kreacjami pantomimicznymi w unikatowym Teatrze Pantomimy (VIII Program, 1966). W doskonałej formie był również wrocławski Teatr Polski, prowadzony przez Krystynę Skuszankę i Jerzego Krasowskiego – lata 1965–1972 to chyba naj-

bardziej owocny czas w ich twórczości. Mniejszymi siłami, ale wciąż, rywalizował z tym duetem Andrzej Witkowski we wrocławskim Teatrze Współczesnym (1966–1973), a wspierał go raz do roku popisowo Jerzy Jarocki, co niebawem okazało się szczególnie ważne dla Różewicza.

Stał się więc Wrocław lat 60. i 70. miastem teatru. Tak o tym pisał, po kolejnych Warszawskich Spotkaniach Teatralnych, Konstanty Puzyna, obok Jana Kotta najświetniejszy krytyk teatralny drugiej połowy XX wieku: „(...) czołówka: Wrocław i Kraków. Te dwa miasta mają najlepszy dziś w Polsce teatr...".

Ale to nie wszystko. Do rangi prawdziwej stolicy teatru Wrocław awansował dzięki studenckiemu teatrowi „Kalambur". Miasto było podówczas organizatorem i gospodarzem Międzynarodowych Festiwali Teatru Otwartego: mimo zmieniającej się nazwy imprezy co dwa lata, zawsze w październiku, stawało się poligonem teatralnych działań kontrkultury na użytek wszystkich krajów po naszej stronie żelaznej kurtyny, a także kilkunastu innych. W takim właśnie miejscu na resztę życia osiadł Różewicz – w tym źle wspominanym roku 1968.

Wrocław uczył się Różewicza, oglądając jego sztuki. Po kilku mniej wybitnych przedstawieniach z lat 60. narodziło się, w czerwcowy wieczór roku 1969, arcydzieło teatru: „Stara kobieta wysiaduje" w prapremierowej inscenizacji Jerzego Jarockiego i ze scenografią Wojciecha Krakowskiego (Wrocławski Teatr Współczesny). Ucieleśniona na scenie wizja cywilizacji, w której wartości śmietnikowe zasypały już do reszty wartości istotne, miała tu szczególną siłę i urodę świata w rozsypce.

Na tejże scenie kulturowe diagnozy poety kształtował potem najciekawiej Helmut Kajzar w „Odejściu Głodomora" z roku 1977 („w powodzi chamstwa sztuka/artysta już tylko przeszkadza w spokojnym, zasłużonym trawieniu jedzenia, muzyki, piosenek..."), a także Kazimierz Braun w „Przyroście naturalnym" z roku 1979 („to odważna próba wyłonienia zdarzenia kulturowego z »biografii sztuki nie pisanej«"). Entuzjastów wśród krytyków miewały też przestrzenne kompozycje Jerzego Grzegorzewskiego do niedramatycznych tekstów Różewicza: „Śmierć w starych dekoracjach" (1978) i „Złowiony" (1993), obie we wrocławskim Teatrze Polskim. Wszelkie rekordy frekwencji biło jednak „Białe małżeństwo" w reżyserii Brauna, grane przez pięć lat (!), od roku 1975 aż do chwili, kiedy autor zabronił dalszej eksploatacji. Nastąpiło to po pięćsetnym przedstawieniu. Uchylił ten surowy zakaz jedynie dla Krystyny Meissner, trzydzieści lat później.

A co się dzieje z tą sztuką dziś? Dochodzą mnie słuchy o najnowszej, pomimo zarazy, inscenizacji „Białego małżeństwa", w której wszystkie postacie grają kobiety... Do kogo zatem mówi Bianka, zrzuciwszy bieliznę: „Jestem twoim bratem"? Nie należy ulepszać tej sztuki, już bez mała feministycznej, chociaż pisanej pięćdziesiąt lat temu.

W III Rzeczypospolitej najważniejsze dla obcowania Wrocławia z Różewiczem były dwa zdarzenia: najpierw prapremiera „Pułapki" w inscenizacji Jarockiego i ze scenografią Jerzego Juka-Kowarskiego (Teatr Polski, maj 1992), a pół roku później cykl prób otwartych „Kartoteki rozrzuconej" prowadzony przez samego autora (Teatr Kameralny, listopad i grudzień 1992). Wprawdzie reżyser i scenograf „Pułapki" nie byli zupełnie posłuszni autorowi, lecz w ich wersji znalazły się psy esesmańskie z Oświęcimia: przeraźliwie potworne, chociaż urodzone już jedynie w teatralnej butaforii, wedle projektów scenografa. W tym dramacie, którego płaszczyzną czasu, ponadrzeczywistego, jest zespolony przez poetę wiek XX, psy esesmańskie nieoczekiwanie znalazły swoje miejsce.

Próby „Kartoteki...", jak w każdym teatrze, odbywały się regularnie – zaczynały się o dziesiątej rano i było ich w sumie dwanaście. Różewicz przynosił codziennie nowe teksty, które pisał od szóstej; dodawał do nich jeszcze fragmenty zrodzone już na próbie, często z pomysłów samych aktorów. Publiczność miała wyznaczone miejsca w tylnej części sali – byli zatem świadkowie, ale trzymani na dystans. Na scenie, w zaplanowanym nieporządku, trybuna sejmowa wyrastała prosto z bazaru, w bliskim sąsiedztwie podejrzanej reklamy Szkoły Wdzięku. W tym rozgardiaszu, gdzieś na poboczu, warowały właśnie psy esesmańskie z Oświęcimia; zlekceważone, zsunięte na bok, zwalone na stertę, asystowały cierpliwie dwunastu próbom „Kartoteki rozrzuconej", gotowe znowu wkroczyć do akcji. ©

ADAM HAWAŁEJ

Inscenizacja „Kartoteki rozrzuconej", Teatr Kameralny, Wrocław 1992 r. Tadeusz Różewicz i Igor Przegrodzki

ADAM HAWAŁEJ

Z Markiem Walczewskim, Festiwal Polskich Sztuk Współczesnych, Teatr Polski, Wrocław 1989 r.

Poniżej: Festiwal Polskich Sztuk Współczesnych, Teatr Polski, Wrocław 1989 r.

ADAM HAWAŁEJ

Księżyc i wyspa

WOJCIECH BROWARNY

Nie ma historii bez miejsca. Gdyby Różewicz nie zamieszkał na parterze wrocławskiego bloku, być może nie doświadczyłby życia na „wystawie sklepowej" ani pracy w pokoju, przez który przejeżdża tramwaj, a śmietnik za oknem nie przemieniłby się w metaforę cywilizacji.

W pierwszą wielką podróż reporterską Tadeusz Różewicz wyruszył jesienią 1947 r. Wraz z transportem części do budowy stalowego mostu przepłynął Odrą z Koźla do Szczecina. Obserwacje z tej wyprawy zawarł w trzyczęściowym reportażu: „Most płynie do Szczecina", „Spacer po Opolu" i „Światła na drodze", opublikowanym w „Trybunie Tygodnia". Swoje doświadczenia opisywał na przykład tak: „Od Wrocławia holuje naszego stalowego mamuta smukła, lekka i misterna »Danusia« (motor 45 KM). Biedne konie mechaniczne drżą z wysiłku. Jedziemy, płyniemy, a właściwie idziemy »piechotą« po dnie, szorujemy po kamieniach. Żeby tylko śruba się nie urwała".

Młody poeta na własne oczy zobaczył Nadodrze, które w porównaniu ze względnie spokojnym Krakowem sprawiało wrażenie innego świata. Droga „z Krupniczej do »wodniaków« na Odrze, do osadników – pisał w zakończeniu reportażu – jest dalsza niż droga z Ziemi na Księżyc" (w tym czasie mieszkał w „pokoju kawalerskim" w domu ZZLP przy ul. Krupniczej 22 w Krakowie). Nie chodziło wyłącznie o dystans geograficzny. Księżycowy krajobraz Ziem Odzyskanych tworzyły ruiny, ślady niemieckiej cywilizacji i zbieranina obcych ludzi z różnych stron. Wrażenie próżni socjologicznej potęgowała komunistyczna (a *de facto* nacjonalistyczna) propaganda, szafująca piastowską mitologią i tandetnym folklorem.

Kanał żeglugowy, którym płynął Różewicz, omija śródmieście Wrocławia wielkim łukiem, ale poeta zobaczył je z bliska 8 września. Tego dnia odwiedził miasto wraz z delegacją czechosłowackich naukowców i literatów, zaproszonych do Polski przez Instytut Zachodni. Towarzyszył mu Jan Pilař, zaprzyjaźniony pisarz, krytyk i tłumacz polskiej poezji, który po latach wspominał, że „miasto było wtedy jednym wielkim rumowiskiem". W morzu zniszczonych budynków pracowała fabryka wagonów i działał odnowiony uniwersytet. Na cześć zagranicznych gości wydano uroczysty obiad. Uczestniczyli w nim Maria Dąbrowska i Wojciech Żukrowski, którzy po II wojnie światowej zamieszkali nad Odrą.

U schyłku lat 40. Różewicz wraz z rodziną osiadł w Gliwicach. Mieszkanie na Górnym Śląsku zapewniało mu stabilizację i bezpieczny dystans do życia literackiego w okresie stalinowskim. Nie był jednak odcięty od świata. W 1956 r. wyjechał do Mongolii, rok później do Paryża, a w kolejnym roku do Chin. Redakcja „Panoramy" w notatce pod jego zdjęciem podkreśliła, że Różewicz jest „poetą wędrownym". Te słowa były podsumowaniem jego wcześniejszej pracy reporterskiej, ale i zapowiedzią następnych podróży. Chociaż w ciągu kilkunastu lat spędzonych w Gliwicach pisarz ponad dwadzieścia razy wyjeżdżał za granicę, prowincjonalizm ówczesnego Górnego Śląska skłaniał go do wyprowadzki. Między wierszami listów i wspomnień Różewicz dawał do zrozumienia, że szukał nowego azylu także z powodu zanieczyszczenia przemysłowego i nasilającej się w kraju nagonki antysemickiej.

Mimo starań poecie nie udało się wyprowadzić do Warszawy. Gdy w 1966 r. skierował do Ministerstwa Kultury i Sztuki prośbę o przydział mieszkania w stolicy, nawet nie otrzymał oficjalnej odpowiedzi. Może właśnie wtedy zdecydował się na przeprowadzkę do Wrocławia, który w latach 60. podnosił się z ruin i powoli wyrastał na trzecią – oprócz Warszawy i Krakowa – stolicę kulturalną Polski. Nie była to decyzja oczywista. W 1957 r. w „Poglądach" ukazała się pierwsza opublikowana na Dolnym Śląsku rozmowa z Różewiczem. Na pytanie dziennikarza o to, jak poeta zapatruje się na działalność literacką we Wrocławiu, odpowiedzią było milczenie. Jedenaście lat później autor „Niepokoju" osiadł w tym mieście na stałe.

Informację o jego przeprowadzce podała do wiadomości publicznej „Trybuna

ADAM HAWAŁEJ

Happening Tadeusza Różewicza: „Śmietnik przy ulicy Januszowickiej we Wrocławiu", 1989 r.

Ludu" 26 września 1968 r., ale w redakcji wrocławskiej „Odry" mówiło się o tym już w grudniu poprzedniego roku. Jerzy Jarocki zawiadomił Zbigniewa Kubikowskiego, redaktora tego miesięcznika i kierownika lokalnego oddziału ZLP, że Różewicz chętnie zamieszkałby w stolicy Dolnego Śląska. Kubikowski, korzystając z przychylności władz miasta, zadbał o gościnne przyjęcie pisarza i o przydział mieszkania przy ul. Glinianej 53. Nie ma historii bez miejsca. Gdyby Różewicz nie zamieszkał na parterze w bloku, być może nie doświadczyłby życia na „wystawie sklepowej" ani pracy w pokoju, przez który przejeżdża tramwaj, a śmietnik za oknem nie przemieniłby się w jego tekstach w metaforę cywilizacji.

Na decyzję pisarza wpłynęły nie tylko bliska współpraca z redakcją „Odry" (m.in. stały felieton „Margines, ale..."), w której nazywano go „tajnym nadredaktorem", lecz również jego plany teatralne i kontakty z reżyserami. Nie wszystkie okazały się owocne. Teatr Laboratorium – zdaniem Różewicza – pożerał i unieważniał tekst literacki. Chociaż jego współpraca z Jerzym Grotowskim nie wyszła, homiletycznie połączył ich prymas Stefan Wyszyński, który w kazaniu na Skałce w 1976 r. „Apocalypsis cum figuris" oraz „Białe małżeństwo" nazwał obrzydliwością i świństwem.

Subtelniej z dramaturgią Różewicza obchodzili się Helmut Kajzar i Kazimierz Braun. Dzięki ich realizacjom jego twórczość zadomowiła się na wrocławskich scenach. Nie mniej ważne były kontakty poety z badaczami literatury i krytykami. Józef Kelera pisał o jego dramaturgii, ale bywał również na znakomitej herbatce, którą parzyła pani Wiesława Różewiczowa. Czesław Hernas często zapraszał poetę na polonistykę. Gdy pewnego razu autor „Kartoteki" skorzystał z zaproszenia, przypadkowo trafił do gabinetu, w którym Jacek Łukasiewicz egzaminował z literatury współczesnej. „»Niech pan sobie nie przeszkadza« – powiedział T.R. i usiadł na krześle w kącie. Studentka zaoczna już wcześniej dostała zestaw pytań i teraz mówiła o twórczości Różewicza. Nie bardzo jej szło, ale jakoś przebrnęła. Różewicz słuchał z pewnym zainteresowaniem" („Piątek, którego nie było. Pamięci Tadeusza Różewicza [1921–2014]").

Janusz Degler poznał go w 1969 r. na Wzgórzu Polskim podczas Międzynarodowego Festiwalu Teatrów Studenckich. „Teatr plenerowy ma wiele zalet, ale jedną wadę" – powiedział poeta. „Nie można siedzieć". Umówili się zatem na rozmowę na ławce w parku Południowym, a gdy Różewicz przeprowadził się do kamienicy przy ul. Januszowickiej, zaczęli się spotykać w tym parku regularnie. Czasami towarzyszył im piesek teatrologa, a rozmowy dotyczyły nie tylko sztuki, lecz także codzienności. Różewicz opowiadał o wdowach po Stanisławie Brzozowskim, Karolu Ludwiku Konińskim i Stanisławie I. Witkiewiczu, innym razem narzekał na sąsiada, Grzegorza Brauna, który nad jego mieszkaniem prowadził remont. W trakcie jednego z tych spacerów poeta powiedział, że na wysepce pośrodku parkowego stawu chciałby jak Robinson Crusoe spędzić w samotności kilka dni, słuchając tylko śpiewu ptaków i szmeru wody. Na wyspie, chociaż wielkiej i zaludnionej, zamieszkał na początku XXI w., gdy Rada Miejska Wrocławia przekazała mu willę na Biskupinie przy ul. Promień 16.

Różewicz długo oswajał miasto i region. Spacerował w parku Szczytnickim, Ogrodzie Botanicznym i zoo, odwiedzał Muzeum Narodowe, Panoramę Racławicką, Ossolineum, Teatr Współczesny, Teatr Polski, Operę Wrocławską oraz Domek Miedziorytnika, bywał w Kudowie, Szklarskiej Porębie i Karpaczu. Jak napisał w „Gawędzie o spóźnionej miłości" – poemacie o Karkonoszach i Wandzie Rutkiewicz – „przez lasy nad Wartą i Pilicą / przez Kraków Gliwice Wrocław / przez siedem gór i siedem rzek (...) / doszedłem do Gór Olbrzymich" (1997). Poeta przeżył we Wrocławiu czterdzieści sześć lat, prawie połowę życia, lecz na miejsce spoczynku wybrał cichy i odosobniony cmentarz luterański w Karpaczu Górnym. ©

Z prof. Czesławem Hernasem w Ossolineum. Wrocław 2003 r.

ADAM HAWAŁEJ

KAMIENIE MILOWE

2008
Otrzymał Wrocławską Nagrodę Poetycką „Silesius" za całokształt twórczości (pierwszy laureat), przyznawaną podczas festiwalu Port Literacki Wrocław. (Fundatorem nagrody jest miasto, a jej nazwa pochodzi od śląskiego poety barokowego Angelusa Silesiusa).

2009
Został odznaczony Złotym Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis".

2011
Wyróżniono go tytułem „Kreator Kultury", nagrodą specjalną tygodnika „Polityka". Uzasadnienie jury: „Za wierność poezji i sobie. Za świadectwo dane kilku kolejnym epokom oraz pytania, które włączyły polską literaturę i teatr w europejską debatę o najważniejszych doświadczeniach współczesnego człowieka".

2011
Otrzymał Dolnośląską Nagrodę Kulturalną „Silesia" Sejmiku Województwa Dolnośląskiego dla twórcy, którego dzieła w sposób szczególny wnoszą wkład w rozwój kultury Dolnego Śląska, promują region w Polsce i poza granicami kraju.

24 KWIETNIA 2014
Poeta zmarł we Wrocławiu. Został pochowany na cmentarzu przy kościele ewangelickim Naszego Zbawiciela w Karpaczu Górnym. Pożegnanie odbyło się w kaplicy cmentarnej na wrocławskim Kiełczowie, Mszę św. żałobną odprawił i homilię wygłosił opolski abp senior Alfons Nossol.

GRAFIKA: MARTA PŁONKA

Tego się Poecie nie robi

ADAM HAWAŁEJ

Pod ulubionym bukiem, Park Południowy, Wrocław 1987 r.

JAROSŁAW FRET

Poetą bywał, był za to rzemieślnikiem Mowy. A więc nie tylko Słowa, ale i Ciszy.

Nie zamawia się projektów, nie prowadzi się indeksu wydarzeń, nie realizuje się programów ani specjalnych edycji festiwali, nie przyznaje się grantów, dofinansowań, dotacji celowych – słowem: nie ogłasza się Roku Różewicza. Wszystkiego tego się nie robi. Nie robi. Się.

Był już Archipelag Różewicza i tegoż Różewicza Dorzecze, był Różewicz Rozrzucony i Powtórzony. I jeszcze Wielokrotny.

Jak zatem oddać to podskórne przeniknięcie jego twórczości w tkankę (łac. *textum*) niezliczonych przykładów słowa zapisanego i wciąż przekazywanego, a obecnego w polskiej kulturze co najmniej od debiutanckiego „Niepokoju", czyli przez blisko siedemdziesiąt pięć lat?

Poetą bywał. Był rzemieślnikiem Mowy. A więc nie tylko Słowa, ale i Ciszy. Rzemieślnikiem Wszelkiego Poruszenia, które – wyczuwalne, a niewyrażalne – domaga się, aby je zatrzymać, przenieść. To poeta jakby doraźny, od-

powiadający na potrzebę chwili (*Verweile doch!* – włożył onegdaj w usta Fausta jego mistrz Goethe), formujący swe utwory w języku swoich pobratymców tak jak garncarz lepi naczynia dostosowane formą i wytrzymałością do przewidzianych dla nich funkcji. I jako poeta lepił swe wiersze, poematy, opowiadania, dramaty, szkice, listy, udzielał wywiadów, odpowiadał na ankiety, rozmawiał przez telefon. Glina mowy (teraz małą literą) w jego rękach stawała się szczególnie plastyczna. Wszakże to nie piękno nadawało jej formę – dzięki niemu utrwalał się jedynie ślad jej pochodzenia. Krnąbrność – znak cechowy potwierdzający rzemieślniczą konieczność rozpoznania wartości substancjalnej i jakby ekologiczną (tak powiedzielibyśmy dziś modnie) ocenę mowy. Bo czy warto było wzruszać ciszę, która jeszcze przed chwilą trwała? Milczenie ciała zajmowało go najbardziej.

Pisał, siadał, spacerował, oddychał, nasłuchując i zapisując tektoniczne zmiany Mowy, a nie tylko języka. Dlatego wielokrotnie jako pierwszy spośród zwykłych połykaczy słowa potrafił wysłyszeć nadchodzące zmiany – procesy przejawiające się w „widzialnym" i słyszalnym języku świata. Uwydatniał je, nadawał im kształt rozpoznawalny dla wielu, w którym także wielu mogło się rozpoznać. To wyjątkowe słuchanie mowy miało u Poety rys dramatyczny – od wczesnych prac myślał dramatycznie, czuł dramatycznie.

W licznych wrocławskich propozycjach programowych Roku Różewicza powraca szczególnie jeden moment z jego biografii: rok 1968 – czas przenosin z Gliwic do Wrocławia. Jakby decyzja ta i wybór stanowiły kolejne wypełnienie archetypu mieszkańca stolicy Dolnego Śląska – osiedleńca, przyjezdnego, tułacza, stanowiącego o sobie jako o jednostce wolnej i wolności poszukującej. Decyzja tym bardziej znamienna, że z jednej strony podejmowana w cieniu polskiego Marca '68, z drugiej – potwierdzona po powrocie Różewicza z Paryża, gdzie mógł poczuć powiew wschodzącej kontrkultury.

Do Wrocławia Poeta przywozi ze sobą wiele rozpoczętych tekstów, w tym „Złowionego", którego za chwilę ukończy i wyda drukiem. Potem zainteresuje się nim Jerzy Grotowski (on sam cztery lata wcześniej, wybrawszy Wrocław, przywiózł ze sobą rozpoczętą już pracę nad „Księciem Niezłomnym"). Może to znajomość (utrwalona późniejszą przyjaźnią) z Ludwikiem Flaszenem – który jeszcze w Opolu zapisał, że „teatr jest obcowaniem z prawdą za pośrednictwem wspólnoty" – przyniosła Poecie obietnicę zawieszenia przyrodzonego rozdziału słowa i ciała.

A więc już nie ciało i słowo, lecz Ciało-Słowo, nierozdzielne i wiodące wspólny los. „Oni rodzą te teksty, rodzą je w każdym nowym przedstawieniu" – pisał po obejrzeniu „Apocalypsis cum figuris". „Ryki rodzącego rozlegają się w tej zamkniętej sali teatralnej (a raczej operacyjnej). Słowo na naszych oczach staje się ciałem, rośnie w czasie przedstawienia. Zamienia się w ciało agresywne. Gwałcone i gwałcące. Ten zespół karmi się słowem (dosłownie). Słowo jest tu trawione i wydalane. Słowo jest wykrwawione, rozdzierane, zbite na miazgę, odrzucone. Z jego boku tryska strumień krwi, spermy, milczenia. Tu odbywa się karmienie słowem. Godzina karmienia: dziewiętnasta".

Pozostaje wciąż nieuchwytną tajemnicą, co dostrzegł Poeta w akcie stwarzanym i powtarzanym w Teatrze Laboratorium każdego wieczoru (a więc co dostrzegł w możliwości samej sztuki). Tym samym Laboratorium, które wcześniej współtwórczą siłą Józefa Szajny przyoblekło „plemion cmentarzysko" według „Akropolis" Wyspiańskiego w kształt Auschwitz, a w „Studium o Hamlecie" dostrzegło figurę Żyda, outsidera odsuniętego i oplutego przez oddział powstańców.

Różewicz i Grotowski nie spotkali się w pracy nigdy. Połączył ich rychło (8 maja 1976 r.) w swym kazaniu prymas Stefan Wyszyński, dopatrując się u nich sprzeniewierzenia, odstąpienia od prostej, według jego historiozofii, drogi wolności: „Czy to ma być tylko wolność picia i upijania się, alkoholizmu i rozwiązłości, wolność wystawiania obrzydliwych sztuk teatralnych? Jak gdyby naszych artystów nie było już stać na nic lepszego, tylko na jakieś tam »Białe małżeństwo« czy »Apocalypsis cum figuris«".

Aktualność „Białego małżeństwa" (podobnie jak wymowa paruzji z „Apocalypsis cum figuris") jest wciąż szczególna i nie zawdzięcza niczego modnej przebierance – dziś myślenie, czucie i decydowanie o sobie ucieleśnionym leży u podstaw rozumienia godności i pełni tożsamości każdej osoby. Odsłanianie i nazywanie tego dynamicznego procesu także. Przywrócenie ciała człowiekowi współczesnemu zawdzięczamy – co wydaje się paradoksem – poezji i Poecie, autorowi „Ocalonego".

Katharsis roku obcowania z Różewiczem może stać się zaczątkiem odbudowywania, oczyszczania słów zużytych, którymi zostaliśmy otoczeni, obrzuceni, zamknięci; słów wyzbytych znaczeń, bo pozbawionych prawdy doświadczenia; słów bez ciała; słów, które nie zostaną zbawione.

A na koniec Różewicz o tym, czego Kafce nie powinno się robić:

(...)
pomnik stanął
w Pradze
postawili go nie pytając

„a kogo mieliśmy pytać?"

Ducha! Panowie i panie,
Ducha Kafki trzeba pytać
(i nastawić ucha!)
Duch Kafki mówi: proszę
Mnie nie ustawiać nie przedstawiać
a jak już stoję proszę
nie odsłaniać!

chcę być zasłonięty

nie wyciągajcie na światło
moich kobiet moich łez
moich rodziców moich sióstr
spalonych rękopisów
moich ran
nie komentujcie mojego
życia śmierci procesu
nie urządzajcie cyrku
nie wyciągajcie ze mnie
wszystkich tajemnic
nie wciągajcie mnie
do kawiarenki
nie zaglądajcie mi w zęby
nie jestem waszym koniem
(zwierzęciem pociągowym
różnych fundacji)
nie wmawiajcie we mnie
że kochałem kiepskich
aktorów że byłem
płochliwym narzeczonym
nie róbcie ze mnie
wzorowego urzędnika
impotenta sportowca
syjonisty jarosza
i wielbiciela prozy
Maksa Broda

amen

(„Tego się Kafce nie robi", wcześniejszy tytuł: „Nie odsłaniajcie mnie"). ©

MACIEJ KULCZYNSKI

Sztuka układania słów

Ilekroć próbuję opowiedzieć komuś o Wrocławiu po raz pierwszy, łapię się na tym, że wracam do słów: To miasto po wojnie zostało ufundowane na wielkim historycznym paradoksie: obwołane twierdzą i skazane na zagładę przez swoich niemieckich obrońców, zostało z miłością odbudowane rękami przybyszów, imigrantów, nowych osiedleńców".

To oczywiście nie są moje słowa – pojawiły się już na łamach „Tygodnika Powszechnego", a ich autorką jest Olga Tokarczuk, Honorowa Obywatelka Wrocławia, laureatka Literackiej Nagrody Nobla. Kolejność, w jakiej wymieniam te dwa wyróżnienia, nie wynika jedynie z wrocławskiego patriotyzmu. Śmiejemy się czasem z Olgą, że tak to się faktycznie ułożyło: najpierw było honorowe obywatelstwo, a potem Nobel.

A jaki to ma związek z Tadeuszem Różewiczem? Podwójny i znaczący. Po pierwsze: Tadeusz Różewicz jest Honorowym Obywatelem Wrocławia od 1994 r. Po drugie: również był mistrzem słów, którymi nie tylko zapisywał siebie w historii miasta, ale którymi także je tworzył. Za sprawą swojej sztuki, jej niepowtarzalnego językowego kształtu, był jednym z tych, którzy właśnie „odbudowywali Wrocław z miłością". *Genius loci* naszego miasta polega bowiem na tym, że powstaje ono i składa się pospołu ze wszystkich aktywności człowieka. Te artystyczne, obok tych materialnych, należą do najważniejszych fundamentów współczesnej metropolii. Dzięki takim ludziom jak Tadeusz Różewicz sztuka układania słów odbudowuje z miłością ludzkie dusze. Sprawia, że Wrocław staje się miejscem piękniejszym w absolutnie specjalny sposób. Wyjątkowość owego piękna polega na tym, że dzieli się ono szczodrze ze światem i służy wszystkim; nie czujemy, żeby było czyjąkolwiek własnością. Staje się własnością wspólną. W tym szczególnym roku chcemy się Tadeuszem Różewiczem podzielić. Chcemy podzielić się poezją. Podzielić się pięknem właśnie, tą ważną częścią Wrocławia. Zamknięci przez pandemię, odcięci od wielu przestrzeni kultury, coraz częściej zostajemy zdominowani przez złe słowa i emocje. Wiem, że twórczość autora „Niepokoju" nie jest łatwa. Ma w sobie dużo szorstkich słów i diagnoz, ale może to dzięki nim okazuje się tak aktualna w trudnych czasach próby, kiedy sami mierzymy się z wyzwaniami w skali wcześniej dla nas niewyobrażalnej.

Ujmowała mnie w Tadeuszu Różewiczu zwykłość jego życia. Unikał przywilejów sławy, a słuchając jego publicznych wystąpień, nieodmiennie odnosiłem wrażenie, że czyni to z poczucia odpowiedzialności za słowo. Nie wiem, jak pan Tadeusz zareagowałby na planowane wrocławskie obchody roku swojego imienia. Nie wiem, czy w ogóle by się zgodził, byśmy świętowali setną rocznicę jego urodzin. Gdybym mógł z nim o tym porozmawiać, argumentowałbym, że chodzi tyleż o niego, ile o słowa właśnie, słowa z jego tekstów. I prosiłbym, by pozwolił nam się dzielić swoją sztuką z jak największą liczbą czytelników w całej Polsce i nie tylko. Zacytowałbym mu jego własne wersy, które później stały się przesłaniem książki UNESCO, powstałej, gdy Wrocław nosił zaszczytny tytuł Światowej Stolicy Książki:

Poeta to na pewno ktoś
Słuchajcie głosu poety
Choćby ten głos
był cienki jak włos
Jak jeden włos Julietty
Jeśli się zerwie włosek ten
to nasza nudna kula
upadnie w ciemność
Czy ja wiem
albo się zbłąka w chmurach
Słyszycie Czasem wisi coś
na jednym włosku wisi
Dziś włoskiem tym poety głos
Słyszycie
Ktoś tam słyszy

Jacek Sutryk
Prezydent Wrocławia

REKLAMA

CZYTANIA, DEBATY I WYSTAWY POŚWIĘCONE TWÓRCZOŚCI TADEUSZA RÓŻEWICZA

WŚRÓD GOŚCI: ANNA ADAMOWICZ • ZOFIA BAŁDYGA • MARCIN BARAN • WOJCIECH BONOWICZ • MILAN DĚŽINSKÝ • DAREK FOKS • GEORGI GOSPODINOW • JERZY JARNIEWICZ • GIEDRĖ KAZLAUSKAITĖ • BARBARA KLICKA • JAKUB KORNHAUSER • MAŁGORZATA LEBDA • ALŽBĚTA LUŇÁČKOVÁ • JOANNA MUELLER • ERNESTAS NOREIKA • MARTA PODGÓRNIK • MACIEJ ROBERT • JOANNA ROSZAK • PAWEŁ SOLTYS • PIOTR SOMMER • ANTONINA TOSIEK • JERZY TRELA • TOMAS VENCLOVA • AGNIESZKA WOLNY-HAMKAŁO • URSZULA ZAJĄCZKOWSKA • FILIP ZAWADA • AGNĖ ŽAGRAKALYTĖ | SCENA MUZYCZNA: PABLOPAVO I LUDZIKI • KAPELA ZE WSI WARSZAWA

silesius

6.

Rok Tadeusza Różewicza

Międzynarodowy Festiwal Poezji Silesius

17–23.05.2021

Wrocławska Nagroda Poetycka Silesius

Gość honorowy: Litwa

WROCŁAW | KLUB PROZA | TRANSMISJE ONLINE | WWW.LITERATURA.WROCLAW.PL

ORGANIZATORZY:

Wrocław miasto spotkań

Wrocławski Dom Literatury

Wrocław Miasto Literatury UNESCO

Ministerstwo Kultury Dziedzictwa Narodowego i Sportu.

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

PARTNERZY:

LCI Lithuanian Culture Institute

Czech Lit

MORAVIAN LIBRARY

Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział Wrocław

Millennium DOCS AGAINST GRAVITY

Kraina Książek

MPK WROCŁAW

PATRONI MEDIALNI:

Pismo.

KSIĄŻKI

wyborcza

RADIO WROCŁAW

iram

RADIO WROCŁAW KULTURA

www.wroclaw.pl

lubimyczytać.pl

BOOKLIPS.PL

REKLAMA

Wrocław miasto spotkań

SPOTKAJMY SIĘ WE

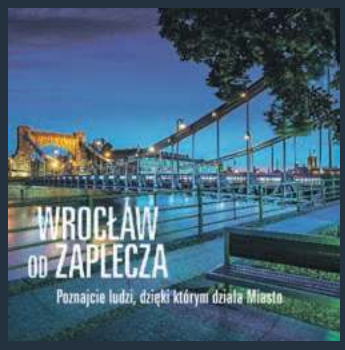

WROCŁAWIU

visitWroclaw.eu

wroclaw_official

Wrocław [Wroclove]

YouTube Visit Wrocław